

WROTA ANUBISA

Mojej żonie, Serenie

... podążają przez ciemne, stare zakątki świata,
Jak marynarze, niegdyś krzepcy, o orlim wzroku,
Którzy, gdy statek się rozbił, nie mogli uznać
Owej klęski i konieczności zejścia z pokładu,
Lecz postanowili podążać swym ukochanym wrakiem
W otchłań mroku; nie zatonęli jednak na dobre,
Lecz płyną bezustannie pod wygiętymi żaglami
Wbrew prądom głębin północnej godziny,
Od zatoki do zatoki, od grani do mrocznej grani,
W złudnej nadziei przedostania się na ląd;
I którzy, w swej zamierającej, powolnej wędrówce
Utracą niebawem wszelkie pragnienie światła
I powietrza, i towarzystwa żywych istot – stąd
Wyruszą na poszukiwanie tylko najgłębszych rozpadlin,
Tych najdalszych od słońca zapomnianego w mroku nocy...

William Ashbless: „Dwanaście godzin nocy”

Żaden człowiek nie może wejść dwukrotnie do tej samej rzeki,
gdyż za drugim razem nie jest to już ta sama rzeka
i nie jest to już ten sam człowiek.

Heraklit

Księga I

OBLICZE UKRYTE POD ZWIERZĘCYM FUTREM

Prolog: 2 lutego 1802 roku

*Choć dużo szczęło, sporo pozostało,
I choć nie mamy tylu sił co dawniej,
By niebo wzruszyć i ziemię – jesteśmy
Sobą... **

Alfred lord Tennyson

Na szczycie wzgórza, między dwoma drzewami, stał bardzo stary człowiek i spoglądał z tęsknotą, o jaką się już nie posadzał, na ostatnią grupę wycieczkowiczów; pakowali koszyki i dosiadając koni odjeżdżali na południe; w ich ruchach widoczny był pośpiech, gdyż od Londynu dzieliło ich dobre dziesięć kilometrów, a słońce płonęło już za konarami drzew porastającymi rzekę Brent oddaloną o trzy kilometry na zachód.

Kiedy odjechali, stary człowiek odwrócił się, by popatrzeć na powolny zachód słońca. Barka Milionów Lat, pomyślał; łódź umierającego boga Ra, żeglująca po zachodnim niebie ku źródłom mrocznej podziemnej rzeki, która płynie z zachodu na wschód, by po dwunastu godzinach nocy ukazać światu na nowo młodzieńcze, odrodzone słońce.

Albo też – pomyślał z goryczą – tak odległa od nas, że nawet wszechświat nie jest w stanie jej objąć, wielka nieruchoma kula płonącego gazu, dookoła której krąży ta maleńka planeta, jak grudka nawozu toczona przez skarabeusza Chepri. Dokonaj wyboru, powiedział do siebie, ruszając powoli w dół wzgórza, lecz bądź gotów za niego umrzeć.

* Przekład J. Pietrkiewicz

Musiał iść bardzo ostrożnie, gdyż japońskie drewniaki nie nadały się do chodzenia po trawie i nierównym gruncie.

Między namiotami i wozami rozpalono już ogniska, a wieczorny, chłodny wietrzyk przyniósł ze sobą falę intensywnych woni: odór dochodzący od strony spętanych mułów, dym palonego drewna i aromat pieczonego jeża, potrawy szczególnie cenionej przez jego ludzi. Zdawało mu się też, że ze skrzyni, którą przywieziono tego popołudnia, dobywa się fetor nieświeżego oddechu – niemal szokujący w powiewach rzeńskiego wiatru nad łąkami Hampstead Heath; sprawiało to wrażenie, jakby ktoś dobrał perfidnie przyprawy, pragnąc wywołać odrazę. Gdy zbliżył się do namiotów, wybiegły mu na spotkanie dwa obozowe psy; gdy tylko go poznały, pierwszy odwrócił się i ruszył zdecydowanie w stronę najbliższego namiotu; drugi, z widoczną niechęcią, eskortował Amenofisa Fikee do obozu.

Na widok powracającego psa z namiotu wyszedł śniady mężczyzna w pasiastym płaszczu i ruszył w stronę Fikeego. Podobnie jak zwierzęta, zatrzymał się w pewnej odległości od starego człowieka.

– Dobry wieczór, *rya* – powiedział. – Czy zechcesz spożyć wieczerzę? Na ogniu grzeje się *hoczewiczi*, pachnie bardzo *kuszo*.

– Jak zwykle – mruknął nieobecny myślami Fikee. – Nie, dziękuję. Ale wy jedzcie.

– Ja nie, *rya*. Moja Bessie zawsze uwielbiała gotowane *hoczewiczi*, ale odkąd *mullered*, umarła, nie biorę tego do ust.

Fikee przytaknął, choć najwyraźniej nie słuchał.

– Bardzo dobrze, Ryszardzie. – Zamilkł, jakby mając nadzieję, że rozmówca coś powie, ten jednak się nie odzywał. – Kiedy słońce już zajdzie, każ kilku ludziom zanieść tę skrzynię do namiotu doktora Romany.

Cygan szarpnął lśniące wąsy i poruszył się niespokojnie.

– Tę skrzynię, którą przyniósł dziś marynarz?

– A niby jaką, Ryszardzie? Tak, właśnie tę.

– Naszym ludziom to się nie podoba, *rya*. Powiadają, że jest w niej coś *mullo dusta beszes*, martwe od wielu lat.

Amenofis Fikee zmarszczył brwi i owinał się szczelniej płaszczem. Ostatnie promienie słońca pozostawił za sobą, na szczycie wzgórza, i teraz, pośród cieni, jego kamienne oblicze miało w sobie niewiele więcej życia niż skała czy pień drzewa. Po chwili przemówił:

– No cóż, to, co w niej spoczywa, było na pewno świadkiem *dusta beszes* – wielu, wielu lat. – Obdarzył bojaźliwego Cygana uśmiechem. Wyglądało to tak, jakby od zbrocza odpadł kawał ziemi

i odsłonił starą, białą skałę. – Ale nie jest *mullo*... mam nadzieję. Nie całkiem *mullo*.

Nie uspokoiło to jednak Cygana, który już otwierał usta, by znów wyrazić z szacunkiem wątpliwość, ale Fikee odwrócił się i ruszył przez łąkę ku brzegowi rzeki. Poły jego płaszczka powiewały na wietrze jak skrzydła wielkiego owada.

Cygan westchnął i powlókł się w stronę jednego z namiotów, ćwicząc po drodze utykanie. Miał nadzieję, że uwolni go to od obowiązku dźwigania tej strasznej skrzyni.

Fikee szedł ostrożnie coraz ciemniejszym brzegiem rzeki w stronę namiotu doktora Romany. Prócz chrapliwych westchnień lekkiej bryzy wieczór był dziwnie cichy. Cyganie jakby domyślali się, że ta noc niesie ze sobą coś doniosłego, i krążyli w ciszy, niespokojni jak ich psy. Nawet jaszczurki przestały skakać i nurkować z pluskiem wśród nadbrzeżnych trzcini.

Namiot stał na polance, przytrzymany niezliczoną liczbą lin, jak wielki, zacumowany przy brzegu statek. Wygięte postronki, wraz z tuzinem pali, podtrzymywały falującą, niezmierzoną płachtę namiotu doktora. Fikee pomyślał, że wygląda jak ogromna zakonnica w zimowym habicie, przykucnięta nad brzegiem rzeki.

Przechodząc schylony pod linami, zbliżył się do wejścia, odsunął na bok połę namiotu, po czym wszedł do głównego pomieszczenia. Zamrugął oślepiiony światłem, które płynęło z licznych lamp na wyscielane dywanami wnętrze namiotu.

Kiedy doktor Romany wstał zza stołu, Fikee poczuł, jak ogarnia go uczucie beznadziejnej zazdrości. Dlaczego, pytał nienawistnie, to nie Romanelli wyciągnął w Kairze, ubiegłego września, krótszą słomkę? Fikee zdjął swój bury płaszcz i kapelusz, po czym cisnął je w ką. W świetle lampy jego łysa czaszka lśniła jak nierówno wypolerowana kość słoniowa.

Romany podszedł do niego, huśtając się groteskowo w swoich wysokich butach na sprężynowanych podszwach, i chwycił przybyłego za rękę.

– To wielka rzecz, którą my, to znaczy ty zaczynasz dzisiejszej nocy – powiedział zmienionym głosem. – Żałuję tylko, że nie będę tu z tobą osobiście.

Fikee wzruszył niecierpliwie ramionami.

– Obaj jesteśmy sługami. Moim posterunkiem jest Anglia, twoim Turcja. Pojmuję, dlaczego możesz być tu obecny tylko jako – skinął nieznacznie dłonią – replika.

– Nie trzeba nawet wspominać – zaczął Romany niskim głosem, jakby chciał wydobyć echo z wyłożonych dywanami ścian namiotu – że gdybyś przypadkiem umarł dzisiejszej nocy, możesz być pewien, iż zostaniesz zabalsamowany i pochowany z należąca ceremonią i modłami.

– Jeśli zawiodę – odparł Fikee – nie będzie się do kogo modlić.

– Nie powiedziałem: zawiedziesz. Może się zdarzyć, że uda ci się otworzyć wrota, ale umrzesz dokonując tego – zauważył obojętnie Romany. – Życzyłbyś sobie wówczas, by postąpiono wedle obyczaju.

– Doskonale – odrzekł Fikee, przytakując z wysiłkiem. – Zgoda – dorzucił po chwili.

Od strony wejścia dobiegło szuranie stóp i po chwili rozległ się pełen troski głos.

– *Rya?* Gdzie postawić skrzynię? Trzeba się pospieszyć, wydaje mi się, że z rzeki wychodzą duchy, by zobaczyć, co się w niej kryje!

– Nie jest to całkiem wykluczone – mruknął doktor Romany, podczas gdy Fikee nakazywał Cyganom, by wnieśli skrzynię do środka i postawili na podłodze. Uczynili to pospiesznie, po czym wyszli tak szybko, jak pozwalały na to dobre obyczaje.

Przez jakiś czas obaj bardzo starzy ludzie wpatrywali się milcząco w skrzynię. Wreszcie Fikee drgnął i przemówił:

– Pouczyłem Cyganów, by w czasie mojej... nieobecności uważali cię za swego przywódcę.

Romany przytaknął, po czym pochylił się nad skrzynią i zaczął odrywać deski wieka. Odsunął na bok kilka garści zmiętych papierów i ostrożnie wyciągnął małe, drewniane pudełko obwiązane sznurkiem. Postawił je na stole. Znowu odwrócił się w stronę skrzyni, odebrał pozostałe deski wieka i stękając z wysiłku podniósł owiniętą papierem paczkę, którą położył na podłodze. Miała kształt prawie kwadratowy; każdy z boków liczył około metra, grubość zaś wynosiła jakieś piętnaście centymetrów.

Podniósł wzrok i powiedział:

– Księga.

Niepotrzebnie, gdyż Amenofis Fikee wiedział, co to jest.

– Gdyby tylko mógł tego dokonać tam, w Kairze – wyszeptał.

– Serce brytyjskiego imperium – przypomniał mu Romany. – A może wyobrażasz sobie, że mógłby podróżować?

Fikee potrząsnął głową i klękając przy stole wyciągnął spod niego globus ze szkła, którego część można było zdjąć, następnie zaczął rozwiązywać węzłki na małym, drewnianym pudełku. Romany od-

winał tymczasem paczkę z papieru, odsłaniając czarne, drewniane pudełko wyłożone kawałkami kości słoniowej, które tworzyły setki egipskich hieroglifów Starego Państwa. Zamknięcie pudełka było skórzane, ale tak sparcałe, że pod wpływem dotyku rozpadło się w pył. W środku znajdowało się kolejne poczerńiałe srebrne pudełko z podobnymi hieroglifami. Kiedy Romany zdjął z niego wieczko, we wnętrzu ukazało się jeszcze jedno, tym razem złote, którego wspólnie wygładzona powierzchnia zapłonęła w świetle lampy.

Fikee otworzył swoje drewniane pudełko i wyciągnął z niego zakorkowaną fiolkę, która była zawinięta w kawałek wełny. W fiołce znajdowało się około trzydziestu mililitrów czarnego, gęstego płynu, który zdawał się zawierać jakiś osad.

Doktor Romany odetchnął głęboko, po czym zdjął wieko złotego pudełka.

Początkowo sądził, że zgasty jednocześnie wszystkie lampy, lecz kiedy podniósł wzrok, stwierdził, że ich płomienie są równie wysokie jak poprzednio. Światło jednak w znacznym stopniu przygasło; było tak, jakby widział pomieszczenie przez tafle matowego szkła. Otulił szyję kołnierzem płaszcza; powietrze nagle się ochłodziło.

Po raz pierwszy tej nocy odczuwał strach. Zmusił się, by opuścić wzrok i spojrzeć na spoczywającą w pudełku księgę, która wchłonęła światło i ciepło. Na starożytnym papirusie płonęły hieroglify; nie światłem, lecz intensywną czernią, która zdawała się wchłaniać jego duszę. Znaczenie hieroglifów było dla niego zrozumiałe i ich sens drażył jego umysł; być może działałoby się tak samo z kimś, kto nawet nie potrafiłby odczytać tego przekazu, ponieważ powstał on u zarania świata za sprawą boga Tota, ojca samego języka. Oderwał bojaźliwy wzrok od papirusu, gdyż czuł, że słowa zapadają głęboko w jego duszę, pozostawiając na niej swój ślad.

– Krew – powiedział chrapliwie, gdyż nawet powietrze z trudem przenosiło dźwięki. – Krew naszego pana – powtórzył, zwracając się do niewyraźnej postaci Amenofisa Fikee. – Włóż to do kuli.

Widział, jak Fikee porusza kciukiem haczyk w ścianie globusa, wyjmując korek z flakonika i wlewa do środka czarny płyn, który zabarwił górną część szklanej kuli. Księżyc musiał już wzejść, uświadomił sobie Romany. Kropla spadła na dłoń Fikego i chyba go oparzyła, gdyż syknął przez zaciśnięte zęby.

– Działaj... sam – rzekł chrapliwie doktor Romany i poruszając się niczym ślepiec wyszedł z namiotu na łąkę, gdzie wieczorne powietrze wydawało się teraz ciepłe. Podążył niepewnym krokiem, kołyszac

się na podeszwach swoich dziwacznych butów, wzdłuż brzegu rzeki, i wreszcie zdyszany kucnął na łagodnym wzniesieniu, po czym spojrział na widoczny z odległości pięćdziesięciu metrów namiot.

Gdy jego oddech i puls uspokoiły się, pomyślał o Księdze Tota, którą widział przelotnie, i zadrżał. Jeśli ktokolwiek potrzebował dowodów na istnienie magii przez ostatnie osiemnaście wieków, to owa prehistoryczna Księga była ich źródłem; choć Romany nigdy przedtem jej nie oglądał, doskonale wiedział, że kiedy książe Setnau Kha-em-Uast zstąpił w Memfis przed tysiącami lat do grobowca Ptah-nefer-ka, by ją odzyskać, zastał komorę grobową oświetloną rzęsy-
stym blaskiem płynącym z Księgi.

A ten akt magii, pomyślał niezadowolony, to niezwykle przedsięwzięcie, mające się dokonać tej nocy, byłoby skrajnie niebezpieczne nawet wówczas, jeszcze zanim magia stała się znacznie trudniejsza i bardziej wymagająca wobec osoby czarnoksiężnika, i pomimo najsurowszej kontroli, nieprzewidywalna i zaskakująca w skutkach. Nawet w tamtych dniach tylko najodważniejsi i najsprawniejsi kapłani ośmieliliby się wykorzystać *hekau*, moc słów, które tej nocy miał wypowiedzieć Fikee: słowa te były inwokacją i zarazem prośbą o przejęcie władzy, skierowaną do Anubisa, boga o głowie szakala; w czasach świetności Egiptu sprawował on pieczę nad podziemnym światem zmarłych i wrotami oddzielającymi go od świata żywych.

Doktor Romany oderwał wzrok od namiotu i przeniósł spojrzenie na przeciwległy brzeg rzeki, na wrzosowiska ciągnące się aż do następnego wzniesienia zwieńczonego drzewami, których rachityczne gałęzie kołysały się na wietrze. Północny krajobraz, omiatany wiatrem, przypominał mu dżin: ostry, czysty i przepojony wonią jałowca.

Nie chcąc zagłębiać się w te rozważania, pomyślał o podróży do Kairu, dokąd przed czterema miesiącami udali się wraz z Fikeem, wezwani przez ich Mistrza, by zaradzić pewnemu kryzysowi.

Nie mogąc z powodu straszliwego zamieszania opuszczać swego domu, Mistrz przez dłuższy czas korzystał z tajnej armii agentów i ogromnej fortuny, by oczyścić Egipt z muzułmańskich i chrześcijańskich elementów, a także, co było znacznie trudniejsze, by wygnać tureckiego paszę i jego najemników, a tym samym wskrzesić Egipt jako niepodległą potęgę świata. Pierwszy przełom nastąpił cztery lata wcześniej, w 1798 roku, po bitwie pod piramidami, choć w owym czasie wydawała się ostateczną klęską – ponieważ w jej rezultacie do Egiptu wkroczyli Francuzi. Romany przymknął powieki, wspominając odgłosy strzałów francuskich muszkietów, rozbrzmiewają-

cych echem owego upalnego lipcowego popołudnia nad wodami Nilu, spotęgowanych odgłosem werbli, które towarzyszyły szarżującej kawalerii mameluków; przed zapadnięciem nocy armie egipskich gubernatorów, Ibrahima i Murada beja rozbito, władzę zaś przejęli Francuzi pod wodzą młodego generała, Napoleona.

Dzikie i przepelnione bólem wycie zerwało doktora Romany na równe nogi; dźwięk ten odbijał się jeszcze przez kilka chwil echem od drzew porastających brzeg rzeki, a kiedy zamarł, Romany usłyszał, jak któryś z Cyganów mamrocze ze strachem zaklęcia. Z namiotu nie dobiegł już żaden odgłos, więc doktor odetchnął i znowu przykucnął. Powodzenia, Amenofisie, pomyślał. Powinienem raczej powiedzieć, oby bogowie byli z tobą, ale teraz sam o tym właśnie decydujesz. Potrząsnął niespokojnie głową.

Gdy do władzy doszli Francuzi, wydawało się, że przepadły wszelkie nadzieje na przywrócenie starego porządku, więc Mistrz, dzięki niezwykle misternej, magicznej manipulacji wiatrem i przyptywami, udzielił nieznaczącej pomocy brytyjskiemu admirałowi Nelsonowi, który w niecałe dwa tygodnie później zniszczył francuską flotę. Potem okupacja francuska obróciła się jednak na korzyść Mistrza; Francuzi ukrócili pełną arogancji władzę mameluckich bejów, a w 1800 r. Muhammad odebrał im ziemię i wytepił tureckich najemników, dławiących kraj. Po powrocie Napoleona do Francji, dowództwo w Kairze objął generał Kleber, który nie wtrącał się w polityczne intrygi Mistrza i nie przeszkadzał mu w jego wysiłkach zmierzających do nawrócenia muzułmańskiej i koptyjskiej ludności na panteistyczny kult Ozyrysa, Izydy, Horsa i Re. Wyglądało właściwie na to, że francuska okupacja okazała się dla Egiptu tym, czym szczepionka ospy doktora Jennera dla ludzi: zastąpieniem przez niegroźną infekcję, łatwą po jakimś czasie do zlikwidowania śmiertelnej choroby która ustępowała dopiero po zgonie ofiary.

Z czasem wszystko zaczęło się psuć. Jakiś szaleniec z Aleppo zastrzelił Klebera na kairskiej ulicy. Potem nastąpiły miesiące niepokoju, w czasie których Brytyjczycy zaczęli zaciskać pętlę; do września 1801 niezaradny następca Klebera skapitulował przed Brytyjczykami w Egipcie i Aleksandrii. Anglicy znaleźli się w samym Kairze, i nim upłynął tydzień, aresztowano z tuzin agentów Mistrza. Nowy gubernator znalazł też powód, by pozamykać świątynie starych bogów, wzniesionych przez Mistrza poza murami miasta.

W przyptywie rozpacz, Mistrz posłał po swoich dwóch najstarszych i najpotężniejszych zastępców, Amenofisa Fikee z Anglii i dok-

tora Monboddo Romanellego z Turcji, po czym przedstawił im pewien plan; był on tak fantastyczny, że można by posądzić wiekowego człowieka o niesprawność umysłową, ale według Mistrza był to jedyny sposób, by wymazać Anglię z mapy świata i przywrócić utracone przed wiekami panowanie Egiptu.

Spotkali się w wielkiej komnacie, w której mieszkał zupełnie sam, z wyjątkiem *ushabtis*, czterech odlanych z wosku ludzkich postaci naturalnych rozmiarów. Z wysokości swego dziwnego tronu zainstalowanego pod sufitem zaczął ich przekonywać, że chrześcijaństwo, owa bezlitosna siła, niszcząca soki życia osłabionej magii, traci swe znaczenie wskutek zwątpienia, którym przepojone są pisma ludzi takich jak Wolter, Diderot czy Godwin.

Romanelli, z taką samą niecierpliwością przyjmujący metafory wiekowego maga jak większość informacji, wtrącił się, by spytać bez ogródek, jak to wszystko ma dopomóc w wyparciu Brytyjczyków z Egiptu.

– Istnieje pewna magiczna procedura... – zaczął Mistrz.

– Magia! – przerwał mu Romanelli z pogardą, na jaką tylko mógł się odważyć. – W dzisiejszych czasach dostalibyśmy zawrotów głowy i zaburzeń wzroku, nie wspominając już o utracie co najmniej trzech kilogramów wagi, gdybyśmy chcieli zmusić czarami kilka bezdomnych psów do zejścia nam z drogi; nawet wtedy wszystko poszłoby nie tak, kundle zaś padłyby trupem na miejscu. Łatwiej wrzasnąć i postraszyć je kijem. Jestem pewien, że nie zapomniałeś o swoich cierpieniach, których doznałeś przed trzema laty po manipulacjach z pogodą w zatoce Abukir. Twoje oczy wypaliły się niczym daktyle pozostawione zbyt długo na słońcu, a twoje nogi...!

– Jak powiedziałeś, nie zapomniałem – stwierdził zimno Mistrz, kierując na Romanellego swój wzrok, który już uległ nieznacznej poprawie; ten drgnął bezwiednie, co mu się zawsze zdarzało, gdy dostrzegał w oczach Mistrza głęboką, bezsensowną nienawiść. – Tak się składa, że choć będę przy tym pośrednio obecny, jeden z was musi dokonać tego aktu magii, gdyż powinien on się odbyć bardzo blisko samego serca Imperium Brytyjskiego, a więc w Londynie; niestety stan mego zdrowia nie pozwala na podróż. Choć wyposażę was w najsilniejsze środki i amulety, spełnienie tego zadania, jak sugerowałeś, odbije się w znacznej mierze na osobie maga. Będziecie ciągnąć słomki spod obrusa na stole, a temu, który wyciągnie krótszą, przypadnie w udziale dokonanie tego czynu.

Fikee i Romanelli wlepili wzrok w dwa patyczki wystające spod materiału, a potem popatrzyli na siebie.

– Cóż to za akt? – spytał Fikee.

– Wiecie, że nasi bogowie już odeszli. Przebywają teraz w Tuau-cie, podziemnym świecie, a na jego wrota napiera od osiemnastu wieków siła, której nie pojmuję, ale jestem pewien, że ma ona związek z chrześcijaństwem. Bogiem owego świata i wrót jest Anubis, pozbawiony jednak postaci, w jakiej mógłby się tu pojawić. – Siedzisko Mistrza przesunęło się nieznacznie i starzec na chwilę przy-mknął oczy z bólu. – W Księdze Tota – powiedział w końcu chrapli-wie – znajduje się zakłęcie; jest to inwokacja do Anubisa, za której przyczyną może on przeniknąć w maga. Pozwoli to bogu przyjąć waszą postać fizyczną. Wypowiadając owo zakłęcie, będziecie jed-nocześnie spisywać inne, wymyślone przeze mnie, a które otworzy wrota między dwoma światami; uczyni to wyłom nie tylko w murze śmierci, ale i w murze czasu, i jeżeli wszystko się powiedzie, roze-wrą się one w podziemnym świecie sprzed czterdziestu trzech wie-ków, kiedy to bogowie i ja mieliśmy pełnię władzy.

Zapadła cisza, trwająca dostatecznie długo, by siedzisko Mistrza przesunęło się o kilka następnych i bolesnych dla maga centymetrów. W końcu Fikee przemówił:

– A co się stanie potem?

– Potem – odparł Mistrz szeptem, który obiegił echem kolistą kom-natę – bogowie Egiptu pojawią się znieacka we współczesnej Ang-lii. Żywy Ozyrys i Rae porannego nieba zamienią chrześcijańskie świątynie w gruzy, Horus i Konsu położą swą transcendentną siłą kres wszystkim obecnie toczonym wojnom, a monstra Set i Sebek pożrą tych wszystkich, którzy ośmielą się stawiać opór! Egipt odzyska he-gemonię, a świat znowu stanie się czysty i nowy.

A jaką rolę mógłbyś ty, czy też my, odegrać w tym czystym, no-wym świecie?, pomyślał Romanelli.

– Czy to wszystko jest możliwe, czy jesteś tego wszystkiego pe-wien? – spytał z wahaniem Fikee. W końcu świat był już niegdyś młody, a starzec nie może zmienić się w chłopca, podobnie jak wino nie może stać się na powrót sokiem z winogron. – Dostrzegł, że Mistrz pała coraz większym gniewem, ale mówił zdesperowany dalej: – Czy absolutnie nie można... zaadaptować się do nowych warunków i bo-gów? A jeśli czepiamy się tonącego statku?

Mistrz doznał ataku wściekłości, śliniąc się i bełkocząc bezradnie. Jeden z woskowych posągów drgnął i zaczął poruszać szczękami.

– Zaadaptować? – wrzasnęło głosem Mistrza woskowe gardło. – Chcesz przyjąć chrzest? Czy wiesz, co on z ciebie uczyni? Zniszczy

twoją moc, będziesz jak ćma w ogniu! – Wściekły potok mowy sprawiał, że woskowe usta pękały. – Tonący statek? Ty cuchnący, tchórzliwy pomocię martwej ladacznicy! Nie ma znaczenia, czy zatonię, czy zatonął, czy już tonię! Popłyniemy nim. Wolałbym stać u steru tego zatopionego statku, niż gnić na pokładzie nowego! Czy mam – kha... kha... kha... – język i wargi woskowej postaci odpadły pod wpływem wciąż żywego oddechu.

Przez kilka chwil Mistrz i jego *ushabti* mamrotali jednocześnie, aż w końcu starzec odzyskał panowanie nad sobą, posąg zaś umilkł.

– Czy mam cię uwolnić, Amenofisie? – spytał.

Romanelli przypomniał sobie z niepokojącą jasnością, jak kiedyś jeden z wiekowych sług Mistrza uwolnił się nagle z magicznych więzów swego pana; człowiek ten w ciągu zaledwie kilku minut uwiądnął, upadł, szczeł, rozsypał się na kawałki, a w końcu obrócił się w popiół; lecz od obrazu śmierci i rozkładu straszniejsze było to, że człowiek ten cały czas zachował świadomość... a jego agonia wydawała się straszliwsza od śmierci w płomieniach.

Cisza w komnacie przeciągała się, zakłócał ją tylko odgłos woskowego języka uderzającego o posadzkę.

– Nie – wyrzekł w końcu Fikee. – Nie.

– A zatem należysz do mej załogi i będziesz posłuszny. – Mistrz uczynił gest słabym ramieniem. – Wyciągnij słomkę.

Fikee spojrział na Romanello, który skłonił się tylko i wskazał na stół, jakby chciał powiedzieć: „Najpierw ty”. Fikee podszedł i wyciągnął jedną z dwóch słomek. Była oczywiście krótsza.

Mistrz wysłał ich do ruin Memfis, by skopiowali z ukrytego kamienia hieroglify, dzięki którym poznają jego prawdziwe imię. Tutaj również przeżyli szok, gdyż widzieli kamień z imieniem Mistrza już wcześniej, przed wieloma wiekami. Wtedy widniały na nim dwa symbole: ogień płonący w misie, a za nim sowa i krzyż z pętlą. Wymawiało się to *Czacza-em-Ankh*, Siła Życia; lecz teraz na starożytnym kamieniu widniały inne znaki: trzy rysunki w kształcie parasoli, mały ptak, sowa, stopa, znów ptak i ryba nad ślimakiem. *Kaibitu-em-Betu-Tuf* – przeczytał Romanelli i przetłumaczył w myślach: Cienie nienawiści.

Pomimo piekącego skwaru pustyni poczuł chłód, lecz przypomniał sobie istotę, która jęcząc i wijąc się zamieniała się w pył, więc tylko zacisnął usta i skopiował imię.

Gdy powrócili do Kairu, Mistrz opóźnił wyjazd Romanellego do Turcji, by móc stworzyć za pomocą magicznego płynu jego replikę. Żywy z pozoru sobowtór, czy też „ka”, został powołany do życia, by udać się do Anglii wraz z Fikeem i dopomóc w przywołaniu Anubisa, ale wszyscy trzej wiedzieli, że miał przede wszystkim pełnić rolę strażnika i zapobiec ewentualnemu zaniedbaniu obowiązków. A ponieważ ta dziwaczna para miała zamieszkać aż do nadejścia Księgi i flakonika z krwią Mistrza, wśród Cyganów ze szczepu Fikeego, Amenofis ochrzcił „ka” imieniem Romany, czyli słowem, zbliżonym do tego, jakim Cyganie określali swój język i kulturę.

Z namiotu znowu dobiegło wycie; tym razem przypominało bardziej dźwięk, jaki wydają kawałki metalu pocierane o siebie niż odgłos dobywający się z gardła żywej istoty. Stawał się stopniowo coraz głośniejszy i wyższy. Przez chwilę, podczas której Romany zauważył tępo, że rzeka trwa w bezruchu niczym tafla pomarszczonego szkła, to dzwonienie, zgrzytanie utrzymywało się na najwyższej nucie, wypełniając swym brzmieniem okolice. Po chwili wydało mu się, że coś pękło, jakby rozbiła się nad nimi ogromna kula, cicho, lecz wyczuwalnie. Upiorne wycie też ucichło i gdy rozproszone dźwięki niknęły w oszalałym, rozpaczliwym szloczu, Romany poczuł, jak powietrze odzyskuje swe normalne ciśnienie, a namiot, jakby cząsteczki czarnej tkaniny straciły nagle swe właściwości, rozbłysnął jasnożółtym płomieniem.

Romany ruszył biegiem wzdłuż brzegu, drogę oświetlał mu blask ognia; parząc sobie palce odsunął na bok płonąca połę przy wejściu i wskoczył do zadymionego wnętrza. W kącie tkwił skulony i wstrząsany łkaniem Fikee. Romany zamknął Księgę Tota, włożył do złotego pudełka, następnie wepchnął je pod pachę i wyszedł chwiejnym krokiem na zewnątrz.

Gdy oddalał się już od intensywnego gorąca, odwrócił się słysząc za plecami warczenie i popiskiwanie. Fikee wyczołgał się z namiotu i zaczął tarzać się po ziemi, chcąc najwidoczniej ugasić tłące się na nim ubranie.

– Amenofisie! – zawołał Romany, przekrzykując szum ognia.

Fikee wstał i obrzucił towarzysza tępym spojrzeniem, jakby go nie poznawał, po czym przechylił do tyłu głowę i zawył jak szakał do księżycy.

Romany natychmiast sięgnął pod płaszcz i wyciągnął dwa pistolety skałkowe. Wycelował jeden z nich i wypalił. Fikee, zgięty wpół, przeleciał dwa metry do tyłu i usiadł ciężko na ziemi; w chwilę później przekreślił się na bok i pomknął na czworakach w ciemność.

Romany wycelował drugi pistolet, najdokładniej jak tylko potrafił, i ponownie wypalił, lecz podskakująca postać nie zatrzymała się i niebawem zniknęła.

– Do diabła – wyszeptał Romany. – Umrzyj tam gdzieś, Amenofisie. Jesteś nam to winien.

Spojrzał w niebo – nie dostrzegł śladu nadchodzących bogów; wpatrywał się dostatecznie długo w zachodni horyzont, by stwierdzić z ponurą satysfakcją, że słońce nie ma zamiaru się pokazać. Potrząsnął znużony głową.

Tak to zwykle bywa z czarami w dzisiejszych czasach, pomyślał z goryczą, coś tam zadziało, choć cel nie został osiągnięty.

W końcu schował pistolety, podniósł Księgę i ruszył powoli w stronę cygańskiego obozu. Nawet psy się pochowały i Romany, idąc do namiotu Fikeego, nie napotkał nikogo. Gdy znalazł się w środku, odłożył złote pudełko, zapalił lampę, po czym długo w nocy, posługując się wahadłem, poziomcą, teleskopem i kamertonem, dokonując mnóstwa obliczeń, zarówno geometrycznych, jak i alchemicznych, starał się określić, do jakiego stopnia czar mógł zadziałać.

Rozdział 1

*A zatem cóż pozostaje w tym niepowstrzymanym strumieniu
z niesionych jego nurtem rzeczy, na których tak bardzo zależy człowiekowi?
To tak, jakby ktoś zakochał się w jednym z lecących w górze wróbli,
który już zdążył zniknąć sprzed oczu.*

Marek Aureliusz

Kierowca BMW podjechał szybko i płynnie do krawężnika, zahamował i wyłączył światła. Brendan Doyle wychylił się i spojrzął na ogrodzoną, pokrytą kamieniami rozległą posesję, przed którą się zatrzymali. Tonęła w jaskrawym blasku elektrycznych lamp zawieszonych na słupach. Słyszał było hałas pracujących gdzieś niedaleko maszyn.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – spytał nieco bezradnie.

Kierowca wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi po stronie Doyle’a. Nocne powietrze było zimne.

– Tu właśnie przebywa pan Darrow – wyjaśnił. – Proszę pozwolić, ja to wezmę – dodał, biorąc walizkę Doyle’a.

W czasie dziesięciminutowej jazdy z lotniska Heathrow Doyle się nie odzywał, ale teraz zdenerwowanie było silniejsze niż niechęć przyznania się, jak niewiele wiedział o swojej sytuacji.

– Ja, hm, z tego, co mówili ci dwaj panowie, z którymi spotkałem się w Fullerton, w Kalifornii, wywnioskowałem, że mój pobyt tutaj ma coś wspólnego z Samuelem Taylorem Coleridge’em – powiedział nieśmiało, gdy zbliżali się do furki w ogrodzeniu z drucianej siatki. – Czy może wie pan... o co dokładnie chodzi?

– Jestem pewien, że pan Darrow wyjaśni wszystko wyczerpująco – odparł kierowca, który teraz, gdy jego rola na tym etapie dobie-

gła końca, wydawał się znacznie bardziej odprężony. – Odnoszę wrażenie, że ma to związek z wykładem.

Doyle przystanął.

– Wykład? Nalegał na mój przyjazd do Londynu, dziesięć tysięcy kilometrów, tylko po to, żebym wygłosił wykład? – oferując mi dwadzieścia tysięcy dolarów, dodał w myślach.

– Naprawdę nie wiem, panie Doyle. Jak już wspomniałem, pan Darrow wyjaśni...

– A może orientuje się pan, czy ma to związek ze stanowiskiem, na które powołał ostatnio Steerfortha Bennera? – naciskał Doyle.

– Nie słyszałem o panu Bennerze – odparł z ożywieniem kierowca. – Proszę się pospieszyć, sir, harmonogram jest raczej napięty, rozumie pan.

Doyle westchnął i ruszył przed siebie. Widok zwojów drutu kolczastego wzdłuż górnej krawędzi siatki nie wpłynął na niego uspokajająco. Przyjrzał się dokładniej i zauważył małe, zapisane skrawki papieru, a także gałązki jakiejś rośliny, być może jemioly, przymocowane w pewnych odstępach do drutu. Przyszło mu do głowy, że pogłoski o Interdyscyplinarnej Badawczej Inicjatywie Darrowa – IBID – są prawdziwe.

– Powinienem chyba wspomnieć o tym wcześniej – zwrócił się żartobliwym tonem do kierowcy – ale nie potrafię wywoływać duchów.

Mężczyzna postawił walizkę na ziemi i wcisnął jeden z guzików przy furtce.

– Nie sędzę, by to było konieczne, sir – odparł.

Po drugiej stronie ogrodzenia spieszył w ich stronę umundurowany strażnik.

No cóż, siedzisz w tym po same uszy – powiedział do siebie Doyle. – Będiesz mógł przynajmniej zatrzymać pięć tysięcy dolarów, nawet jeśli odrzucisz ofertę... cokolwiek to jest.

Gdy godzinę wcześniej stewardesa obudziła go, by przypomnieć o zapięciu pasa, Doyle odczuł ulgę, ponieważ znowu śniła mu się śmierć Rebeki. W pierwszej części snu zawsze był nieznanym, obdarzonym wiedzą o przyszłości, który próbuje rozpaczliwie odzyskać Brendana i Reбекę Doyle'ów, nim zdążą wsiąść na motocykl, albo przynajmniej nim Doyle zdąży wjechać starą hondą na kręty zjazd z Beach Boulevard na Santa Ana Freeway. Nieodmiennie jed-

nak ponosił porażkę, skręcając z piskiem opon na rogu ulicy, tylko po to, by ujrzeć z przerażeniem, jak stary motocykl przyspiesza, pochyla się na zakręcie i znika za horyzontem. Zwykle budził się siłą woli w tym momencie, ale tym razem wypił kilka szklaneczek whisky, więc mogło mu się to nie udać.

Usiadł i zamrugał, wodząc spojrzeniem po rozległej kabinie samolotu i ludziach na sąsiednich fotelach. Paliły się światła i tylko za oknem widać było cętkowaną ciemność, a więc znów była noc, choć pamiętał, że jeszcze kilka godzin wcześniej spoglądał w dół przez lodowate połacie chmur. Podróż odrzutowcem była i tak już dezorientująca, nawet jeśli nie przelatywało się nad biegunami, wskutek czego trudno było odgadnąć, jaki to dzień. Gdy ostatnim razem leciał do Anglii, było po drodze lądowanie w Nowym Jorku, ale IBID oczywiście nie mogło czekać.

Wyciągnął się tak wygodnie, jak pozwalała na to jego fotel, a wtedy z rozkładanego stoliczka, który miał przed sobą, zsunęła się książka i kilka kartek. Kartki spadły z szelestem na podłogę, książka zaś z głuchym uderzeniem. Jakaś dama po drugiej stronie przejścia podskoczyła na swoim siedzeniu. Doyle, zakłopotany, uśmiechnął się przeprasząco i schylił się, żeby podnieść książkę i papiery. Porządkując je i widząc przy okazji sporo pustych miejsc i postawionych znaków zapytania, zastanawiał się ponuro, czy nawet w Anglii, gdyż zamierzał wykorzystać tę darmową podróż dla własnych badań, uda mu się wygrzebać jakieś informacje na temat poety, którego biografię starał się napisać od dwóch lat. Z Coleridge'em było prościej, myślał wpychając papiery do teczki, która stała między jego stopami; za to William Ashbless to wielka niewiadoma.

Książką, która zsunęła się ze stolika, była praca Baileya *Życie Williama Ashblessa*. Spadła rozłożona na podłogę i kilka pozóbkłych ze starości stronic oderwało się. Umieścił je ostrożnie na swoim miejscu, zamknął delikatnie książkę, wytarł palce z kurzu i zaczął wpaływać się w mało przydatne dzieło.

Powiedzieć, że życie Ashblessa zostało udokumentowane w sposób niezadowolający, pomyślał strapiiony, to eufemizm. William Hazlitt dokonał w 1825 roku krótkiej oceny jego dzieł, dorzucając przy okazji kilka szczegółów o samym autorze, a najbliższy przyjaciel Ashblessa, James Bailey napisał pełną luk i niedomówień biografię, którą z braku lepszej uznano za miarodajne opracowanie. Doyle zdołał uzupełnić tekst o kilka listów, wycinków z gazet i raportów policyjnych, ale życie poety wciąż było pełne białych plam.

Na przykład, w jakim mieście Wirginii mieszkał Ashbless od swoich narodzin do 1810 roku? Poeta wspominał przy jakiejś okazji, że w Richmond, gdzie indziej że w Norfolk, ale w żadnym z tych miast nie zachowały się ślady jego pobytu. Doyle skłaniał się ku przekonaniu, że kłopotliwy poeta zmienił nazwisko, kiedy przybył do Londynu. Osobiście wyszukał nazwiska kilku mieszkańców Wirginii w wieku dwudziestu pięciu lat, którzy zniknęli latem 1810 roku. Londyńskie lata Ashblessa były stosunkowo łatwe do ustalenia, chociaż biografia Bailey'a, będąca wersją podaną przez samego Ashblessa, miała wątpliwą wartość, krótka zaś podróż do Kairu w 1811 roku, w nieznanym celu, była przynajmniej udokumentowana.

To, czego brakuje, myślał Doyle, to szczegóły, a niektóre z białych plam w życiu poety nie dawały mu spokoju. Istniał, na przykład, prawdopodobny związek Ashblessa z czymś, co Sheridan określał nieodmiennie jako *Oblęd Tańczących Małp*: chodziło o zadziwiająco wysoką liczbę – według trzeźwych ocen sześć, według bardziej fantastycznych trzysta – pokrytych futrem stworów, które pojawiały się wokół Londynu, a także w samym mieście, między rokiem 1800 a 1810; były to najprawdopodobniej ludzkie istoty, które, przepelnione bólem, podrygiwały gwałtownie, przyprawiając świadków o szok, a potem padały na ziemię i umierały w straszliwych konwulsjach, czym wywoływały jeszcze większą grozę. Madame de Staël zanotowała, jakoby Ashbless przyznał jej się kiedyś po pijanemu, iż wie o tej dziwacznej pladze więcej niż ośmielił się kiedykolwiek zdradzić, i co nie ulegało wątpliwości, że zabił jedną z owych istot w kawiarni niedaleko Threadneedle Street, w tydzień po swym przybyciu do Londynu... Niestety ku zmartwieniu Doyle'a trop w tym miejscu się urywał. Najwidoczniej Ashbless nigdy nie upił się do tego stopnia, by opowiedzieć de Staël całą tę historię, gdyż w przeciwnym razie przekazałaby ją komuś, a biografia Bailey'a naturalnie nie wspominała o tym ani jednym słowem.

I jakie były okoliczności jego śmierci? Bóg jeden wie, myślał Doyle, ilu wrogów narobił sobie ten człowiek za życia, ale który z nich dopadł go dwunastego kwietnia 1846 roku? Jego ciało znaleziono miesiąc później na bagnach. Było w stanie rozkładu, lecz udowodniono, że to jego zwłoki, podobnie jak to, że został pchnięty szpadą w brzuch.

Do diabła, myślał Doyle, wpatrując się przygnębiony w książkę na swoich kolanach, więcej wiadomo o Szekspirze. A przecież Ashbless był współczesny ludziom takim jak lord Byron, a więc ludziom,

których życie udokumentowano zadziwiająco dokładnie! Mówiąc szczerze, człowiek ten był pomniejszym poetą, a skromny i niełatwy dorobek zostałby całkowicie zapomniany, gdyby nie kilka bardzo krytycznych uwag Hazlitta i Wordswortha. Dlatego jego utwory zamieszczano czasem w szczególnie wyczerpujących antologiach; życie człowieka powinno jednak pozostawić po sobie więcej śladów.

Zobaczył przez okno po drugiej stronie przejścia, że migotliwe światła Londynu zbliżają się, i doszedł do wniosku, że stewardesa nie przyniesie mu nic do picia tuż przed lądowaniem. Rozejrzał się, a potem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki płaską flaszkę, odkorkował i nalał trochę do plastikowego kubka, w którym podano mu ostatniego drinka. Odłożył flaszkę i odetchnął, żałując, że nie może zapalić jednego z cygar spoczywających w drugiej kieszeni.

Łyknął ciepłej whisky i uśmiechnął się. Laphroaig był wciąż cholernie dobry, choć nie mógł równać się z tym cudem, w jaki się przestaczał, gdy miał moc 45%. Prawdę mówiąc, pomyślał, te nowe cygara z Republiki Dominikany nie dorównują tym, które produkowano na Wyspach Kanaryjskich.

Przyszło mu też do głowy, że żadna z młodych kobiet, z którymi się spotykał od śmierci Rebeki, nie była w ogóle interesująca.

Otworzył starą książkę i wlepił wzrok w rycinę na tytułowej stronie, portret skopiowany z popiersia dłuta Thorvaldsena: patrzył na niego brodaty poeta o zapadniętych oczach. Dzięki mistrzostwu rzeźbiarza można było się domyślić potężnego wzrostu i szerokich barów. Jak to było za twoich czasów, Williamie? – zastanawiał się Doyle. Czy cygara, whisky i kobiety były lepsze?

Przez chwilę wyobrażał sobie, że nieznacny, ironiczny uśmiech Ashblessa jest adresowany do niego... Potem doznał takiego zawrotu głowy, że niemal upuścił kubek i złapał się za poręcz swojego fotela, gdyż wydało mu się, że Ashbless naprawdę patrzy na niego wzrokiem pełnym pogardliwego rozbawienia, z dystansu stu pięćdziesięciu lat.

Doyle potrząsnął gwałtownie głową i znowu odłożył książkę. Właśnie w takich chwilach wiadomo, że człowiek jest zmęczony, powiedział sobie. Kiedy facet martwy od ponad wieku mruga do ciebie z portretu. Z Coleridge'em nigdy mu się to nie zdarzyło.

Włożył książkę do teczki, w której znajdowała się zebrana przez niego w charakterze referencji biografia Samuela Taylora Coleridge'a – *Bliski gość*. Pragnął początkowo, by jego następną książką była praca na temat „Poetów Jezior”, ale recenzje *Bliskiego gościa*, a także wyniki sprzedaży sprawiły, że jego wydawca w Devriess University Press

zasugerował, by Doyle kontynuował pracę nad, jak się wyraził, „mniej zbadanym obszarem”. „Podziwiałem – przekonywał go wydawca – pańskie dwa artykuły w prasie uniwersyteckiej, które, z pewnym sukcesem, objaśniły mroczny sens wersów Williama Ashblessa. Być może biografia tego niezwykłego poety zostanie uznana przez krytyków i uczelnianych bibliotekarzy za przełomowe dzieło”.

No cóż, myślał Doyle, zamykając teczkę, jeśli nie ucieknę się do absolutnej fikcji, to wszystko wskazuje na to, że będzie to cholernie krótka książka.

Samolot zniżał lot, i gdy Doyle ziewnął, odetkały mu się uszy. Zapomnij na razie o Ashblessie, pomyślał. Za cokolwiek Darrow płaci ci dwadzieścia tysięcy dolarów, musi mieć to związek z Coleridge’em.

Napił się jeszcze whisky, żywiąc nadzieję, że jego obowiązki nie będą wymagały uczestnictwa w seansach spirytystycznych czy czegoś w tym rodzaju. Widział kiedyś tom poezji, który za pośrednictwem jakiegoś medium podyktował duch Shelleya, i teraz podejrzewał, że jego robota w IBID może mieć podobny charakter. Zastanawiał się też, czy dwadzieścia tysięcy dolarów to dostatecznie wysoka suma za wyrzeczenie się zawodowej godności i uczestnictwo w podobnych bzdurach. Opróżnił swój kubek, ponieważ miał wrażenie, że samolot za chwilę wylądaje.

Było z pewnością dziwnym zbiegiem okoliczności, że tyle się ostatnio słyszało o IBID. Miesiąc wcześniej zaproponowali pracę Steerforthowi Bennerowi, najzdolniejszemu absolwentowi wydziału literatury angielskiej, jakiego Doyle kiedykolwiek uczył. Doyle przypomniał sobie swoje zdziwienie, gdy się dowiedział od Bennera, że IBID wciąż istnieje. Słyszał oczywiście o tej firmie; zaczynała skromnie w latach trzydziestych, by stać się pod kierownictwem swego nietuzinkowego założyciela filarem amerykańskiego przemysłu naukowego, mogącym rywalizować z IBM czy Honeywell. Uczestniczyli na wielką skalę w przedsięwzięciach typu program kosmiczny czy badania podwodne, a w latach sześćdziesiątych, jak Doyle sobie przypominał, nieodmiennie sponsorowali sztuki Szekspira wystawiane w telewizji bez reklam. Jednak w latach siedemdziesiątych informacje o działalności firmy przestały się pojawiać i Doyle przeczytał gdzieś – w *National Enquirer*, jak mu się zdawało, że J.Cochran Darrow ma raka i po wypróbowaniu wszelkich tradycyjnych metod leczenia, wykorzystując środki dostępne IBID, zwrócił się ku okultyzmowi, w nadziei znalezienia jakiegoś lekarstwa w mrocznych księgach magii. *Newsweek* zauważył tylko, że IBID zwalnia większość

swego personelu i zamyka ośrodki badawcze. Doyle przypomniał sobie również artykuł w czasopiśmie *Forbes* zatytułowany „Kłopoty IBIDem” na temat nagłego spadku wartości firmy.

I wtedy wyszukali Bennera i zaoferowali mu lukratywne, choć bliżej nie sprecyzowane stanowisko. Pewnej nocy Benner opowiedział Doyle’owi nad kuflem piwa o wszystkich testach, jakie musiał przejść, by się zakwalifikować: sprawdzono jego czujność w stanie zmęczenia i rozkojarzenia, wytrzymałość fizyczną i zręczność, umiejętność szybkiego rozwiązywania skomplikowanych problemów logicznych. Został nawet poddany kilku testom, które wydały się Doyle’owi odrażające, a które, jak się zdawało, miały ocenić, na ile Benner jest zdolny do bezwzględnego postępowania. Benner przebrnął przez nie z powodzeniem i choć powiedział później Doyle’owi, że został przyjęty na to stanowisko, to jednak zręcznie, choć jak zwykle przyjaźnie, unikał wszelkich pytań dotyczących samej pracy.

No cóż, myślał Doyle, gdy koła samolotu z lekkim wstrząsem dotknęły pasa startowego, może dowiem się tego, czego Benner nie chciał mi powiedzieć.

Strażnik otworzył bramę i odebrał walizkę od kierowcy, który skinął grzecznie głową i odszedł w stronę pomrukującego BMW. Doyle odetchnął głęboko i przeszedł na drugą stronę ogrodzenia, strażnik zaś zamknął za nim bramę.

– Miło nam pana gościć, sir – wyrecytował podniesionym głosem, by przekrzywić warkot dieslowskich silników. – Zechce pan udać się za mną.

Teren był bardziej rozległy niż wyglądało to od strony ulicy, tym bardziej że strażnik prowadził go drogą okrężną, by uniknąć spotkania z groźnymi przeszkodami. Wielkie, żółte spychacze, które wprawiały ziemię w drgania, kołysały się i przemieszczały z miejsca na miejsce; swoimi kołami rozgniatały na pył kamienie wielkości ludzkiej głowy, wzniesając kurz i straszliwy hałas. Gromadziły niezmiernie ilości gruzu w wielkie hałdy, a potem spychały je gdzieś w ciemność; gruz, jak zauważył Doyle, był świeży, kamienie miały białe krawędzie i wydierały ostrą woń. Kręcili się tam też ludzie, którzy kładli grube kable elektryczne, spoglądali przez instrumenty miernicze i wykrzykiwali jakieś liczby do swoich walkie-talkie. Pierścień silnych reflektorów mnożył cienie każdego obiektu.

Strażnik miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i stawiał długie kroki, więc niższy od niego Doyle, zmuszony chwilami do biegu, by nie zostać w tyle, szybko się zasapał. Po cholere ten przeklęty pośpiech, zastanawiał się gniewnie; choć jednocześnie przyrzekł sobie, że rano znów zacznie ćwiczyć przysiady i pompki.

W świetle płynącym z reflektorów dostrzegł starą, pociętą, aluminiową przyczepę na kołach, z podłączonymi kablami i przewodami telefonicznymi. Był to, jak się okazało, cel ich wędrówki. Strażnik pokonał jednym skokiem trzy schodki i zapukał, a kiedy ktoś krzyknął od środka: „Wejść!”, zszedł na ziemię i skinął na Doyle’a.

– Pan Darrow czeka na pana.

Doyle wspiął się po schodkach, otworzył drzwi i wszedł do przyczepy. Jej wnętrze zarzucone było książkami i mapami; niektóre wyglądały jak starodruki z muzeum, inne były zupełnie nowe; jednak z wszystkich korzystano; mapy z kolorowymi pinezkami pokrywały nabazgrane ołówkiem notatki, a książki, nawet te najstarsze i w najbardziej opłakanym stanie, były pootwierane i pomazane flamastrami.

Zza wysokiego stosu książek podniósł się stary człowiek. Doyle był mimochodem poruszony, rozpoznając J.Cochrana Darrowa, znanego mu dotychczas z setek zdjęć, jakie widywał od wielu lat w magazynach i gazetach. Początkowo zamierzał traktować bogatego, lecz schorowanego i starego człowieka pobłaźliwie, ale pod wpływem świdrującego i lodowatego spojrzenia od razu wyzbył się takich zapędów.

Choć włosy starca były jaśniejsze i rzadsze niż na stosunkowo świeżych zdjęciach, a policzki bardziej zapadnięte, Doyle bez trudu uwierzył, że ma przed sobą człowieka, który był pionierem badań w tak wielu dziedzinach nauki, że trudno było je wszystkie wymienić, i że przekształcił małą fabryczkę działającą w niewielkim miasteczku w finansowe imperium, przy którym dokonania innych milionerów wypadały wręcz blade.

– Pan jest Doyle, mam nadzieję – stwierdził swoim słynnym, głębokim głosem, który wciąż był silny.

– Tak, sir.

– Dobrze. – Darrow przeciągnął się i ziewnął. – Proszę mi wybaczyć, przesiaduję do późna. Niech pan siada, gdziekolwiek pan znajdzie miejsce. Brandy?

– Z przyjemnością.

Doyle usiadł na podłodze obok sięgającego kolan stosu książek, na którym w chwilę później Darrow postawił dwa papierowe kubki i butelkę Hennessy w kształcie gruszki. Starzec usiadł ze skrzyżowanymi nogami po drugiej stronie. Doyle zauważył ze zgrozą, że Darrow, uginając kolana, nawet nie stęknął. Przysiady i pompki – powtórzył w myśli.

– Wyobrażam sobie, że zastanawiał się pan nad charakterem tej pracy – rzekł Darrow, nalewając koniak. Chcę, by zapomniał pan o wszelkich wnioskach, do jakich pan doszedł. Nie mają z tym nic wspólnego. Proszę. – Podał Doyle’owi kubek. – Zna się pan na Coleridge’u, prawda?

– Tak – odparł ostrożnie Doyle.

– I dysponuje pan wiedzą o jego czasach? Orientuje się pan, co działo się wtedy w Londynie, w Anglii, na świecie?

– Całkiem nieźle, jak sądzę.

– A przez słowo „wiedza” rozumiem nie to, że ma pan w domu książki na ten temat albo że wie pan, gdzie ich szukać w bibliotece uniwersytetu kalifornijskiego. Chodzi mi o to, czy ma pan je w głowie, co jest znacznie poręczniejsze. Odpowiedź nadal brzmi „tak”?

Doyle skinął głową.

– Niech pan mi opowie o Mary Wollstonecraft. Ale nie o tej, która napisała *Frankensteina*, tylko o matce.

– No cóż, była prekursorką feminizmu, napisała książkę, chwileczkę, *Obrona praw kobiet*, jak mi się wydaje, i...

– Kogo poślubiła?

– Godwina, teścia Shelleya. Umarła w połóg...

– Czy Coleridge naprawdę dokonał plagiatu Schlegla?

Doyle zamrugał.

– Hm, tak. Niewątpliwie. Ale sądzę, że Walter Jackson Bate ma rację, kładąc to raczej na karb...

– Kiedy zaczął zażywać opium?

– W czasie pobytu w Cambrigde, chyba w 1790.

– Kim był... – zaczął Darrow, ale przerwał mu telefon. Starzec zaklął, wstał i podszedł do aparatu; podniósł słuchawkę i zaczął jakąś przerwana niewątpliwie wcześniej dyskusję na temat cząsteczek i ołowianej osłony.

Przez grzeczność, a także brak zainteresowania tematem rozmowy, Doyle udał zaciekawienie najbliższym stosem książek – które po chwili przerodziło się w najwyższe zdumienie. Wziął ostrożnie do ręki tom leżący na samym wierzchu.

Otworzył go, a wtedy pełne niedowierzania przypuszczenie sprawdziło się; był to dziennik lorda Robba, o którego kserokopię Doyle błagał British Museum od roku. Jak Darrow wszedł w jego posiadanie, było niepojęte. Choć Doyle nigdy nie widział tej książki, czytał na jej temat i wiedział, czego dotyczy. Lord Robb był kryminologiem-amatorem, a jego dziennik stanowił źródło najbardziej niezwykłych i często niewiarygodnych historii kryminalnych z pierwszych dwudziestu lat dziewiętnastego wieku; prócz opowieści o szczurach przyuczonych do zabijania, zemstach z za grobu, sekretnych bractwach złodziejskich i żebraczych, zawierał jedyną szczegółową relację z egzekucji legendarnego mordercy londyńskiego, znanego jako Joe Psia Twarz; był on powszechnie uważany za wilkołaka, rzekomo zdolnego zamieniać się na ciała z kimkolwiek, lecz który nie był w stanie zrzucić z siebie przekleństwa likantrofii. Doyle chciał jakoś powiązać tę historię z Obłędem Tańczących Małp, przynajmniej w stopniu, który pozwalałby na dyskusyjny przypis, dowodzący jak starannie autor opracował temat.

Kiedy Darrow skończył rozmawiać, Doyle zamknął książkę i odłożył na swoje miejsce, zaznaczając w pamięci, by poprosić później o jej kopię.

Darrow znowu usiadł obok stosu książek, na którym stała butelka i kubki, i kontynuował rozmowę dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwał. Przez następne dwadzieścia minut zasypywał Doyle'a pytaniami, przeskakując z tematu na temat i rzadko pozwalając go rozwinąć; czasem żądał, by Doyle przedstawił wszystkie szczegóły danego zagadnienia: przyczyny i skutki Rewolucji Francuskiej, życie miłosne brytyjskiego księcia regenta, detale dotyczące ubiorów i architektury, różnice występujące w regionalnych dialektach. A Doyle, który dobrze pamiętał niedawne badania dotyczące osoby Ashblessa, zdołał odpowiedzieć niemal na wszystkie pytania.

W końcu Darrow odchylił się i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów bez filtra.

– A teraz – powiedział, zapalając i zaciągając się głęboko – chcę, by zmyślił pan odpowiedź.

– Zmyślił?

– Zgadza się. Powiedzmy, że znajdujemy się w pokoju pełnym ludzi, z których kilkoro wie o literaturze więcej od pana, ale uchodzi pan za miejscowego eksperta, więc musi pan przynajmniej sprawiać wrażenie człowieka, który wie wszystko. No więc ktoś pyta pana, dajmy na to: „Panie Doyle, w jakim stopniu, według pana, ulegał

Wordsworth filozofii wyrażonej w sztukach pisanych wierszem, których autorem był... no... na przykład sir Arky Malarkey”? Szybko!

Doyle uniósł brwi.

– No cóż, jest błędem, jak sędzę, upraszczać w ten sposób dzieło Malarkeya. Kiedy śledzi się uważnie dojrzewanie myśli tego autora, wyłania się kilka systemów filozoficznych. Jedyne ostatnie jego dokonania mogłyby przemawiać do Wordswortha, a jak wykazują w swoim *Concordium* Fletcher i Cunningham, nie ma bezpośredniego dowodu, że Wordsworth tak naprawdę czytał Malarkeya. Sędzę, że przy próbie określenia systemów filozoficznych, które miały wpływ na Wordswortha owocniej jest rozważać... – Przerwał i uśmiechnął się niepewnie do Darrowa. – Mógłbym następnie rozwodzić się bez końca nad tym, jaki wpływ wywarła na niego Deklaracja Praw Człowieka z Rewolucji Francuskiej.

Darrow przytaknął, patrząc spod zmrużonych powiek przez chmurę wijącego się dymu.

– Nieźle – przyznał. – Miałem tu dziś po południu pewnego faceta; Nostrand z Oxfordu, wydaje na nowo listy Coleridge’a. Był on oburzony samą ideą zmyślonej odpowiedzi.

– Nostrand ma najwidoczniej bardziej rozwinięte poczucie etyki niż ja – stwierdził trochę sztywno Doyle.

– Najwidoczniej. Nazwałby się pan cynikiem?

– Nie. – Doyle zaczął się irtować. – Niech pan posłucha, spytał mnie pan, czy umiem za pomocą blefu odpowiedzieć na pytanie, a ja, niemal natychmiast, spróbowałem to zrobić. Nie mam jednak zwyczaju twierdzić, że znam rzeczy, o których w rzeczywistości nie mam pojęcia. Czy to w słowie drukowanym, czy na zajęciach ze studentami, zawsze jestem gotów przyznać...

Darrow roześmiał się i podniósł dłoń.

– Spokojnie, synu, nie to miałem na myśli. Nostrand jest głupcem, a pański blef podobał mi się. Chodziło mi o to, czy jest pan cynikiem. Czy jest pan skłonny odrzucać nowe idee, jeśli przypominają one panu coś, co zdążył już pan uznać za nonsens?

No i mamy seans spirytystyczny, pomyślał Doyle.

– Nie sędzę – powiedział ostrożnie.

– A gdyby ktoś stwierdził, że posiada niezaprzeczalny dowód na to, iż astrologia działa, albo że wewnątrz ziemi istnieje zagubiony świat, lub że jakakolwiek z rzeczy uznawanych przez inteligentnego człowieka za niemożliwe, jest możliwa? Byłby pan skłonny go wysłuchać?

Doyle zmarszczył brwi.

– To by zależało od tego, kto tak twierdzi. Choć prawdopodobnie nie.

No dobra, pomyślał. Wciąż mam pięć tysięcy i bilet powrotny.

Darrow skinął głową, wyraźnie zadowolony.

– Mówi pan to, co myśli, to dobrze. Pewien stary oszust, z którym wczoraj rozmawiałem, był gotów się zgodzić, że księżyc to jedna z zagubionych piłek golfowych Boga, gdybym tylko tak powiedział. Strasznie był napalony na dwadzieścia tysięcy. No dobrze, damy panu szansę. Czasu jest niewiele, a ja obawiam się, że jest pan najlepszym specjalistą od Coleridge’a, jakiego możemy mieć.

Stary człowiek westchnął, przesunął palcami po rzednących włosach i posłał Doyle’owi twarde spojrzenie.

– Czas – powiedział z powagą – można przyrównać do rzeki płynącej pod warstwą lodu. Napina ona nas, jakbyśmy byli wodorostami, od korzenia po czubek, od narodzin do śmierci, opływając wszelkie skały czy przeszkody, które trafiają się na naszej drodze; i nikt nie może wyjść z tej rzeki przez ów lodowy dach, nikt też nie może ruszyć pod prąd.

Przerwał, by zgasić papierosa na jakiejś starej, marokańskiej oprawie książki.

Doyle był najwyraźniej rozczarowany, słysząc niejasne komunały, podczas gdy spodziewał się, że jego sceptycyzm wobec ewentualnych rewelacji będzie wystawiony na ciężką próbę. Podejrzywał, że mimo wszystko z głową starego człowieka nie wszystko było w porządku.

– Hm – odezwał się, mając wrażenie, że oczekuje się po nim jakiejś odpowiedzi. – Bardzo interesujące założenie, sir.

– Założenie? – Teraz z kolei Darrow był poirytowany. – Nie zajmuję się założeniami, chłopcze. – Zapalił następnego papierosa i zaczął mówić cicho, ale gniewnie, niemal do samego siebie. – Mój Boże, najpierw wyczerpuję całą strukturę współczesnej nauki, próbuję ją objąć! Potem spędzam lata na wyciskaniu prawdy, kropla po kropli, z pewnych... starodawnych pism, sprawdzając rezultaty i systematyzując je. Później muszę nakłonić, namówić prośbą i groźbą, a nawet w dwóch przypadkach zaszantażować chłopców w moich laboratoriach w Denver, a przecież faceci od teorii kwantowej, na litość boską, są rzekomo genialnymi i najbardziej elastycznymi naukowcami w dzisiejszych czasach. Muszę ich wręcz tyranizować, by zechcieli chociażby rozważyć dziwne lecz diabelnie empiryczne dowody, i wyegzekwo-

wać siłą, by nadali im jakiś praktyczny kształt. Zrobili to w końcu, a wymagało to syntezy całkiem nowego języka, składającego się po części z nieeuklidesowej geometrii, po części z rachunku tensorowego, po części z symboli alchemicznych, no i mam wyniki. Jest to najważniejsze odkrycie w mojej karierze, czy jakiegokolwiek od 1916 roku, i staram się wyjaśnić całą rzecz w jednym zdaniu ludzkiej mowy... Robię jakiemuś pomniejszemu wykładowcy łaskę, pozwalając mu wysłuchać... A on uważa, że powiedziałem coś w rodzaju „Życie jest snem”, czy „Miłość pokona wszystko”.

Wypuścił kłąb dymu z przeciągłym, pełnym irytacji świstem.

Doyle czuł, jak twarz mu czerwienieje.

– Starałem się być grzeczny, panie Darrow, a...

– Ma pan rację, panie Doyle, nie jest pan cyniczny. Pan jest po prostu głupi.

– Dlaczego nie pójdzie pan do diabła, sir? – spytał Doyle głosem, któremu starał się nadać ton nonszalancji. – Niech pan sobie jeździ na łyżwach po tej pańskiej zamarzniętej rzece, dobra? – Wstał i wychylił resztę brandy. – I może pan sobie zatrzymać swoje pięć tysięcy, wezmę tylko bilet powrotny i poproszę o odwiezienie na lotnisko. Natychmiast. – Doyle zauważył, że Darrow wciąż marszczy brwi, a starcza skóra wokół jego oczu zaczyna się ściągać. Doyle jednak był zbyt rozgniewany, by usiąść ponownie. – Niech pan sprowadzi tu starego Nostranda i powie mu o wodorostach i całej reszcie tych pańskich bzdur.

Darrow podniósł głowę i przyglądał mu się.

– Nostrand zyskałby pewność, że oszalałem.

– A więc niech go pan tu sprowadzi za wszelką cenę, będzie to pierwszy raz, kiedy ten człowiek się nie pomyli.

Starzec uśmiechał się szeroko.

– A tak na marginesie, Nostrand doradzał mi, bym dał sobie z panem spokój. Mówił mi, że jedyne, co pan potrafi, to umiejętnie wykorzystywać osiągnięcia innych ludzi.

Doyle otworzył usta, by rzucić jakąś wściekłą ripostę, ale tylko westchnął.

– Do diabła z tym – powiedział. – Gdyby jeszcze Nostrand nazwał pana zbikowanym, to byłby to już drugi raz w życiu, jak miał rację.

Darrow roześmiał się z zadowoleniem.

– Wiedziałem, że się nie mylę co do pana, Doyle. Proszę siadać.

Byłoby oznaką złego zachowania wyjść teraz, kiedy Darrow napełniał jego kubek, więc posłuchał, uśmiechając się niezbyt mądrze.

– Potrafi pan wyprowadzić człowieka z równowagi – zauważył.
– Jestem starym człowiekiem, który nie spał od trzech dni. Szkoda, że mnie pan nie poznał trzydzieści lat temu. – Zapalił następnego papierosa. – Niech pan spróbuje to sobie teraz wyobrazić; gdyby mógł pan stanąć nad rzeką czasu, powiedzmy na jakimś brzegu, i przeniknąć wzrokiem lód, to nic nie stałoby na przeszkodzie, by udać się w górę strumienia i ujrzeć Rzym i Niniwę w dniach ich świetności, albo też w dół, i zobaczyć, co szykuje dla pana przyszłość.

Doyle skinął głową.

– A zatem po przejściu piętnastu kilometrów w górę rzeki zobaczyłoby się zasztyletowanie Cezara, a po przejściu siedemnastego jego narodziny.

– Zgadza się! Podobnie płynąc pod prąd, dociera się wpierw do czubków wodorostów, a dopiero później do ich korzeni. A teraz, proszę słuchać uważnie, dochodzimy do sedna sprawy; coś kiedyś spowodowało, że w tej metaforycznej skorupie lodowej powstały szczeliny. Niech pan mnie nie pyta, jak do tego doszło, proszę przyjąć, że na przestrzeni z grubsza sześciuset lat można dojrzeć wiele... rozrzuconych szczelin, przypominających swym układem dziury po pocisku śrutowym, szczelin, w których nie zachodzą pewne normalne reakcje chemiczne, a skomplikowane maszyny nie działają, natomiast funkcjonuje system, który zwiemy magią. – Obdarzył Doyle'a wyzywającym spojrzeniem. – Niech pan spróbuje, Doyle, niech pan tylko spróbuje.

Doyle skinął głową.

– Proszę mówić dalej.

– A zatem w jednej z tych szczelin nie będzie działać telewizja, ale właściwie przyrządzony eliksir miłości – Tak! Nadażę pan za mną?

– Och, bez trudu. Ale czy nikt już wcześniej nie zauważył tych szczelin?

– Oczywiście, że tak. Te okładki, które widzi pan przy oknie, pełne są wycinków z gazet i zapisków dokonywanych w różnych pamiętnikach, poczynawszy od 1624 roku. Nadmieniają one o sytuacjach, kiedy to magia zdawała się naprawdę, w udokumentowany sposób, działać, a po wiekach można znaleźć jakąś wzmiankę, akurat tego samego dnia i miesiąca, o awarii w dopływie prądu czy też zakłóceniach radiowych na tym samym obszarze. Niech pan sobie wyobrazi, człowieku, że jest w Soho ulica, którą ludzie wciąż nazywają cmentarzyskiem samochodów, ponieważ przez sześć dni w 1954 roku każdy samochód, który na nią wjechał, psuł się i musiał być odholowany...

przez konie! – a potem zapalał bez trudu na następnej ulicy. Dodam, że pewna trzeciorzędna spirytystka o właściwościach medium, która tam mieszkała, organizowała, akurat tego tygodnia, popołudniową herbatkę i seanse spirytystyczne; nikt nigdy się nie dowiedział, co się naprawdę wydarzyło, ale wszystkie damy znaleziono martwe, lodowato zimne już w niecałą godzinę po zgonie, i to w ogrzewanym pokoju, z wyrazem najwyższego przerażenia na twarzach. Historia została przez prasę zbagatelizowana, awarie samochodów zaś przypisano, cytując: „akumulacji statycznych ładunków elektrycznych”. Istnieją setki podobnych przykładów. Natknąłem się na to, gdy... no cóż, próbowałem osiągnąć coś, czego nie udało się nauce, a także stwierdzić, czy, kiedy i gdzie mogłaby zadziałać magia. Stwierdziłem, że te promagiczne-antymaszynowe pola są umiejscowione wokół Londynu i rozrzucone na przestrzeni dziejów na wzór krzywej w kształcie dzwonu, której szczyt przypada, mniej więcej, między 1800 a 1805 rokiem; występowały bardzo często w tych właśnie latach, choć były raczej krótkotrwałe i obejmowały swym zasięgiem niewielki obszar. Stawały się natomiast szersze i rzadsze, im dalej od lat szczytowych. Nadażę pan?

– Tak – odparł ostrożnie Doyle. – Aż do tysiąc sześćsetnego roku, powiada pan? A zatem szczeliny w owym czasie, gdyby się ujawniły, występowałyby rzadko, ale byłyby dłuższe pod względem czasu ich trwania. A potem pojawienie ich przyspieszałoby się i skracало równocześnie, a częstotliwość ich występowania około 1802 roku przypominałaby tykanie licznika Geigera. Później nastąpiło ponowne ich spowolnienie i wydłużenie. Czy zanikają całkowicie przy obu końcach krzywej?

– Dobre pytanie. Owszem. Równania wykazują, że najwcześniejsza przypadła na rok 1504, a zatem krzywa sięga na odległość trzystu lat w każdą stronę, co daje łącznie około sześciuset lat. W każdym razie, kiedy zacząłem dostrzegać tę zależność, byłem tak zafascynowany, że niemal zapomniałem o swoim pierwotnym celu. Próbowałem zaprząć do pracy nad tą łamigłówką moich chłopców. Niestety! Widzieli tylko szalonego starca, podjęto też kilka prób umieszczenia mnie w odpowiedniej instytucji. Ale wypłatałem się z sieci i zmusiłem ich do kontynuacji badań, do wykorzystania w programach komputerowych zasad Bessonusa i Midorgiusa oraz Ernesta Burgraviusa; no i w końcu dowiedziałem się, czym były i są te szczeliny: szczelinami w murze czasu.

– Dziury w lodzie pokrywającym rzekę – przytaknął Doyle.

– Zgadza się – niech pan sobie wyobrazi dziury w tym lodowym sklepieniu; jeśli część pańskiego życia, jakiś fragment wodorostu siedemdziesięcioletniej długości, znajdzie się przypadkowo pod jedną z tych dziur, to nic nie stoi na przeszkodzie, by wyjść ze strumienia akurat w tym punkcie.

– Dokąd? – spytał ostrożnie Doyle, pilnując się, by w jego głosie nie zabrzmiał ton szyderstwa czy litości. Pomyślał: Może do Oz? Albo do nieba, czy może nawet królestwa nieskażonych warzyw.

– Donikąd – odparł niecierpliwie Darrow. – Do bezczasu. Wszystko, co można zrobić, to wejść w następną szczelinę.

– I wylądować w rzymskim senacie, żeby zobaczyć, jak akurat mordują Cezara. Nie, przepraszam, dziury sięgają tylko 1500 roku; no dobrze, zobaczyć wielki pożar Londynu w 1666.

– Słusznie, jeśli akurat w tym czasie znajduje się szczelina. I w tym miejscu. Nie można wejść z powrotem do rzeki czasu w dowolnym miejscu, a jedynie przez istniejącą szczelinę. No i – stwierdził z nutą dumy typową dla odkrywcy – można wycelować w taką a nie inną szczelinę, wszystko zależy od mocy... napędu wykorzystanego przy wychodzeniu ze swojej szczeliny. Poza tym jest możliwe dokładne określenie położenia szczeliny w czasie i przestrzeni. Pojawiają się według matematycznie przewidywalnego wzoru ze swego źródła – czymkolwiek ono jest – w pierwszej części 1802 roku.

Doyle stwierdził z zakłopotaniem, że ma wilgotne dłonie.

– Ten napęd, o którym pan wspomniał – powiedział z namysłem. – Czy to coś, co jest pan w stanie wyprodukować?

Darrow uśmiechnął się okrutnie.

– Tak.

Doyle zaczął dostrzegać sens w destrukcji, która dokonywała się na zewnątrz, w tych wszystkich książkach, nawet we własnej obecności w tym miejscu.

– A zatem jest pan w stanie podróżować przez dzieje. – Uśmiechnął się niepewnie do starego człowieka, próbując sobie wyobrazić J. Cochrana Darrowa, nawet starego i schorowanego, poruszającego się swobodnie w jakimś minionym wieku. – „Lękam się ciebie, stary żeglarzu” – zacytował w myśli.

– Tak, wracamy do Coleridge’a i pana. Czy wie pan, gdzie był poeta w sobotę wieczorem, pierwszego sierpnia 1810 roku?

– Dobry Boże, nie. William Ashbless przybył do Londynu zaledwie... tydzień później. Ale Coleridge? Wiem, że mieszkał wtedy w Londynie...

– Tak. No cóż, w ów sobotni wieczór Coleridge wygłosił wykład na temat *Aereopagitici* Milтона w gospodzie „Pod koroną i kotwicą” przy Strandzie.

– Och, słusznie. Ale chodziło chyba o *Lycidasa*, prawda?

– Nie. Montagu był wtedy nieobecny. Podał błędną informację.

– Ale jedynie list Montagu zawiera wzmiankę o tym wykładzie. – Doyle przekrzywił głowę. – Hm... prawda?

Stary człowiek uśmiechnął się.

– Kiedy IBID przystępuje do pracy badawczej, synu, to wykonuje robotę jak należy. Nie, dwaj z ludzi obecnych na wykładzie, urzędnik wydawcy i dyrektor szkoły, pozostawili dzienniki, które wpadły mi w ręce. To była jednak *Aereopagitica*. Nauczycielowi udało się nawet zastenografować sporą część wykładu.

– Kiedy pan to znalazł? – spytał szybko Doyle. – Nie opublikowany wykład Coleridge’a! – zawołał i pomyślał pod wpływem gorzkiej zazdrości: Mój Boże, gdybym zdobył to dwa lata temu, mój *Bliiski gość* miałby inne recenzje.

– Jakiś miesiąc temu. Dopiero w lutym ekipa z Denver przekazała mi wyniki badań, i od tego czasu IBID zdobywa wszystkie książki czy pamiętniki dotyczące Londynu 1810 roku.

Doyle rozłożył ręce.

– Dlaczego?

– Ponieważ jedna z tych szczelin znajduje się niedaleko Kensington, pięć mil od Strandu, i przypada na wieczór pierwszego sierpnia 1810 roku. I w przeciwieństwie do innych szczelin znajdujących się w pobliżu źródła 1802 roku, ta ma długość czterech godzin.

Doyle pochylił się, by dolać sobie brandy. Odczuwał ogromne podniecenie, które próbował ostudzić powtarzając sobie, że to, o czym się tu mówi, jest – choć fascynujące – w gruncie rzeczy niemożliwe. Trzymaj się tego, przekonywał samego siebie, a może uda ci się zdobyć dziennik Robba albo notatnik tego nauczyciela. Ale nie oszukiwał się, chciał w tym naprawdę uczestniczyć.

– No i jest oczywiście inna szczelina, tutaj i teraz.

– Tutaj, zgadza się, ale nie całkiem teraz. Wciąż znajdujemy się – Darrow spojrział na swój zegarek – kilka godzin w górę strumienia. Ma typowe rozmiary dla otworu znajdującego się w takiej odległości od źródła – jego górna krawędź zaczyna się dziś wieczór, krawędź w dole strumienia przypada na świt dnia, który zacznie się pojutrze. Jak tylko ci z Denver zlokalizowali dokładnie tę szczelinę, wykupiłem cały teren, jaki pokrywała, i zająłem

się jego wyrównywaniem. Nie chcemy zabrać ze sobą żadnych budynków, prawda?

Doyle pomyślał, że jego uśmiech musi być równie konspiratorski jak uśmiech Darrowa.

– Racja, nie chcemy.

Darrow westchnął z ulgą i zadowoleniem. Podniósł słuchawkę telefonu po pierwszym sygnale.

– Tak?... Zejdź z tej linii i daj mi Lamonta. Szybko. – Opróżnił kubek i znów sobie nalał. – Od trzech dni żyję kawą, brandy i batonami – zwrócił się do Doyle’a. – Całkiem niezłe, jak już żołądek się... Tim? Daj sobie na razie spokój z Newnanem i Sandovaliem. Połącz się drogą radiową z Delmottem i powiedz mu, żeby zawrócił, a potem zawieź go prosto na lotnisko. Mamy naszego człowieka od Coleridge’a.

Odłożył słuchawkę.

– Sprzedałem dziesięć biletów, każdy za milion dolarów, na wykład Coleridge’a. Wykonamy skok jutro wieczorem o ósmej. O szóstej trzydzieści organizujemy krótkie spotkanie przygotowawcze dla naszych gości, no i oczywiście jest nam do tego potrzebny uznany autorytet od Coleridge’a.

– Ja.

– Tak. Wygłosi pan krótką mowę na jego temat i odpowie na wszelkie pytania naszych gości, dotyczące poety, jego współczesnych oraz jego czasów, a następnie będzie pan towarzyszył w skoku do gospody „Pod Koroną i Kotwicą” całej grupie wraz z kilkoma profesjonalnymi strażnikami, którzy dopilnują, by jakaś romantyczna dusza nie zechciała urwać się na własną rękę. Sporządzi pan notatki podczas wykładu, a potem, znów w 1983 roku, skomentuje pan wszystko i odpowie na dalsze pytania. – Uniósł surowo brwi i wlepił w Doyle’a wzrok. – Płaci się panu dwadzieścia tysięcy dolarów, żeby zobaczył pan i wysłuchał tego, za co inni płacą po milion. Powinien pan dziękować Bogu, że nasze wysiłki zmierzające do zapewnienia sobie współpracy bardziej znanych specjalistów od Coleridge’a zawiodły.

Niezbyt pochlebna uwaga, pomyślał Doyle, ale powiedział:

– Tak.

Uderzyła go pewna myśl.

– Ale co z pańskim... pierwotnym pomysłem, z tą sprawą, której nie zdołała rozwiązać nauka, a przy okazji której odkrył pan szczeliny? Czy już pan to zarzucił?

– Och. – Darrow wydawał się niechętny temu tematowi. – Nie, nie zarzuciłem tego jeszcze. Pracuję nad tym obecnie, stosując różne metody. Nie ma to nic wspólnego z naszym projektem.

Doyle przytaknął zamyślony.

– Czy znajdują się jakieś szczeliny w dole strumienia?

Doyle spostrzegł, że Darrow z jakiegoś powodu znowu wpada w złość.

– Doyle, naprawdę nie widzę... do diabła tam. Tak. Jest jedna, ma długość czterdziestu siedmiu godzin i przypada w lecie 2116 roku, i jest chronologicznie ostatnia.

– No tak. – Doyle nie zamierzał go prowokować, ale chciał się dowiedzieć, dlaczego Darrow najwyraźniej nie chce zrobić tego, co jemu wydawało się rzeczą oczywistą. – Ale czyż ten... ta rzecz, której chce pan dokonać... nie mogłaby być bez trudu zrealizowana, i to z dużym prawdopodobieństwem, właśnie w tym roku? To znaczy, jeśli nauka niemal sobie z tym poradziła w 1983, to w 2116...

– To bardzo irytujące, Doyle, gdy przedstawia się komuś skróto-wo pewien projekt, nad którym się pracowało bardzo długo, a potem ten ktoś sugeruje błyskotliwie pewne rozwiązania, które, prawdę powiedziawszy, sam uprzednio uważał za absolutnie niewykonalne. – Darrow wypuścił przez zaciśnięte zęby smugę dymu. – Skąd mam wiedzieć, czy świat w 2116, nim do niego dotrę, nie będzie tylko radioaktywnym pyłem? Co? Albo czy Anglia nie stanie się jakimś okropnym państwem policyjnym? – Wyczerpanie w połączeniu z brandy musiało podkopać jego siły; miał błyszczące oczy, gdy mówił. – A nawet jeżeli istniałaby taka możliwość, to co ludzie z 2116 roku pomyśleliby o człowieku sprzed stu lat? – Gdy zgniótł swój papierowy kubek, po nadgarstku spłynęła mu strużka brandy. – A jeśli potraktują mnie jak dziecko?

Czując zakłopotanie, Doyle z miejsca zmienił temat, wracając do Coleridge'a. Tak to bywa, pomyślał, Darrow jest kapitanem na swojej łajbie już tak długo, że prędzej pójdzie wraz z nią na dno, niż chwyci linę ratunkową rzuconą ze statku jakiegoś dobrego Samarytanina, zwłaszcza jeśli ów statek jest większy niż jego własny.

Darrow też pragnął za wszelką cenę skierować rozmowę na dawne tory.

Niebo na wschodzie zaczęło blednąć, kiedy Doyle został odwieziony przez innego szofera do pobliskiego hotelu. Spał potem aż do

późnego popołudnia, kiedy to zjawił się trzeci kierowca, by zabrać go z powrotem na miejsce.

Teren był teraz płaski jak patelnia, a wszystkie ciągniki zniknęły; kręciło się po nim kilku pracowników z szuflami i miotłami, usuwając koński nawóz. Przyczepa wciąż stała na swoim miejscu. Teraz, kiedy kable elektryczne i telefoniczne zostały usunięte, wyglądała jak statek dryfujący po morzu. Obok niej stała teraz druga, tak duża, że mogłaby uchodzić za dom na kołach. Kiedy Doyle wysiadł z samochodu, zobaczył kołowroty i liny, rozmieszczone w pewnych odstępach wzdłuż górnej krawędzi ogrodzenia, a także brezent pokrywający cały obwód terenu. Uśmiechnął się. Starzec nie lubił rozgłosu.

Strażnik wpuścił go za ogrodzenie i zaprowadził do nowej przyczepy, której drzwi były otwarte. Doyle wszedł do środka. W przeciwnym końcu pomieszczenia wyłożonego drewnem orzechowym i dywanem zauważył Darrowa, który nie wyglądał na bardziej zmęczonego niż poprzedniego wieczoru. Starzec był pogrążony w rozmowie z wysokim blondynem. Obaj mężczyźni mieli na sobie ubiory w stylu wczesnej regencji: surduty, obcisłe spodnie i wysokie buty; poruszali się w nich tak naturalnie, że Doyle, w swoim garniturze z wełny i poliestru, poczuł się od razu śmiesznie.

– Ach, Doyle – powiedział Darrow. – Sądzę, że zna już pan naszego szefa ochrony.

Blondyn odwrócił się i Doyle po chwili rozpoznał Steerfortha Bennera. Długie niegdyś włosy młodego człowieka były krótko obcięte i zakręcone, a cienkie wąsiki, nigdy zbyt bujne, zgolone.

– Benner! – zawołał Doyle z zadowoleniem, podchodząc do nich. – Podejrzewałem, że musisz mieć coś wspólnego z tym projektem.

Jego przyjaźń z młodym człowiekiem od chwili przejścia Bennera do IBID oziębła w ciągu ostatnich miesięcy, ale ucieszył się, widząc tu znajomą twarz.

– Wreszcie w tej samej firmie, Brendan – odparł Benner z charakterystycznym dla siebie szerokim uśmiechem.

– Skaczemy za niecałe cztery godziny – poinformował Darrow – a mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia. Doyle, przygotowaliśmy dla pana strój z epoki, a te drzwi, tam dalej, to przebieralnia. Obawiam się, że będzie pan cały czas nadzorowany, ale to ważne, by wszyscy byli ubrani jak należy.

– Będziemy tam tylko cztery godziny, tak? – spytał Doyle.

– Nigdy nie można wykluczyć, Doyle, że któryś z naszych gości mógłby uciec, pomimo wysiłków Bennera i jego chłopców. Gdyby

się komuś to udało, nie chcemy, by miał przy sobie jakikolwiek dowód świadczący o tym, że przybył z innego wieku. – Darrow uniósł gwałtownym ruchem dłonie, jakby chciał fizycznie odparować kolejne pytanie Doyle’a. – Nie, nie, synu, nasz hipotetyczny uciekinier nie byłby w stanie powiedzieć ludziom, jak skończy się wojna albo jak skonstruować cadillaca, czy cokolwiek innego. Każdy z gości, tuż przed podróżą, połknie kapsułkę zawierającą środek, który ochrzczę chyba mianem anti-transchro -traumy. ATCT. Będzie zawierał, proszę nie protestować jeszcze, panie Doyle, śmiertelną dawkę strychniny i ulegnie rozpuszczeniu po sześciu godzinach. A kiedy już wrócimy, wszystkim wpompuje się w przewód pokarmowy aktywowany roztwór węgla drzewnego. – Uśmiechnął się lodowato. – Personelu to nie dotyczy, oczywiście, w przeciwnym razie bym o tym nie mówił. Każdy z gości zgodził się na te warunki i myślę, że większość z nich zrozumiała, w czym rzecz.

Albo i nie, pomyślał Doyle. Nagle cały projekt znów wydał mu się szaleństwem i Doyle ujrzał w wyobraźni siebie samego, na sali sądowej, i to już w niedługim czasie, starającego się wyjaśnić, dlaczego nie powiadomił o zamiarach Darrowa policji.

– A oto przemówienie, które wygłosi pan na odprawie – ciągnął Darrow, wręczając Doyle’owi kartkę. – Proszę się nie krepować, gdyby chciał pan coś tu zmienić czy napisać je całkiem od nowa; będę wdzięczny, jeśli zechce pan się tego nauczyć na pamięć. Wyobrażam sobie, że zamierzacie teraz obaj porównać notatki, więc zajmę się pracą w swojej przyczepie. Personelowi nie będzie wolno pić w czasie odprawy, ale nie widzę przeszkód, byście łyknęli sobie teraz.

Uśmiechnął się i wyszedł. Wyglądał w archaicznym stroju cholernie dobrze.

Kiedy zostali sami, Benner otworzył szafkę, która okazała się barkiem.

– Aha – zauważył. – Przygotowali się na twój przyjazd.

Wyciągnął butelkę Laphroiga, Doyle zaś, pomimo swego niepokoju, zauważył z zadowoleniem, że to stary dobry trunek o mocy 45%, w czystej szklanej flaszcze.

– Na Boga, nalej mi trochę. Bez dodatków.

Benner podał mu szklanekę, a dla siebie przyrządził koktajl. Napił się i wyszczerzył w uśmiechu zęby do Doyle’a.

– Uważam, że odrobina alkoholu jest równie niezbędna jak pan-cerz ołowiany; nie mam najmniejszego zamiaru znaleźć się na drodze całej tej radiacji, nie mając w żołądku kropli czegoś mocniejszego.

Doyle miał właśnie zapytać, gdzie znajduje się telefon, z którego mógłby wezwać policję, ale słowa Bennera zaskoczyły go.

– Co?

– Proces konwersji tachionowej. Darrow ci nie wyjaśnił, jak przebiega skok?

Doyle poczuł się dziwnie pusty w środku.

– Nie.

– Wiesz coś o teorii kwantowej? Albo fizyce subatomistycznej?

Doyle, bez udziału świadomej woli, podniósł szklanke do ust i wlał sobie do gardła trochę scotcha.

– Nie.

– No cóż, sam też niewiele wiem. Ale mówiąc ogólnie ustawimy się wszyscy na drodze podmuchu radiacji o szalenie wysokiej częstotliwości, przewyższającej nawet częstotliwość promieni gamma; fotony nie mają żadnej masy, rozumiesz, można więc wysyłać jedną wiązkę za drugą bez obawy, że będą sobie deptać po piętach, i kiedy nas to uderzy, niezwykle właściwości pola szczeliny zapobiegą temu, co stałoby się w normalnych warunkach. Nie jestem do końca pewny, co by się właściwie stało, ale z pewnością rozbiłoby nas w pył. – Łyknął z ochotą swojego drinka. – W każdym razie, jak już będziemy w szczelinie, dojdzie do tego, a jest to jedyny sposób, by natura zrekompensowała sobie wyrządzoną jej niesprawiedliwość, że w rezultacie staniemy się honorowymi tachionami.

– Chryste – zawołał Doyle chrapliwie – staniemy się duchami. Zobaczymy Coleridge'a, a jakże – w niebie. – Usłyszał dźwięk klaksonu dobiegający z ulicy, który wydał mu się dziwnie odległy i zaczął się zastanawiać, dokąd zmierza jakaś niewinna dusza i jakaż to trywialna przeszkoda kazała jej zatrzeć. – Posłuchaj mnie, Benner, musimy się stąd wydostać i zawiadomić policję. Mój Boże, człowieku...

– To naprawdę jest absolutnie bezpieczne – przerwał mu Benner, wciąż się uśmiechając.

– A skąd możesz wiedzieć? Ten człowiek to prawdopodobnie absolutny wariat i...

– Uspokój się, Brendan, i posłuchaj. Czy wyglądam normalnie? Czy ogrodzenie wciąż stoi? No to przestań się martwić, ponieważ zafundowałem sobie przed dwoma godzinami taki skok solo do krótkiej szczeliny w 1805.

Doyle przyglądał mu się podejrzliwie.

– Naprawdę?

– Klnę się na własną matkę. Ubrali mnie jak... do diabła, wyobraź sobie członka Ku-Klux-Klanu, który lubi blaszane szaty i nie potrzebuje otworów na oczy, a potem kazali stanąć na platformie obok ogrodzenia, podczas gdy sami ustawili po drugiej stronie tę swoją piekielną maszynę. I po chwili fiuuu! – przed sekundą byłem tu i teraz, a w chwilę później jestem w namiocie na jakimś polu niedaleko Islington w 1805.

– W namiocie?

Uśmiech Bennera zmienił się w grymas.

– Tak, to było dziwne, wylądowałem w jakimś obozie cygańskim. Pierwsze, co zobaczyłem, jak ściągnąłem kaptur z głowy, to wnętrze tego namiotu: pełne przedmiotów wyglądających na staroegipskie i oparów z kadzidła. Był tam też jakiś podobny do trupa stary i łysy facet, który przyglądał mi się z najwyższym zdumieniem. Przestraszyłem się i wybiegłem, co w tym stroju nie było łatwe, i zobaczyłem wokoło typowo angielską okolicę, nie było żadnych dróg ani słupów telegraficznych, więc myślę, że to naprawdę musiał być 1805 rok. Ujrzałem tam mnóstwo koni, namiotów i Cyganów. Wszyscy patrzyli na mnie, ale akurat szczelina się skończyła – dzięki Bogu nie wybiegłem poza granice pola – a wtedy mobilny haczyk złapał mnie i przyciągnął z powrotem tutaj i teraz. – Zachichotał. – Zastanawiam się, co sobie Cyganie pomyśleli, kiedy po prostu zniknąłem, a moja szata, w której nie było już ciała, opadła na ziemię.

Doyle przyglądał mu się przez kilka długich sekund. Benner, choć zawsze przyjacielski, nie należał do ludzi, którym można by bez zastrzeżeń ufać; ale teraz nie wyglądało na to, by kłamał. Nigdy nie był dobrym aktorem, a ta historia, zwłaszcza fragment o starym człowieku, została opowiedziana ze szczerym przekonaniem. Doyle uświadomił sobie niejasno, że wierzy w to wszystko.

– Mój Boże – powiedział pełnym zazdrości głosem, który był bliski szeptu. – Jak pachniała trawa? Jak czułeś pod stopami ziemię?

Benner wzruszył ramionami.

– Świeże powietrze i trawiasta ziemia. A konie wyglądały jak konie. Wszyscy Cyganie odznaczali się stosunkowo niskim wzrostem, ale może to dla nich typowe. – Poklepał Doyle'a po plecach. – A więc przestań się martwić. Lewatywa z węgla drzewnego zapewni gościom zdrowie, a ja nie pozwolę któremukolwiek z nich zwiąć. Wciąż chcesz wezwać policję?

– Nie – przyznał Doyle i pomyślał: To prawda. Chcę zobaczyć Coleridge’a. Potem dodał: – Przepraszę cię na chwilę. Muszę przygotować tę mowę.

Dwadzieścia po szóstej Doyle uznał, że zna już swoje przemówienie na pamięć. Siedział w małym biurze, z którego Darrow pozwolił mu korzystać. Wstał, westchnął i otworzył drzwi prowadzące do głównej sali.

W głębi kręciła się grupa elegancko ubranych ludzi, bliżej stały puste krzesła, a pośrodku duży stół. W świecznikach płonęły setki świec, wypolerowana zaś boazeria i rzędy kieliszków na stole świeciły olśniewającym blaskiem; w ciepłym powietrzu unosił się lekki aromat papryki i steków pieczonych na grillu.

– Benner – zawołał cicho, dostrzegając wysokiego, młodego człowieka, który stał obok stołu i opierał się zmęczony o ścianę. Otwierał tabakierkę i przysuwał do nozdrzy wierzch dłoni ze szczyptą brązowego proszku, co doskonale pasowało do jego stroju.

Benner podniósł głowę.

– Do diabła, Brendan, personel powinien już dawno mieć na sobie odpowiedni strój. Mniejsza z tym, goście są w przebieralni, możesz zmienić ubranie w ciągu paru minut. – Odłożył tabakierkę i spojrział zniecierpliwiony na odzież Doyle’a. – Masz już swój haczyk?

– Pewnie. – Doyle odwinął rękaw koszuli, żeby pokazać mu skórzaną opaskę opinającą wygolone przedramię i zabezpieczoną małym zapięciem. – Darrow założył ją osobiście godzinę temu. Chodź, posłuchasz mojego przemówienia, dobrze? Wiesz dostatecznie dużo o...

– Nie mam czasu, Brendan, ale nie wątpię, że jest świetne. Ci cholerni ludzie, każdy z nich wyobraża sobie, że jest władcą świata.

Zbliżył się do nich szybko jakiś mężczyzna, ubrany podobnie jak Benner, w stylu wczesnych lat dziewiętnastego wieku.

– To znowu Treff, szefie – powiedział cicho. – Namówiliśmy go w końcu do zdjęcia ubrania, ale okazało się, że ma bandaż na nodze, którego nie chce odwinąć, a nie ulega wątpliwości, że ukrywa coś pod spodem.

– Do diabła, wiedziałem, że któryś z nich coś wykroi. Bogacze! Chodź, Doyle, i tak idziesz w tę samą stronę.

Kiedy przemierzali zamasytym krokiem salę, w głównym wejściu ukazała się rosla postać Darrowa. Ich drogi przecięły się, gdy

z przebieralni wypadł otyły, owłosiony mężczyzna, który nie miał na sobie niczego z wyjątkiem elastycznego bandaża na udzie.

– Panie Treff – zwrócił się do niego Darrow, unosząc gęste, siwe brwi i uciszając obecnych swym głębokim głosem. – Najwyraźniej nie zrozumiał pan poleceń dotyczących stroju.

Słyszając to, kilkoro ludzi wybuchnęło śmiechem, a Treff jeszcze bardziej poczerwieniał.

– Posłuchaj, Darrow, ten bandaż zostaje na swoim miejscu, rozumiano? To polecenie mojego lekarza, a ja płacę ci cholerny milion dolarów, więc żaden facet, który zwiął od czubków nie będzie...

Doyle akurat uśmiechał się nerwowo do Bennera i tylko dzięki temu dostrzegł, że ten błyskawicznym ruchem wydobyl z rękawa cienki nóż; ale potem już wszyscy widzieli, jak postąpił z gracją krok do przodu, niczym szermierz, i wsunął ostrze pod bandaż; odczekał chwilę dla teatralnego efektu, po czym szarpnął ręką, odwijając zgrabnie kolejne zwoje, od góry do dołu.

Na dywanie wylądowało kilka ciężkich, lśniących przedmiotów. Doyle zerknął szybko i rozpoznał zapalniczkę sensorową, zegarek kwarcowy Seiko, maleńki notatnik, małokalibrowy automatyczny pistolet i przynajmniej trzy sztabki złota.

– Planujemy przekupić tubylców paciorkami? – spytał Darrow, dziękując jednocześnie skinieniem głowy Bennerowi, który wyprostował się i schował nóż. – Jak wiecie, narusza to warunki naszej umowy; otrzyma pan zwrot kosztów w wysokości pięćdziesięciu procent. Ochrona zaprowadzi pana teraz do przyczepy znajdującej się poza terenem, gdzie przesiedzi pan w luksusowych warunkach aż do rana. I szczerze doradzam, w duchu przyjacielskiej troski – dodał z najbardziej lodowatym uśmiechem, jaki Doyle kiedykolwiek widział – by wyszedł pan stąd możliwie cicho.

– No cóż, jedyną korzyścią całego zamieszania jest to, że przebieralnia się zwolniła. Twoja kolej, Brendan – stwierdził lekko Benner, gdy wyprowadzano nagiego Treffa za drzwi.

Doyle postąpił naprzód, po czym mamrocząc do kilkunastu ludzi „Proszę mi wybaczyć”, wszedł do przebieralni. W środku siedział na taborecie strażnik, który był wyraźnie zadowolony, że to nie Treff.

– Doyle, czy tak? – spytał, podnosząc się.

– Tak.

– A zatem, proszę zdjąć ubranie.

Wciągając nieznacznie brzuch, Doyle rozebrał się i ostrożnie powiesił swój garnitur na wieszaku, który podał mu mężczyzna. W tyl-

nej ścianie przebieralni znajdowały się drzwi. Strażnik zniknął za nimi z ubraniem Doyle'a.

Doyle oparł się o ścianę, mając nadzieję, że o nim nie zapomną. Próbował podrapać się pod skórzaną opaskę na ramieniu, ale była zaciśnięta zbyt mocno, by można było wsunąć pod nią palec. Zrezygnował, postanawiając zignorować swędzenie wygolonej skóry, którą drażnił kawałek zielonego kamienia. Mobilny haczyk, jak nazwał to Darrow, pozwalając Doyle'owi rzucić nań okiem, nim zakrył go przytrzymującą opaską. Doyle obracał w palcach małą bryłkę, dostrzegając symbole wyryte na jej powierzchni; wyglądały jak zbitka hieroglifów i symboli astrologicznych. „Niech pan nie patrzy na to z taką dezaprobatą – powiedział Darrow. – To jest to, co sprowadzi pana z powrotem do roku 1810. Kiedy szczelina 1810 skończy się, ten mały przedmiot wskoczy z powrotem do dziury, z której wyszedł, a która jest tutaj i teraz, i dopóki ten kamyk pozostaje w kontakcie z pańskim ciałem, zabierze je z sobą. Gdyby go pan zgubił, ujrzałby pan, jak znikamy, a pan pozostałby w roku 1810; właśnie dlatego został do pana przytwierdzony”. „A więc wszyscy stamtąd znikniemy po czterech godzinach? – spytał Doyle, podczas gdy Darrow namyślał i golił mu przedramię. – A jeśli błędnie obliczył pan długość szczeliny i wszyscy znikniemy w połowie wykładu?” „Nie znikniemy – odparł Darrow. – Trzeba by się znajdować w granicach szczeliny, a także mieć przez cały czas kontakt z haczykiem, a sama szczelina znajduje się w odległości ośmiu kilometrów od gospody, do której się udamy. – Przyłożył Doyle'owi do ramienia kamyk i obwiązał skórzaną opaską. – Nie pomyliliśmy się jednak, poza tym mamy spory zapas czasu, żeby wrócić po wykładzie na pole szczeliny. Zabieramy też ze sobą dwa powozy, a zatem – stwierdził, zaciskając opaskę i umieszczając na niej mały mechanizm zabezpieczający – proszę się nie martwić”.

A teraz nagi, opierając się o ścianę przebieralni, Doyle uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze. Dlaczego miałbym się martwić?

Powrócił strażnik i wręczył Doyle'owi ubranie, które prawdopodobnie nie wywołałoby pełnych zdziwienia spojrzeń w 1810 roku; udzielił mu też instrukcji, jak należy je założyć, i prawdę mówiąc musiał mu asystować przy zawiązywaniu fularu.

– Pańskie włosy nie wymagają strzyżenia, sir, znowu powróciła moda na taką długość, przyczesz je tylko z przodu, o tak; nie ma się co wstydić małej łysinki. Doskonale, to styl à la Rzymianin. Proszę spojrzeć do lustra.

Doyle odwrócił się, przekrzywił głowę i po chwili wybuchnął śmiechem.

– Nieźle – powiedział. Miał na sobie brązowy, dwurzędowy surdut, który z przodu sięgał mu jedynie do pasa, ale z tyłu kończył się na wysokości kolan, poza tym obcisłe, beżowe spodnie i sięgające kolan buty z pomponami, biel zaś jedwabnego fularu, wyłaniającego się spomiędzy wysokich boków kołnierzyka dodawała mu bez wątpienia, jeśli nie zawadiackiego uroku, to przynajmniej godności. Ubranie nie miało w sobie sztywności nowo nabytych rzeczy; choć czyste, było już niewątpliwie noszone, i dzięki temu Doyle czuł się w nim swobodnie, nie mając wrażenia, że został wtłoczony w jakiś kostium odpowiedni tylko na przyjęcie.

Kiedy ponownie wkroczył do głównego pomieszczenia, goście zmierzali już w stronę stołu, na którym pojawiła się barwna obfitość talerzy, tac i butelek. Doyle napełnił swój talerz, a pamiętając, że zalicza się do personelu udawał, że nie widzi wina ani piwa w bogatym wyborze. Nalał sobie tylko filiżankę kawy.

– Proszę, panie Doyle – przemówił Darrow, wskazując na puste krzesło obok siebie. – Pan Doyle – zwrócił się do pozostałych gości – jest naszym ekspertem od Coleridge’a.

Wszyscy przytaknęli z uśmiechem, kiedy Doyle zajmował miejsce, a pewien siwowłosy mężczyzna stwierdził:

– Bardzo mi się podobał pański *Bliski gość*, panie Doyle.

– Dziękuję. – Doyle uśmiechnął się zadowolony, uświadamiając sobie, że to Jim Thibodeau, autor monumentalnej, wielotomowej *Historii ludzkości* – napisanej wraz z żoną, którą Doyle dostrzegł przy boku męża – odznaczającej się, chociażby w rozdziale o angielskich poetach doby romantyzmu, głębią metody badawczej i lekkością stylu, których Doyle mógł mu tylko pozazdrościć. Lecz ich obecność w tym miejscu potęgowała jedynie jego pełne nadziei podniecenie, które odczuwał od chwili, gdy Benner opisał mu swój skok do 1805 roku. Jeśli państwo Thibodeau biorą to poważnie, to jest szansa, że wszystko naprawdę działa, pomysłał.

Stół z jedzeniem został uprzątnięty, a przed podium stanęło w półkolu dziesięć krzeseł. Doyle, zakłopotany, powiedział Bennerowi, by podium też zabrać, a na jego miejscu postawić krzesło, które miał zajmować Treff.

Doyle usiadł i wymienił po kolei spojrzenia z każdym gościem. Rozpoznał pięcioro: troje, nie wyłączając Thibodeau, było wybitnymi historykami, jeden znanym brytyjskim aktorem teatralnym, jedna zaś z kobiet, czego Doyle był pewien, słynną spirytystką i medium. Niech lepiej uważa na te swoje sztuczki, jak już znajdzie się w szczelinie, pomyślał z niepokojem Doyle, przypominając sobie opowieść Darrowa o seansie na cmentarzysku samochodów w 1954 roku.

Odetchnął głęboko i zaczął swój wykład.

– Jesteście państwo prawdopodobnie zaznajomieni z życiem i dziełem człowieka, który był ojcem Romantyzmu w poezji angielskiej, lecz nasza dzisiejsza wycieczka wymaga z pewnością przypomnienia pewnych faktów. Urodzony w Devonshire 21 października 1772 roku, Coleridge od wczesnej młodości odznaczał się dojrzałością i rozległą wiedzą, co przez całe życie czyniło go, między innymi, najbardziej fascynującym mówcą swych czasów, w których żyli również tacy ludzie jak Byron i Sheridan...

Doyle, mówiąc dalej i wspominając o karierze kościelnej poety, o nałogowym zażywaniu opium pod postacią laudanum, nieudanym małżeństwie, przyjaźni z Williamem i Dorothy Wordsworthami i długich wozach zagranicznych, których przyczyną była jego nienawiść do żony, obserwował bacznie reakcję audytorium. Słuchacze byli na ogół zadowoleni, marszcząc z powątpiewaniem brwi czy też przytakując od czasu do czasu. Doyle uświadomił sobie, że jego obecność tutaj jest tylko wdzięcznym ozdobnikiem, jak wspaniała porcelana, na której podano jedzenie, podczas gdy w zupełności wystarczyłyby papierowe talerze. Darrow mógłby zapewne wygłosić taką mowę osobiście, ale starzec pragnął, by uczynił to prawdziwy autorytet od Coleridge'a.

Po mniej więcej piętnastu minutach Doyle skończył. Nastąpiły pytania, na które zdołał wyczerpująco i pewnie odpowiedzieć. W końcu Darrow podniósł się i stanął obok jego krzesła, skupiając na sobie bez wysiłku uwagę audytorium. Trzymał w ręku latarnię i kołysząc nią w stronę drzwi ogłosił:

– Panie i panowie, jest za pięć ósma, a na zewnątrz czekają powozy.

Wszyscy wstali w pełnym napięcia milczeniu, po czym nałożyli kapelusze, damskie czepki i okrycia wierzchnie. Sto siedemdziesiąt lat, pomyślał Doyle, dzieli chwilę obecną od 1810 roku. Czy może dostać się tam w oka mgnieniu? Tak, a potem tu wrócić. Zauważył

bezwiednie, że serce wali mu jak młotem i że nie jest w stanie głęboko odetchnąć.

Wszyscy wyszli na zewnątrz i stanęli na mocno ubitej ziemi. Dwa kryte, dziewiętnastowieczne powozy, każdy zaprzęzony w parę koni, czekały w odległości kilku metrów od przyczepy. W migotliwym blasku powozowych latarni Doyle zauważył, że pojazdy, podobnie jak ubrania, które wszyscy mieli na sobie, są czyste i w dobrym stanie, ale z pewnością nie nowe.

– W każdym powozie pomieści się od biedy pięciu pasażerów – powiedział Darrow – a ponieważ Treff nie może uczestniczyć w naszej eskapadzie, ja zajmę jego miejsce. Reszta personelu podróżuje na zewnątrz.

Benner ujął Doyle'a za łokieć, podczas gdy goście, którym spadały kapelusze i plątały się szale, zaczęli wspinać się do powozów.

– Siadamy w drugim powozie, na tylnej ławce – wyjaśnił.

Obeszli stojący nieco dalej drugi pojazd i zajęli dwa małe krzeselka, które wystawały z tylnej ściany na tym samym poziomie co miejsce woźnicy. Wieczorne powietrze było chłodne, więc Doyle był zadowolony, czując pod łokciem ciepło płynące z latarni. Ze swego wysokiego miejsca widział, jak od strony północnego krańca ogrodzonego terenu prowadzą jeszcze więcej koni.

Powóz zakołysał się na swych sprężynach, kiedy dwaj strażnicy wspięli się na kozioł. Doyle usłyszał stuk metalu i gdy zerknął na Bennera, zobaczył kolby dwóch pistoletów wystające ze skórzanej torby zawieszanej tuż przy jego lewej dłoni.

Usłyszał też smagnięcie lejc i stukot kopyt o ziemię, gdy pierwszy powóz ruszył z miejsca.

– Dokąd jedziemy? – spytał, kiedy również ich powóz drgnął z miejsca. – Mam na muśli przestrzeń fizyczną.

– Do ogrodzenia, tam gdzie zasłona nie jest podniesiona. Widzisz tę niską, drewnianą platformę? Z drugiej strony podjeżdża akurat ciężarówka.

– Aha – odparł Doyle, starając się nie zdradzać w głosie nerwowości, jaką odczuwał. Stwierdził, że konie, które dostrzegł wcześniej, zaprzęga się teraz do obydwu przyczep. Po chwili pociągnęły je w stronę północnego krańca ogrodzenia.

Benner spojrział w tym samym kierunku.

– Teren – pole szczeliny – musi być przed każdym skokiem dokładnie oczyszczone – wyjaśnił. – Wszystko, co się na nim znajduje, zabralibyśmy z sobą.

– Więc dlaczego nie wróciły z tobą te twoje namioty i Cyganie?
– Całe pole nie odchodzi wraz z tobą w drodze powrotnej, tylko haczyki i wszystko, czego dotykają. Haczyk działa jak gumka przy rakietce z doczepioną piłką – potrzeba energii, by posłać piłkę w przestrzeń, i jeśli na jej drodze znajdzie się mucha, to polecą wraz z nią, ale wraca tylko piłka. Nawet te powozy tam zostaną. Prawdę mówiąc – dodał z uśmiechem, który Doyle mógł dojrzeć dzięki blaskowi latarni – zauważyłem podczas swojej przejażdżki, że nawet ubrania tam zostają, choć włosy i paznokcie jakoś się trzymają. Więc Treff miał przynajmniej trochę zabawy. – Roześmiał się. – Pewnie dlatego zwrócą mu tylko połowę kosztów.

Doyle był teraz zadowolony, że teren otacza brezentowa zasłona.

Obydwa powozy podjechały do ogrodzenia i Doyle dostrzegł przez siatkę samochód ciężarowy, którego boczna burta była spuszczone. Tuż przy ciężarówce, na ziemi, ale po drugiej stronie ogrodzenia, ustawiono drewniany podest, o wysokości tylko około trzydziestu centymetrów, ale szeroki i długi na ponad dwanaście metrów. Kiedy woźnice wprowadzili na niego powozy, załomotał głucho jak tuzin bębnow. Kilku ludzi, którzy w swych kombinezonach nie pasowali do otoczenia, ustawiło szybko aluminiowe słupki i rozciągnęło na nich sztywny i niewątpliwie ciężki materiał, tak że powozy znalazły się w wielkim namiocie o kształcie prostopadłościanu. Tkanina namiotu połyskiwała matowo w świetle lamp. Doyle wychylił się ze swego miejsca, by przesunąć po niej palcami.

– Siatka plecionych włókien stalowych w osłonkach ołowianych – wyjaśnił Benner, którego głos w zamkniętej przestrzeni nabrał mocy. – Z tego samego materiału było wykonane moje ubranie i kaptur tamtego popołudnia – dodał ciszej. – Ciężarówka też jest pod namiotem, który osłania ją z trzech stron.

Doyle nie chciał, by Benner zauważył drżenie jego dłoni.

– Czy naprawdę powstaje podmuch? – spytał, starając się zapamiętać nad głosem. – Czy czujemy jakiś wstrząs?

– Nie, właściwie nic się nie czuje. Odnosi się tylko wrażenie przemieszczania.

Doyle słyszał szepty ludzi siedzących pod nim, z drugiego zaś powozu dochodził śmiech Darrowa. Jeden z koni uderzył kopytem o podest.

– Na co czekamy? – spytał szeptem Doyle.

– Trzeba dać czas ludziom, żeby dotarli do bramy i wyszli poza ogrodzenie.

Choć powozy stały w miejscu, Doyle wciąż czuł mdłości, a oleisty i metaliczny zapach tego szczególnego namiotu stawał się nie do zniesienia.

– Przykro mi to mówić – wyszeptał – ale zapach jest...

Nagle coś się przesunęło gwałtownie, lecz bez ruchu, a wtedy z wszystkiego, co widział, zniknęło poczucie głębi i przestrzeni i pozostała mu przed oczami jedynie płaska mroczność, upstrzona bezkształtnymi plamami światła; słupek dachu, którego się trzymał, był teraz jego jedynym oparciem, nie było północy ani południa, góry ani dołu, i nagle znów znalazł się w tym śnie, z którego minionej nocy obudziła go stewardesa, i poczuł, jak stara honda przechyla się na mokrej jezdni przerażająco nisko, a on leci przed siebie, koziołkując bezładnie z dużą prędkością i słysząc krzyk Rebeki, urwany gwałtownie przy pierwszym uderzeniu o asfalt...

Drewniana platforma usunęła im się spod nóg i zadrżała, gdy spadły na nią z powrotem cztery konie i dwa powozy. Grunt nie był już płaski, a maszty namiotu runęły do środka, grzebiąc wszystko w chwilę później pod ciężkimi fałdami wzmocnionego ołowiem materiału.

Kiedy jeden z masztów odbił się od dachu powozu i trafił go w ramię, Doyle przyjął z ulgą ból, gdyż przywróciło mu to poczucie czasu i miejsca. Jeśli boli, to musi to być świat rzeczywisty, pomyślał otumaniony i otrząsnął się ze wspomnienia wypadku motocyklowego. Zapach, którego tak nie lubił, był niezwykle intensywny, ponieważ namiot przygniatał mu głowę do dachu powozu. A przecież, myślał dalej, nic nie wiąże człowieka z otaczającą go rzeczywistością bardziej niż mdłości.

Kiedy już mu się wydawało, że jednak będzie musiał zwymiotować, ściągnięto z niego ołowianą zasłonę, a świeże nocne powietrze, którym teraz oddychał, sprawiło, że uczucie obrzydzenia wydało mu się wymuszone i przesadne. Rozejrzał się po skąpanym w księżycowym blasku, otoczonym drzewami polu, na którym stały ich powozy.

– Wszystko w porządku, Brendan? – spytał Benner już po raz drugi, jak sobie uświadomił Doyle.

– Jasne, nic mi nie jest. Jezu, ale skok, co? Czy nikomu nic się nie stało? Co z końmi? – Doyle był dumny z siebie, że zadaje trzeźwym głosem pytania, choć wolałby mówić nieco ciszej i nie poruszać tak gwałtownie głową.

– Spokojnie – powiedział Benner. – Wszystko w porządku. Masz, napij się. – Odkorkował flaszkę i podał Doyle'owi.

W chwilę później Doyle pomyślał, że alkohol przywraca człowieka do rzeczywistości jeszcze skuteczniej niż ból

– Dziękuję – rzekł już ciszej i oddał butelkę.

Benner skinął głową, schował flaszkę do kieszeni, zeskoczył na połamaną platformę i ruszył zamasyżując ku miejscu, w którym sześciu strażników kopało w ziemi dziurę. Potem, ochraniając dłonie rękawicami, zwinęli ołowiany namiot; w mgnieniu oka zakopali bełę materiału, po czym zajęli swoje miejsca na powozach. Doyle był przekonany, że musieli to wcześniej przećwiczyć.

– Powinieneś zobaczyć platformę – stwierdził Benner, dysząc lekko. – Zdarło z jej spodu dobre siedem centymetrów, kiedy wykonaliśmy skok. Gdybyśmy nie stali na niej, konie straciłyby kopyta, a koła powozów popękały.

Woźnice smagnęli konie lejcami i powozy zjechały nierówno z po-
giętych desek na trawę. Ruszyli powoli przez pole.

Po kilku minutach dotarli do kępy wierzb, które zakrywały ich od strony drogi, a wtedy jeden ze strażników zeskoczył na ziemię i pobiegł przed siebie. Pochylony, rozglądał się na boki, a potem dał znak, by trzymać głowy nisko; w chwilę później z lewa na prawo przemknął odkryty powóz, zmierzając do miasta. Doyle patrzył w ślad za nim zafascynowany, myśląc ze zgrozą, że radosna para, którą dojrzał między gałązkami wierzy, umarła dobre sto lat przed jego narodzinami.

Strzeły lejece i zabrzęczały dzwonki przy uprzęży, kiedy konie ruszyły w stronę przydrożnego rowu, by z pewnym wysiłkiem, cofając się, pokonać go i wyjechać na drogę. Skręcili w prawo i ruszyli przed siebie, a po minucie, kołyszac się, mknęli ze znaczną prędkością na wschód, w stronę Londynu. Latarnie przy powozach, które drżały i migotały podczas przejazdu przez rów, kołysały się teraz miarowo na swych hakach tam i z powrotem, rzucając żółty blask na końskie grzbiety i wypolerowane elementy powozów. Wszystko było skąpane w przyćmionym świetle księżyca, srebrzącym drzewa i przysypującym trakt jakby najbliedszym popiołem.

Gdybyś pędził jak w natchnieniu, dotarłbyś tam w okamgnieniu; zacytował w myśli Doyle.

Rozdział 2

Jestem niesiony w ciemność, przerażająco daleko...

Percy Bysshe Shelley

W ten wczesny sobotni wieczór okna okazałych budynków nad zatłoczonymi trotuarami Oxford Street jarzyły się blaskiem lamp. Wszędzie widziało się elegancko ubranych mężczyzn i kobiety, którzy spacerowali ramię w ramię, stali przy wystawach sklepowych, wsiadali czy wysiadali ze zgrabnych bryczek, które przepychały się, walcząc o miejsce przy krawężniku. Powietrze rozbrzmiewało krzykami dorożkarzy, zgrzytliwym stukotem setek kół o bruk i rytmicznym śpiewem ulicznych kramarzy, którzy ciągnąc od strony czynnego przez cały tydzień targowiska przy Tottenham Court Road, zmierzali na zachód. Doyle wdychał ze swego miejsca zapach koni, dymu z cygar, gorących kiełbasek i perfum, niesiony przez chłodny, wieczorny wietrzyk.

Kiedy skręcili w Broad Street, Benner wyciągnął ze skórzanej sakwy pistolet, broń o czterościennej lufie, która ze swymi kurkami i błyszczącą inkrustacją przypominała pająka, i oparł łokieć o dach powozu, by wszyscy mogli widzieć w jego dłoni broń wycelowaną w niebo. Doyle zauważył, że strażnicy uczynili to samo.

– Wjeżdżamy w okolice kościoła St.Giles – wyjaśnił Benner. – Kręcą się tu podejrzane typy, ale nie odważą się zaczepić grupy uzbrojonych mężczyzn.

Doyle rozejrzał się ze skrywanym z trudem zainteresowaniem po wąskich alejkach i podwórzach, na ogół pogrążonych w mroku i oddalonych od ulicy, choć niektóre rozjaśniał przyćmiony blask latarni palących się za najbliższym rogim. Odbywał się tu ożywiony han-

del, w każdym razie na głównej ulicy. Ich powozy miały mnóstwo straganów z kawą, kramów ze starymi ubraniami czy skrzynek z warzywami, pilnowanych przez tęgie, stare kobiety, które pykając z glinianych fajek obserwowały zmrużonymi oczami tłum na ulicy. Paru ludzi wołało coś w ich stronę z tak dziwnym akcentem, że Doyle był w stanie zrozumieć tylko „do diabła”, czy „cholerny”, ale ton wydawał się bardziej żartobliwy niż groźny.

Spojrzał za siebie, po czym dotknął ramienia Bennera.

– Nie chciałem cię wcześniej niepokoić – powiedział szybko. – Ale ten wóz – tam, za straganem z pomidorami – ten, który wygląda jak wehikuł osadników z dzikiego zachodu. Jedzie za nami od chwili, gdy skręciliśmy w Bayswater Road.

– Na litość boską, Brendan, zdążyliśmy przez cały ten czas skręcić tylko raz – syknął Benner niecierpliwie. Odwrócił się jednak. – Cholera, to tylko... – Nagle spowaźniał. – Wydaje mi się, że to wóz cygański.

– Znowu Cyganie – zauważył Doyle. – Nie mieli w zwyczaju... chciałem powiedzieć, że na ogół nie wjeżdżają do wielkich miast, prawda?

– Nie wiem – odparł Benner z namysłem. – Nie jestem nawet pewien, czy to naprawdę wóz cygański, ale wspomnę o tym Darrowowi.

Ulica zwęziła się i ściemniała, gdy z grzechotem kół wjechali w St. Martin's Lane i minęli wysoki, stary kościół. Doyle, widząc grupki mężczyzn, którzy obserwowali ich przejazd z nisko sklepionych, przyciemnionych sieni, myślał z ulgą o pistoletach Bennera; po chwili ulica znowu zajaśniała światłem i gwarem – dotarli do szerokiego bulwaru, którym był Strand. Benner schował swą skomplikowaną broń do sakwy.

– Korona i kotwica jest zaraz za rogiem – powiedział. – Minęliśmy już kilka przecznic, a ja nie zauważyłem twojego wozu cygańskiego.

Doyle'owi mignęła na chwilę między dwoma budynkami Tamiza, połyskująca w świetle księżyca. Wydało mu się, że nie ma na niej mostu, który widział w tym miejscu podczas wizyty w 1979, ale nim zdążył się zorientować, gdzie się dokładnie znajduje, powozy skręciły w małą uliczkę i zatrzymały się, skrzypiąc piskliwie, przed dwupiętrowym, częściowo drewnianym budynkiem z kołyszającym się nad otwartymi drzwiami szyldem. „Korona i Kotwica”, przeczytał Doyle.

Kiedy goście wysiadali z powozów, spadły pierwsze krople deszczu. Darrow wysunął się na czoło. Dłonie miał schowane w futrzanej mufce.

– Zaparkujesz nasze powozy – skinął głową na pierwszego woźnicę. – Pozostali wchodzą do środka. Idziemy.

Wprowadził grupę siedemnastu ludzi do przytulnego wnętrza gospody.

– Dobry Boże, sir – zawołał chłopiec, który pospieszył im na spotkanie – wszyscy na kolację? Trzeba było dać znać zawczasu, otworzyliby salę bankietową na tyłach. Ale zobaczę, czy jest dość krzesel w głównej izbie i...

– Nie przyszliśmy na kolację – stwierdził niecierpliwie Darrow. – Przyszliśmy, żeby wysłuchać wykładu pana Coleridge’a.

– Naprawdę? – chłopak odwrócił się i krzyknął w stronę korytarza: – Panie Lawrence! Przyszło jeszcze więcej ludzi, którzy myślą, że dziś jest właśnie ta sobota, kiedy miał tu mówić ten poeta!

Darrow, którego twarz utraciła wszelkie barwy, zmienił się nagle w bardzo starego człowieka w śmiesznym ubraniu. Mufka zsunęła mu się z rąk i spadła na podłogę. Nikt się nie odezwał, choć Doyle czuł, jak pomimo całego szoku i rozczarowania, wzbiera w nim histeryczny śmiech.

Podbiegł do nich jakiś zatroskany człowiek, za którym podążał krępy, starszy jegomość o długich siwych włosach.

– Jestem Lawrence, właściciel gospody – przedstawił się. – Pan Montagu zaplanował wykład na następną sobotę, ósmego października, nic nie poradzę, że wszyscy państwo dziś tu przybyliście. Pana Montagu nie ma, lecz byłby zmartwiony, gdyby...

Doyle początkowo tylko zerknął na krępego mężczyznę o chorobliwym wyglądzie, który mrugał przepraszająco w czasie wypowiedzi Lawrence’a, ale teraz przyjrzał mu się dokładniej. Czując narastające podniecenie, Doyle podniósł dłoń tak szybko, że gospodarz przerwał w pół zdania, po czym wychylił się do przodu i zwrócił się do mężczyzny stojącego obok Lawrence’a:

– Pan Coleridge, jak przypuszczam?

– Tak – odparł mężczyzna. – Przepraszam was wszystkich za to całe...

– Zechce mi pan wybaczyć. – Doyle zwrócił się do Lawrence’a. – Chłopak wspomniał, że jest wolna sala bankietowa.

– No cóż, owszem, to prawda, ale nie jest zamieciona i nie pali się w kominku... a poza tym, pan Montagu...

– Montagu nie będzie miał nic przeciwko temu. – Doyle zwrócił się do Darrowa, który już odzyskiwał kolory. – Jestem pewien, że dysponuje pan odpowiednią gotówką na nieprzewidziane wydatki,

panie Darrow – powiedział. – I myślę, że gdyby zapłacił pan godziwie temu człowiekowi, to kazałby on rozpaść w sali ogień i przynieść nam posiłek. W końcu pan Coleridge najwyraźniej uważał, że chodzi właśnie o ten wieczór, więc dlaczego mamy go słuchać na ulicy, skoro w pobliżu znajdują się gospody z wolnymi pokojami? Jestem pewien – zwrócił się do Lawrence’a – że nawet pan Montagu nie mógłby zaprzeczyć logice mych słów.

– No cóż – powiedział gospodarz niechętnie – będę musiał odebrać kilku moich ludzi od ich zwykłych obowiązków... trzeba będzie podjąć dodatkowe wysiłki...

– Sto złotych suwerenów! – zawołał dzikim głosem Darrow.

– W porządku – zakrzuszył się Lawrence. – Ale proszę tak nie krzyczeć.

Coleridge wyglądał na przerażonego.

– Sir, naprawdę nie mogę pozwolić, by...

– Jestem obrzydliwie bogatym człowiekiem – przerwał mu Darrow, odzyskując spokój. – Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Bener, przynieś je z powozu. Tymczasem pan, panie Lawrence, zaprowadzi nas do sali bankietowej.

Otoczył jednym ramieniem barki Coleridge’a, drugim Doyle’a, po czym ruszył w ślad za potężną, pełną wigoru sylwetką gospodarza.

– Wnosząc z pańskiego akcentu, musi pan być Amerykaninem? – spytał Coleridge, nieco zdziwiony. Doyle zauważył, że poeta w specyficzny sposób wymawia swoje „r”. To ten akcent z Devonshire, wciąż obecny po tylu latach, pomyślał Doyle. W jakiś niezrozumiały sposób potęgowało to jeszcze wrażenie delikatności, charakterystycznej dla Coleridge’a.

– Tak – odparł Darrow. – Przyjechaliśmy z Wirginii. Dokładniej mówiąc z Richmond.

– Ach tak. Zawsze chciałem odwiedzić Stany Zjednoczone. Planowałem to wraz z kilkorgiem przyjaciół w swoim czasie.

Sala bankietowa, która znajdowała się na drugim końcu budynku, była ciemna i zimna.

– Proszę dać sobie spokój z zamiataniem – powiedział Darrow, zdejmując energicznie krzesła z długiego stołu i ustawiając je na podłodze. – Proszę zapalić tu światła i ogień, i przynieść dużo wina i brandy, to nam wystarczy.

– W tej minucie, panie Darrow – odparł Lawrence, po czym wyszedł spieszący z sali.

Coleridge łyknął jeszcze brandy i wstał. Rozejrzał się po audytorium, które liczyło teraz dwadzieścia jeden osób, gdyż trzech mężczyzn spożywających posiłek w jednym z pokoi usłyszało o wykładzie i postanowiło się przyłączyć. Jeden z nich otworzył notatnik i trzymał w pogotowiu ołówek.

– Jak zapewne wiecie, przynajmniej równie dobrze jak ja – zaczął poeta – poziom angielskiej literatury uległ zmianie, obniżył się, osiągając minorową i mroczną tonację, wraz z dojściem do głosu stronnictwa parlamentarnego Cromwella, kiedy to jego okrągłogłowi poplecznicy, zwani tak od purytańskiego obyczaju krótkiego strzyżenia włosów, zdołali, pomimo „boskich prerogatyw króla”, doprowadzić do ścięcia Karola I. Ateński blask panowania Elżbiety, czy też powiedzmy raczej lat jej życia, gdyż obejmują one okres rozwoju wszelkich dziedzin nauki, którego nasz naród nigdy już później nie doświadczył, ustąpił miejsca surowości purytan, którzy unikali wszelkich skrajności i błyskotliwych analiz swych historycznych poprzedników. John Milton liczył już sobie trzydzieści cztery lata, gdy Cromwell dochodził do władzy, i choć popierał stronnictwo parlamentarne i pochwalał znaczenie surowej dyscypliny i samodoskonalenia, bieg jego myśli został ukształtowany u schyłku poprzedniego okresu... Cromwell doszedł faktycznie do władzy nieco później; 1642 to początek wojny między królem a parlamentem.

Podczas gdy Coleridge kontynuował, tracąc swój apologetyczny ton i mówiąc, w miarę oswajania się z tematem, bardziej autorytatywnie, Doyle złapał się na tym, że rozgląda się po niewielkim audytorium; nieznamy z notatnikiem zapisywał pracowicie słowa poety, posługując się jakąś odmianą stenografii, i Doyle zorientował się, że to musi być ów nauczyciel, o którym zeszłej nocy wspomniał Darrow. Wlepił pełen zazdrości wzrok w notatnik. Przy odrobinie szczęścia, pomyślał, może udałoby mi się za sto siedemdziesiąt lat zdobyć te zapiski. Mężczyzna podniósł głowę i uchwycił spojrzenie Doyle'a, po czym uśmiechnął się. Doyle skinął głową i szybko się odwrócił. Nie rozglądaj się, upomniął go z furią w myślach. Notuj.

Państwo Thibodeau wpatrywali się w Coleridge'a spod przymkniętych powiek. Doyle lękał się przez chwilę, że drzemia; później uznał jednak, że ten z pozoru tępy wyraz twarzy oznacza intensywną koncentrację. Wiedział, że zapisują w swych myślach słowa wykładu równie dokładnie jak kamera wideo.

Darrow obserwował poetę z błogim uśmiechem zadowolenia. Doyle zorientował się, że ten człowiek nawet nie słucha, ale po prostu cieszy się, że audytorium okazuje satysfakcję z widowiska.

Benner wpatrywał się w swoje dłonie, jakby to było interludium, okres wytchnienia przed jakimś czekającym go wielkim wysiłkiem. Czy się martwi o powrót przez dzielnicę slumsów? Nie wydawał się zbyt z troską podczas jazdy w tę stronę – zastanawiał się Doyle.

– A zatem Milton sprowadza zagadnienie do kwestii wiary – mówił Coleridge, zbliżając się do końca wykładu – i to wiary bardziej niezależnej, autonomicznej, w gruncie rzeczy silniejszej, niż ta, której poszukiwali purytanie. Wiara, powiada on, nie jest jakimś egzotycznym kwiatem, który hoduje się pracowicie, wyrzekając się większości aspektów codziennego świata; nie jest też pożytecznym złudzeniem, karmionym sofistyką i półprawdami, takimi jak dziecinna wiara w świętego Mikołaja. Krótko mówiąc, nie jest ona celowo bezmyślnym przywiązaniem do ściśle określonej religii, lecz raczej powinna być, jeśli już czymś ma być, świadomym uznaniem wzorów i tendencji, które znajdujemy w każdym fragmencie materii świata i które są odbiciem samego Boga. Dlatego to właśnie religia może być uważana jedynie za wskazówkę i objaśnienie, nie zaś żaden bodziec przymusu, gdyż jedynie wiara i zachowania, do których dochodzi się niezależnie, a zatem na drodze wolnego wyboru, mogą być przedmiotem pochwały lub nagany. A tym samym należy uznać za ograniczanie praw człowieka celowe zatajanie przed nim wszelkich faktów i opinii; żaden pojedynczy fragment nie może być uznany za zbędny, gdyż im więcej kamyków, zarówno jasnych, jak i ciemnych, tworzy mozaikę, tym wyraźniejszy jest obraz Boga.

Przerwał i powiódł wzrokiem po audytorium; następnie podziękował i usiadł.

– Czy są jakieś pytania, amplifikacje lub sądy przeciwne?

Doyle zauważył, że gdy tylko w poecie zgasł płomień oracji, stał się on na powrót pulchnym, skromnym starszym człowiekiem, którego spotkali w przedsiionku gospody; podczas wykładu sprawiał większe wrażenie.

Percy Thibodeau, w sposób dobrotliwy, postawił Coleridge'owi zarzut wzbogacenia eseju Milтона o własne przekonania, cytując na dowód fragmenty jego własnych esejów, a najwyraźniej połączony tym poeta odpowiedział obszernie, wskazując na wiele punktów, w których różnił się z Miltonem. „Mając jednak do czynienia z człowiekiem

pokroju Milтона – zauważył z uśmiechem – próżność nakazuje mi opierać się na przekonaniach, które z nim podzielam”.

Darrow wydobyl z kieszonki w kamizelce zegarek, zerknął nań i podniósł się.

– Obawiam się, że musimy ruszać w drogę – powiedział. – Czas i odpływ nie czekają na człowieka, jak się powiada, a mamy przed sobą długą podróż.

Zaszurały odsuwane krzesła, ludzie zaczęli się podnosić i wsuwać ramiona w rękawy płaszczy. Niemal wszyscy, nie wyłączając Doyle’a, nie omieszkali wymienić z Coleridge’em uścisku dłoni, Percy Thibodeau zaś ucałowała go w policzek.

– Pańska Sara z pewnością nie miałyby pretensji o pocałunek kobiety w moim wieku – rzekła.

Spirytystyczne medium zaczęło wpadać w rodzaj transu, a wtedy pospieszył Benner i uśmiechając się szepnął coś kobiecie do ucha.

Otrząsnęła się natychmiast i dała się wyprowadzić za łokieć z sali.

– Benner – upomniał go Darrow. – W porządku, rób swoje. Pannie Doyle – czy zechciałby pan pójść i powiedzieć Clitheroe, by zjechał przed wejście?

– Oczywiście.

Doyle przystanął w drzwiach, by po raz ostatni popatrzeć na Coleridge’a – bał się, że nie słuchał go wystarczająco uważnie, i nie skorzystał z wieczoru tak jak chociażby państwo Thibodeau, po czym westchnął i odwrócił się.

W korytarzu panował mrok, podłoga była nierówna, a Benner i nieszczęsne medium gdzieś zniknęli. Doyle dotarł po omacku do zakrętu korytarza, ale zamiast w sieni prowadzącej do wyjścia, znalazł się u podnóża schodów, których dolne stopnie wydobywał z mroku blask świecy płonącej w kaganku na ścianie. Musiałem pomylić drogę, pomyślał i zawrócił.

Drgnął gwałtownie, gdyż ujrzał przed sobą bardzo wysokiego człowieka; jego twarz przypominała wyciosaną z kamienia i była pokryta szpetnymi bruzdami, jakby przez całe życie gościł na niej grymas sprzeciwu, głowę zaś miał łysą jak sep.

– Boże, przestraszył mnie pan – zawołał Doyle. – Przepraszam, wydaje mi się, że pomyliłem...

Ze zdumiewającą siłą mężczyzna chwycił Doyle’a za rękę, po czym, obracając nim, wykręcił ją między łopatki, i gdy nieszczęsny jęknął pod wpływem nagłego bólu, przytknął mu do twarzy mokrą szmatę, a wówczas Doyle, zamiast powietrza, wciągnął w płuca ostre opary

eteru. I tak nie był w stanie utrzymać równowagi, więc ogarnięty paniką wierzgnął do tyłu nogą i poczuł, jak obcas jego buta uderza mocno w kość, ale potężne ramiona nawet nie drgnęły. Szamocząc się wciągnął w płuca jeszcze więcej oparów, choć starał się wstrzymać oddech. Czuł narastający gdzieś z tyłu czaszki wielki ucisk i zastanawiał się gorączkowo, dlaczego nikt, ani Darrow, ani Benner czy nawet Coleridge, nie wybiega z za zakrętu korytarza i nie wzywa pomocy.

W ostatnim, szalonym przebiełsku świadomości przyszło mu do głowy, że to musi być ów podobny do trupa, stary i łysy facet, którego w 1805, w namiocie na łąkach Inslington, pięć lat czy może pięć godzin wcześniej, przestraszył Benner.

Przyjemność wieczornej przejażdżki, potraktowanej przez Niecnego Ryszarda jako ucieczka od mozolnej roboty przetapiania coraz większej liczby metalowych tyżeczek, których dostawy wydawały się nie mieć końca, zepsuł Wilbur swą opowieścią o tym, jak ich zdobycz pojawiła się na tym polu. „Podkradłem się i ruszyłem za starym – zwierzał się szeptem, gdy siedząc na koźle wozu oczekiwali powrotu szefa. – Szedł powoli przez las, zatrzymywał się i znów ruszał, i niósł ze sobą te swoje dziwne zabawki: gliniany garnek z kwasem i ołowiem w środku, no wiesz, który cię kąsa, jak dotkniesz dwóch metalowych guzików na wierzchu. Wciąż przystawał, żeby go dotknąć, Beng tylko wie dlaczego, i widziałem, jak jego dłoń cofa się gwałtownie, ilekroć go użądliło. I miał jeszcze to coś podobne do teleskopu z brzydkimi obrazkami w środku”. Ryszard wiedział, że chodzi o sekstans; Wilbur nie mógł zrozumieć, że nie ma to nic wspólnego z seksem, więc przyjmował w swej naiwności, że szef ogląda nieprzyzwoite obrazki. „Przystawał wielokrotnie i patrzył przez niego – pewnie żeby krew mu szybciej płynęła w żyłach – mówił dalej. – No więc obserwowałem go z za drzewa, kiedy ruszył przez pole, oglądając te swoje obrazki i kłując się w rękę, jakby chciał się ukarać. Potem dotknął tego garnka, ale nie cofnął dłoni. Spojrzał na niego, ruszył nim i znów go dotknął, ale nie wstrząsnęło nim, więc już wiedziałem, że się popsuło. Zaraz potem pobiegł w stronę drzew, nie zatrzymując się tym razem, wobec tego rozpląszczyłem się na ziemi, bo się bałem, że mnie zauważy. Ale nie zauważył i kiedy spojrzałem, był już za drzewem, jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, i wpatrywał się zawzięcie w puste pole. Więc i ja zacząłem tam patrzeć, i przestraszyłem się nie na żarty, bo on sam był zaniepokojony tym, co knuł”.

Kiedy Wilbur przerwał dla zaczerpnięcia oddechu, Ryszard sięgnął pod koszulę i potarł kciukiem uszy swojej drewnianej małpki, gdyż zawsze podejrzewał, że takie strachliwe gadanie ją irytuje.

„No cóż – ciągnął Wilbur – zostaliśmy tam przez parę minut, nie odchodziłem stamtąd ze strachu, że mnie usłyszysz. I nagle, ni stąd, ni zowąd, rozległ się głośny łomot, drzewami poruszył powiew wiatru; akurat wyjrzałem i zdążyłem zobaczyć wielki czarny namiot, który runął w samym środku pola. – Tu ścisnął Niecnego Ryszarda za ramię. – A nie było go tam jeszcze parę sekund wcześniej, kiedy patrzyłem! On się tam po prostu pojawił, rozumiesz? Zrobiłem kilka ruchów, by odegnąć zło, i z tuzin razy wypowiedziałem głośno: »czosznek«!, bo każdy by wiedział, że to sprawka Bengo. Potem spod namiotu wyczołgało się kilku bogato ubranych ludzi, którzy odsunęli na bok płachtę, i co powiesz? Pod spodem były dwa powozy, z zapalonymi latarniami i w ogóle wszystkim! I ludzie siedzieli w środku, a do powozów były zaprzężone konie gotowe do jazdy. I jeden z tych pomiotów Bengo powiedział głośno: »Ale skok! Czy nikomu nic się nie stało? Co z końmi«? A inny go uciszył. Potem paru z nich zwinęło namiot i zakopało, i dwa powozy ruszyły w stronę drogi. Właśnie wtedy szef pobiegł z powrotem do obozu, ja za nim, i kazał nam jechać za nimi”.

Wilbur wycofał się na tył wozu i sądząc po jego głośnym oddechu, skorzystał z okazji, by uciąć sobie krótką drzemkę. Niecny Ryszard zazdrościł mu tej umiejętności zapomniania o niepokojących rzeczach. Stary Cygan poruszył się niespokojnie na koźle i wlepił wzrok w tylne wyjście Korony i Kotwicy. Już samo przebywanie w mieście sprawiało, że stawał się nerwowy, nie mówiąc już o tych wszystkich *gorgio*, którzy się na niego gapili, i *prastamengros*, którzy zawsze byli gotowi wtrącić ludzi doktora Romany do więzienia, ale myśl, że działały tu czary, przyprawiała go o ból głowy. Ryszard odznaczał się nietypową dla Cygana umiejętnością porównywania przeszłych i teraźniejszych wydarzeń, więc żałował pośepnie, że stary Amenofis Fikee zniknął przed ośmioma laty. Kiedy im przewodził, łupy były bogate, życie zaś o wiele spokojniejsze. Ponownie wsunął dłoń pod koszulę i pogłaskał dla uspokojenia głowę małpki kciukiem.

Tylne drzwi gospody otworzyły się z jękiem i doktor Romany, z bezwładnym ciałem przerzuconym przez ramię, zbliżył się w podskokach do wozu.

– Wstawaj, Wilbur – syknął Ryszard, nim szef zdążył pojawić się z tyłu wozu.

– Pomóż mi wsadzić tego człowieka na wóz, Wilbur – powiedział cicho Romany.

– *Avo, rya* – odparł Wilbur, który oprzytomniał w mgnieniu oka.

– Ostrożnie, idioto. Nie obij mu głowy – potrzebuję tego, co w niej jest. *Avo*, na koce, tak *kuszto*. A teraz zwiąż go i zaknebluj. – Ich wiekowy szef zaciągnął poły, zasnurował, a potem, zadziwiająco zwinnie w swych sprężynowanych butach, okrążył wóz, wspiął się na kozioł i zajął miejsce obok Ryszarda. – Mają najwyraźniej zamiar stąd odjechać – powiedział. – Złapałem jednego, ale trzeba ruszyć i za pozostałymi.

– *Avo, rya* – zgodził się Ryszard. Cmoknął na konie i wóz szarpnął do przodu. Płócienna plandeka furkotała, gdy żelazne obręcze, na których była rozciągnięta, kołysały się tam i z powrotem. Dwie przecznice za Koroną i Kotwicą skręcili w Strand, a potem podjechali do krawężnika.

Czekali niemal pół godziny, a przez cały ten czas podchodzili do nich liczni przechodnie, zwabieni ozdobnym napisem po obu stronach wozu: wędrowny targ doktora Romany. W pewnej chwili szef zmrużył oczy.

– Ryszardzie! Wreszcie wychodzą – za nimi.

Smagnęły lejce i wóz ruszył spod trotuaru. Ulica była zapchana wozami i bryczkami, a goście z Korony i Kotwicy oddalali się szybko, więc stary Cygan musiał stanąć na koźle i użyć całego kunsztu powożenia, by nie stracić ich z oczu.

Gdy skręcili ostro w St.Martin's Lane przy akompaniamencie gniewnych i pełnych strachu okrzyków ze strony innych woźniców, doktor Romany wyciągnął spokojnie z kieszeni zegarek, zerknął na niego, po czym schował na powrót. Ryszard posłyszał, jak mówi sam do siebie:

– Chcą przejechać przez wrota, nim się zamkną.

Trzy pędzące powozy, z których dwa jechały jeden za drugim, trzeci zaś trzymał się w pewnej odległości za nimi, podążały tą samą drogą, którą przemierzyły wcześniej. Nim skręciły ze stukotem kół w Oxford Street, kierując się na wschód, Ryszard był pewien, że samotny mężczyzna siedzący z tyłu drugiego powozu zdążył już ich zauważyć, gdyż utrzymywali tę samą prędkość. I kiedy po lewej stronie mignął Hyde Park i otoczyły ich ciemne pola, przy drugim powozie błysnęła lufa pistoletu i rozległ się głuchy trzask. W sekundę później od żelaznego pręta podtrzymującego plandekę, tuż nad głową Ryszarda, odbiła się kula.

– *Pre my mullo das!* – zawołał stary Cygan, ściągnając instynktownie lejce. – Ten drań strzela do nas!

– Przeknij swojego zmarłego ojca i popędź konie! – krzyknął Romany. – Mój czar ochroni nas przed ich kulami.

Ryszard zacisnął zęby i zakrywając jedną ręką swoją biedną, drewnianą małpkę, smagnął konie batem, by zmusić je do szybkiego biegu. Ryszard, czując zimno i wilgoć w powietrzu, żałował z bólem serca, że nie siedzi teraz w namiocie nad gorącymi formami i tyglami.

– Z pewnością wracają na to pole przy drodze, za drzewami – powiedział Romany. – Skręć w następną ścieżkę, zrobimy koło i zajedziemy do obozu.

– Czy dlatego kazałeś nam się rozbić w tym miejscu, *rya*? – spytał Niecny Ryszard, ściągnając z ulgą lejce, podczas gdy powozy odalały się drogą. – Czy wiedziałeś, że ci ludzie się zjawią?

– Wiedziałem, że ktoś może się zjawić – mruknął Romany.

Wóz podskakiwał i kołysał się na wyżłobionym koleinami trakcie, który odchodził od Bayswater Road i okrążał od południa szpaler drzew. Przy namiotach i ogniskach nikt nie siedział, ale na ich spotkanie wybiegło kilka psów, które przyglądały się jakiś czas nowo przybyłym, po czym pobiegły do namiotów, by merdaniem ogonów i podskokami dać znać swoim panom, że to znajomi Cyganie. W chwilę później pojawiło się kilku mężczyzn i podeszło do wozu, który zdążył się już zatrzymać.

Romany zeskoczył na ziemię i skrzywił się, gdy podeszwy jego butów z trzaskiem dotknęły twardego gruntu.

– Zabierz naszego więźnia do swojego namiotu, Ryszardzie – powiedział – i upewnij się, że nie jest ranny i że nie uda mu się zbiec.

– *Avo, rya* – zawołał stary Cygan, gdy ich szef ruszył w dziwacznych podskokach ku drzewom oddzielającym ich pole od sąsiedniego, na którym według słów Wilbura zmaterializowali się straszliwi nieznajomi.

Przypominając sobie śmiałość Wilbura, który odważył się szpiegować szefa, Ryszard zapragnął nagle mu dorównać.

– Zabierz go do mojego namiotu, Wilbur – powiedział – i zwiąż jak stary but – niebawem wrócę.

Mrugnął do towarzysza, który wytrzeszczył z podziwu oczy, a następnie ruszył w ślad za szefem.

Zboczył nieznacznie w lewo, by znaleźć się jakieś trzydzieści metrów od miejsca, w którym miał się przyczaić Romany – słyszał, jak starzec podąża cicho między drzewami z prawej strony, choć nie

tak cicho jak Cyganie. Nim szef zdążył ukryć się za szerokim pniem na skraju pola, Ryszard ułożył się za pagórkiem, nie czyniąc najmniejszego nawet hałasu.

Powozy stały na środku pola, jeden obok drugiego. Były puste, pasażerowie wysiedli i zbili się w gromadkę parę metrów dalej. Ryszard naliczył siedemnaście osób, w tym kilka kobiet.

– Posłuchacie mnie czy nie? – mówił głośno jakiś starszy człowiek, najwyraźniej podenerwowany. – Nie mogliśmy szukać go już dłużej. I tak już uszczupliliśmy ponad rozsądną miarę nasz margines bezpieczeństwa. Do diabła, dotarliśmy tu ledwie przed chwilą, a do zamknięcia szczeliny pozostało tylko kilka sekund. Doyle najwidoczniej postanowił...

Rozległ się głuchy odgłos uderzenia, a wtedy wszyscy runęli na ziemię. Po chwili Ryszard spostrzegł, że leżące w beładzie kupki to tylko ubrania – ludzie, którzy mieli je na sobie zniknęli. Konie i powozy stały samotnie na pustym polu skąpanym w księżycowym blasku.

– To byli *mullo chals* – wyszeptał przerażony Ryszard. – Duchy! Czosnek, czosnek, czosnek! – Widział, jak doktor Romany biegnie przez pole, wstał więc i wyciągnął zza pazuchy swoją małpkę. – Nie musisz mi nawet tego mówić – wyszeptał do niej. – Wiejemy stąd.

Popędził z powrotem do obozu.

Choć z początku Doyle nie był w stanie unieść powiek, okropny smak środków antyseptycznych i zapach wypełniający jego nozdrza wskazywały, że znów jest w gabinecie stomatologicznym. Przesuwał językiem po jamie ustnej, próbując się zorientować, który to ząb wyrwano mu tym razem. Pomyślał, że położyli go na cholernie bryłowanym materacu. No i gdzie jest pielęgniarzka z gorącą czekoladą, zastanawiał się rozdrażniony.

Otworzył oczy i zauważył z niepokojem, że wcale nie znajduje się w gabinecie stomatologicznym, a co za tym idzie, że nie dostanie prawdopodobnie swojej czekolady. Był w jakimś namiocie, w świetle zaś lampy stojącej na stole dostrzegł dwóch śniadych mężczyzn z wąsami i kolczykami, którzy z jakichś niejasnych powodów przyglądali mu się groźnie. Jeden z nich, ten z siwizną pokrywającą kręcone włosy, dyszał, jakby dopiero co przebiegł kawał drogi.

Doyle nie był w stanie poruszyć ręką ani nogą, ale przypomniał sobie nagle, że jest w Anglii i że znalazł się tu, by na prośbę tego starego sza-

leńca, J.Cochrana Darrowa, wygłosić mowę na temat Coleridge'a. A mówił, że czeka na mnie pokój w hotelu – pomyślał ze złością. – Co on nazywa pokojem? Ten cholerny namiot? I kim są ci kłowni?

– Gdzie on jest? – zaskrzeczał. – Gdzie jest Darrow?

Obaj mężczyźni cofnęli się o krok, wciąż przyglądając się groźnie. Możliwe, że nie pracowali dla Darrowa.

– Ten stary, z którym byłem – wyjaśnił niecierpliwie. – Gdzie on jest?

– Zniknął – powiedział zdyszany mężczyzna.

– No to zadzwoń do niego – nakazał Doyle. – Numer jest pewnie w książce.

Mężczyźni westchnęli gwałtownie, jeden zaś wyciągnął z kieszeni małą drewnianą małąkę i ścisnął jej główkę między kciukiem a palcem wskazującym.

– Nie będziemy dzwonić dla ciebie po żadne *gorgio* duchy, ty pomociu Benga! – zasyczał. – Choć numer bestii naprawdę jest w *gorgio* biblii!

W tym momencie do namiotu wbiegł pies, zakręcił się z podkulonym ogonem i wybiegł pospiesznie.

– *Rya* wrócił – powiedział ten z małąką. – Wyjdź tylnym wyjściem, Wilbur.

– *Avo* – odparł ochoczo Wilbur i precyzyjnie się pod połą namiotu.

Doyle wlepił w nią wzrok. Kiedy pies, wbiegając do środka, trącił ją i odsunął na bok, Doyle dostrzegł panującą na zewnątrz ciemność i poczuł powiew zimnego powietrza przesyconego zapachem drzew i trawy. Jego pamięć otrząsnęła się w końcu z oparów eteru i zaczęła funkcjonować prawidłowo. Pełen niepokoju, odtwarzał teraz w myślach wydarzenia wieczoru. Tak, skok doszedł do skutku, potem było miasto, i ta dzielnica slumsów, i tak! – zgadza się, Coleridge! I pani Thibodeau pocałowała go... nagle Doyle poczuł pustkę i zimno w żołądku, a na czole kropelki lodowatego potu, gdyż przypomniał sobie, jak obezwładnił go łysy mężczyzna. O Boże – pomyślał przerażony, przegapiłem powrotny skok, byłem poza obrębem pola, kiedy szczelina się skończyła!

Ktoś odsunął połą namiotu i do środka wkroczył podskakując gwałtownie łysy mężczyzna, który porwał go z Korony i Kotwicy. Wyciągnął z kieszeni cygareto i podszedł do stołu, po czym schylił się nad lampą i przypalił od jej płomienia. Następnie zbliżył się do legowiska Doyle'a, przytrzymał mu silną dłońią głowę i przysunął do oka rozżarzony koniuszek cygara. Doyle pod wpływem paniki wygiął się w łuk i zaczął wierzcąc związanymi stopami, ale pomimo rozpaczli-

wych wysiłków jego głowa pozostała unieruchomiona. Czuł na gałce ocznej ciepło przenikające szczelnie zaciśniętą powiekę; żarzący się koniec cygara dzielił od niej niespełna centymetr.

– O, mój Boże, przestań! – wybuchnął. – Na pomoc, przestań, zabierzcie go ode mnie!

Po chwili ciepło oddaliło się i uwolniono mu głowę. Kręcił nią na boki i mrugał, chcąc pozbyć się łez z lewego oka. Kiedy znów mógł patrzeć na otoczenie, zobaczył, że łysy mężczyzna stoi nad legowiskiem, zaciągając się w zamyśleniu cygarem.

– Dowiem się wszystkiego – stwierdził. – Powiesz mi, skąd przybyli twoi ludzie, jak wykorzystujecie wrota do podróży, jak je odkryliście – wszystkiego się dowiem. Czy wyrażam się jasno?

– Tak – jęknął płacząco Doyle i pomyślał z furją: Oby Bóg przeklął J. Cochran Darrowa. Oby zżarł go żywcem nowotwór. To nie ja miałem przywołać powozy, kiedy byliśmy w gospodzie! – Tak, powiem wszystko. Prawdę mówiąc, uczynię cię bogatym człowiekiem, jeśli zechcesz wyświadczyć mi przysługę.

– Przysługę – powtórzył w zamyśleniu stary człowiek.

– Tak. – Doyle’a swędziało z powodu łez policzek. Doprowadzało go do szału, że nie może się podrapać. – Nie żartuję mówiąc, że uczynię cię bogatym. Mogę ci podpowiedzieć, jakie tereny zakupić, w co zainwestować... mogę prawdopodobnie zdradzić ci, gdzie znaleźć ukryte skarby, jeśli będę miał czas zastanowić się nad tym... złoto w Kalifornii... grobowiec Tutenchamona...

Doktor Romany chwycił za pętle sznura, którym była przewiązana pierś Doyle’a, i uniósł go z legowiska, nachylając się tak nisko, że ich twarze dzieliły od siebie jedynie centymetry.

– Twoi ludzie to wiedzą? – spytał szeptem. – Gdzie to jest?

Pozycja, w jakiej znajdował się Doyle, sprawiała, że sznur wrzywał mu się boleśnie w boki i ramiona. Czuł się tak, jakby miał znów stracić przytomność, ale zdążył zauważyć, że wywołał czymś niezadowolone tego straszego człowieka.

– Co? – wykrztusił. – Gdzie znajduje się grobowiec króla Tutenchamona? Tak – puść mnie, nie mogę oddychać!

Romany otworzył dłoń i Doyle upadł z powrotem na legowisko. Jego głowa, w której i tak już mu się kręciło, uderzyła o deskę.

– A zatem, gdzie to jest? – spytał groźnie spokojnym głosem Romany.

Doyle, zrozpaczony, rozejrzał się wkoło. W namiocie był jeszcze tylko stary Cygan z małpką, który spoglądał bojaźliwie na Doyle’a i powtarzał mrukliwie jakieś słowo.

– No cóż – zaczął niepewnie Doyle. – Dobiję targu z...

Kilka chwil później uświadomił sobie, że dzwoni mu w uchu, a policzek pali i jednocześnie drętwieje, gdyż stary człowiek uderzył go otwartą dłonią w głowę.

– A więc gdzie to jest? – powtórzył łagodnie Romany.

– Jezu, człowieku, nie gorączkuj się tak! – Nagle stało się dla niego jasne, że jego prześladowca wie jakimś cudem, gdzie to jest, i tylko go sprawdza. Zobaczył, że Romany znów podnosi dłoń. – W Dolinie Królów! – wypalił – Pod chatami robotników, którzy budowali grobowiec innego faraona! Ramzesa czy kogoś tam.

Stary człowiek skrzywił się groźnie i przez kilka długich sekund puszczał tylko kłęby dymu ze swojego cygara.

– Powiesz mi wszystko – odezwał się w końcu. Przyciągnął sobie krzesło i usiadł, ale w tym momencie do namiotu znów wbiegł pies, po czym odwracając się w stronę wejścia zawarczał cicho.

– *Gorgios* – wyszeptał stary Cygan. Wyjrzał na zewnątrz. – Niech nas *Duvel* ma w swej opiece, *rya*, to *prastamengros*!

Doyle odetchnął głęboko, czując się jak ktoś, kto ma skoczyć z niebezpiecznej wysokości, i krzyknął z całej siły, jaką zdołał wykrzesać ze swego gardła i płuc:

– Na poomoooc!

Stary Cygan natychmiast wykonał półobrót i uderzył stopą w lampę, która roztrzaskała się, a płonący olej ochlapał ścianę namiotu; Romany zatkał jednocześnie Doyle'owi usta dłonią i wykręcił mu głowę na bok. Doyle patrzył teraz na klepisko; potem usłyszał, jak stary Cygan woła „Ratunku! Pali się!”, a w sekundę później stwierdził, że pięść doktora Romany trafiła go tuż za lewym uchem, ponownie wtrącając w objęcia nieświadomości.

Płonęły dwa namioty. Doyle'a złościło, że nie jest w stanie przywrócić swym oczom ostrości widzenia; pragnął zapomnieć o kneblu w ustach, smakującym wełną, i o sznurach, unieruchamiających mu dłonie przy biodrach. Płomienie wydawały się doskonałym obiektem zainteresowania, który pozwoliłby mu zapomnieć o jego położeniu, gdyby tylko zdołał dokładniej im się przyjrzeć. Pamiętał mgliście, że został posadzony pod drzewem przez tego przerażającego i łysego człowieka, który zbadał mu puls i podniósł powieki, by popatrzeć przenikliwie w oczy, a potem pobiegł z powrotem w stronę ognia i wrzawy. Właśnie to go obudziło – ból wywołany dotykiem zrogowaciałego kciuka na oparzonej powiece.

Przekrzywił głowę do tyłu i z przestachem ujrzał na niebie dwa księżyce. Jego umysł pracował jak silnik, który wymaga natychmiastowej regulacji, ale szybko wydedukował, że widzi podwójnie, i że tym samym pali się tylko jeden namiot. Z wielkim wysiłkiem połączył dwa księżyce w jeden. Opuścił głowę i zobaczył tylko pojedynczy płomień. Zdawało się, że przez gorącą mroczność jego umysłu przepłynęła ozdrowieńcza fala chłodnego powietrza i nagle uzmysłowił sobie kilka rzeczy – trawę i kamyki pod sobą, chropowaty pień drzewa pod plecami i boleśnie zadzierzgnięte sznury.

Niespodziewanie, bez sygnału ostrzegawczego, ogarnęła go fala mdłości, a wtedy wróciły mu do gardła wytworne przekąski Darrowa. Pokonał z wysiłkiem odruch wymiotny i przełknął częściowo przetrawione resztki jedzenia. Czuł chłód nocnego wiatru na twarzy i dłoniach, które pokryły się nagle warstewką potu. Starał się nie myśleć, co by się stało, gdyby zwymiotował, mając zakneblowane usta i wciąż będąc nieprzytomnym. Zabrał się pracowicie do usuwania z ust knebla, przesuując go do przodu językiem, a potem przytrzymując między zębami, by zacząć wszystko od nowa i znów napierać na knebel. W końcu się go pozbył, wypychając pod skórzany rzemyk, który go przytrzymał. Potrząsnął głową, aż w końcu knebel spadł na ziemię. Odetchnął głęboko przez otwarte usta i starał się zebrać myśli. Nie mógł sobie przypomnieć, co sprawiło, że został tu porzucony, by patrzeć sobie spokojnie na ogień, ale pamiętał cygaro starego człowieka i jeden silny cios w twarz. Niemal bez udziału świadomości odepchnął się od drzewa, położył się płasko na ziemi i zaczął się turlać.

Kręciło mu się w głowie, poza tym tracił dopiero co odzyskaną jasność myśli, ale kontynuował swoją wędrówkę przez ciemną polanę; odbijał się od ziemi piętą, potem przechylał się dzięki uniesionemu ramieniu, a następnie wykorzystywał impet toczenia się, by przygotować się do następnego ruchu. Zatrzymał się dwukrotnie, by zwymiotować, i dziękował Bogu, że udało mu się wypluć knebel. Po chwili zupełnie zapomniał, dlaczego porusza się w tak szczególny sposób, i wyobraził sobie, że jest ołówkiem toczącym się ku krawędzi biurka, lub też zapalonym cygarem toczącym się po oparciu fotela – wolał jednak nie myśleć o cygarach.

Nagle poczuł, że koziółkuje w powietrzu, i odruchowo naprężył się, by w chwilę później wpaść do lodowatej, rwącej rzeki. Wypląnął na powierzchnię, ale nie mógł zaczerpnąć powietrza w zszokowane nagłym zimnem płuca, i znów znalazł się pod wodą, podczas gdy

ramiona i nogi zmagaly się bezradnie z więzami. Pomyślał: Umre tu; wciaż jednak wierzgał nogami i gdy jego glowa wynurzyla się ponad powierzchnię, zdołał zaczerpnąć w płuca powietrze.

Gdy wreszcie opanował początkową panikę, odkrył, że najlepiej dać się nieść wodzie, płynąc nogami do przodu i wynurzając się od czasu do czasu dla złapania oddechu. Pomyślał: Ten strumień musi w którymś miejscu zmienić się w płytkie rozlewisko, zanim wpadnie do Tamizy, a wtedy jakoś dobrnę do brzegu.

Zakręciło nim, gdy zaczepił o coś obcasem. Uderzył ramieniem o jakąś skałę i krzyknął z bólu. Na następną nadział się torsem, a wtedy napiął mięśnie obolałego brzucha, by owinąć się wokół niej, łapiąc jednocześnie oddech. Woda napierająca na jego plecy pomagała mu utrzymać się na skale, ale czuł, że się zsuwa – drapał bezradnie paznokciami mokry kamień – i nagle przestał wierzyć, że zdoła bez pomocy dopłynąć do brzegu.

– Na pomoooc! – zawołał, a wysilek związany z krzykiem nie tylko osłabił jego dłonie uczezione skały, ale przywołał chwilę, gdy tak samo wzywał pomocy. „Niech *Duvel* ma nas w swojej opiece, *rya*, to *prastamengros!*”, przypomniał sobie, płynąc ponownie w dół strumienia, niemal pozbawiony sił.

Wzywał raz po raz pomocy, podczas gdy prąd wody niósł go ze sobą. Obracał się bezradnie, głową do przodu albo nogami, i gdy uświadomił sobie rozpaczliwie, że zdoła krzyknąć jeszcze tylko raz, i wychylił się ponad powierzchnię, zaczerpnąwszy do płuc dostatecznie dużo powietrza, by głośno zawołać, coś zimnego i ostrego chwyciło go za płaszcz i szarpnęło w kierunku przeciwnym do nurtu.

Wypuścił z płuc powietrze, wrzeszcząc ze zdumienia.

– Dobry Boże, człowieku – odezwał się tuż obok jakiś przestraszony głos. – Nie szarp się, wyciągamy cię!

– Chyba złamałeś mu kręgosłup, tato – zawtórował mu pełen przejęcia, dziewczęcy głos.

– Siadaj, Sheila, nic mu nie zrobiłem. Zajmij miejsce po drugiej stronie, o tam, nie chcę, żeby łódź się przewróciła, jak będę go wciągał przez burzę.

Doyle, leżąc na plecach, czuł gwałtowne szarpnięcia i gdy zerknął przez ramię, dostrzegł kilkoro ludzi w łodzi wiosłowej o zaokrąglonych bokach; jakiś stary człowiek trzymał długi bosak, którym go chwycił za kołnierz. Doyle płynął bezwładnie, całkowicie rozluźniony, zanurzając głowę w wodzie i wpatrując się w księżyc. Wciągał w płuca dużymi haustami chłodne, nocne powietrze.

– Mój Boże, Meg, spójrz tylko – odezwał się męski głos, gdy bosak stuknął o krawędź burty, a dwie ręce złapały Doyle’a za ramiona. – Ten twój człowiek jest związany jak jakiś cholerny snopek.

Kobieta mruknęła coś, czego Doyle nie dosłyszał.

– No cóż – ciągnął mężczyzna – nie możemy pozwolić, żeby tak płynął za nami, prawda? Poza tym on z pewnością doceni to, że jesteśmy tylko biednymi, zaharowanymi kramarzami, i nawet taki samarytański uczynek to dla nas strata czasu i pieniędzy. Ma się rozumieć. – Rozległ się trzask i po chwili ostrze noża cięło i rozrywało bez trudu więzy. – No dobra, teraz stopy, za chwilę będzie po wszystkim. Zrobione. A teraz... Do diabła, Sheila, nie mówiłem ci, że masz tam siedzieć?

– Chciałam sprawdzić, czy go nie torturowali – powiedziała dziewczyna.

– A co to jest jak nie tortura – wylądować w potoku Chelsea ze związanymi rękami i nogami, a potem uratować się tylko po to, żeby wysłuchiwać jakiejś idiotki? Siadaj.

Mężczyzna uniósł Doyle’a za kołnierz, potem sięgnął mu przez ramię, odsunął na boki końce płaszcza i chwytając za pasek od spodni przeciągnął go przez burtę i położył na poprzecznej ławie na przodzie łodzi. Doyle starał się pomagać, ale był zbyt słaby, by zrobić coś więcej niż tylko chwycić się dłońmi za krawędź burty, kiedy znalazła się pod jego brzuchem. Leżał nieruchomo na ławie, odpoczywając i oddychając swobodnie.

– Dziękuję – zdołał wykrztusić. – Nie mogłem... utrzymać się na powierzchni... Jeszcze tylko minuta...

– Mój mąż uratował panu życie – stwierdziła surowo stara kobieta o twarzy jak kartofel, która, nachylając się nad nim, pojawiła się w polu jego widzenia.

– Posłuchaj, Meg, on wie o tym równie dobrze jak ty, i jestem pewien, że wyrazi odpowiednio swą wdzięczność. A teraz daj mi płynąć dalej, znosi nas w stronę brzegu. – Usiadł pośrodku i ujął wiosła, a wtedy Doyle usłyszał brzęk dulek. – Muszę zabrać się za wiosłowanie, żeby nadrobić stracony czas, Meg – powiedział, głośniejszym głosem niż zwykle. – A i tak pewnie będzie za późno, żeby dostać nasze stare miejsce w Billingsgate.

Przestał wiosłować, ale po chwili łódź znów drgnęła i ruszyła do przodu.

Dziewczyna o imieniu Sheila nachyliła się zaciekawiona nad Doyle’em.

– Ubranie dzentelmena, tyle że brudne – zauważyła.

Doyle skinął głową.

– Włożyłem je po raz pierwszy dziś wieczór – wyjaśnił chrapliwym głosem.

– A kto to był ten, co pana związał i wrzucił do potoku?

Doyle, który złapał już oddech i odzyskał nieco sił, usiadł otumaniony.

– Cyganie – odparł. – Poza tym, ee, obrabowali mnie. Nie zostawili mi nawet centa – to znaczy, chciałem powiedzieć, ani pensa.

– O Boże, Chris – wtrąciła stara kobieta. – On mówi, że nie ma pieniędzy. I gada jakby był z obcego kraju.

Rytmiczne klekotanie wiosła urwało się raptownie.

– A skąd pan przybywa, sir? – spytał Chris.

– Kalif... ee, z Ameryki.

Powiewy wiatru, które czuł przez mokre ubranie, przyprawiały go o dreszcze. Musiał zaciskać zęby, żeby nie szczękały.

– Posłuchaj, Meg, przecież ma pieniądze na podróż, no nie? To chyba jasne. Gdzie jest pański hotel, sir?

– Prawdę mówiąc, ja... Do diabła, jest mi zimno, macie coś, czym mógłbym się okryć?... Ja dopiero co przyjechałem. Zabrali wszystko: pieniądze, bagaż, mój, tego, paszport...

– Innymi słowy, to trzęsący się biedak – stwierdziła Meg. Obrzuciła Doyle'a surowym spojrzeniem. – No i jak zamierza pan odpłacić nam za naszą uprzejmość, czyli uratowanie życia?

Doyle zaczął odczuwać gniew.

– Dlaczego nie przedstawiliście mi wpierw rachunku? Mógłbym wam powiedzieć, że nie stać mnie na waszą cenę, a wy popłynęlibyście sobie dalej w poszukiwaniu nieco zamożniejszej ofiary. Coś mi się zdaje, że nie doczytałem do końca tej przypowieści o miłosiernym Samarytaninie; dowiedziałbym się, że ten cwaniak przedstawił uratowanemu biedakowi szczegółowy rachunek.

– Posłuchaj, Meg – odezwał się Chris – ten nieszczęśnik ma rację, poza tym nie przyjęlibyśmy od niego żadnych pieniędzy, nawet gdyby je miał. Wiem, że z zadowoleniem odpracuje dług, gdyż w oczach człowieka i Boga jest to dług, jak pan doskonale wie, sir; pomoże nam na targu i przy noszeniu koszy, kiedy Sheila będzie robić obchód. – Oceniał wzrokiem buty i płaszcz Doyle'a. – A teraz dajcie mu koc, żeby mógł się rozebrać. Dostanie stare łachy Patryka za te swoje zniszczone rzeczy, które spróbujemy sprzedać.

Doyle'owi rzucono koc cuchnący cebulą, a ze skrytki na dziobie Meg wyciągnęła ciężki płaszcz i parę spodni ze sztruksu, znoszone

i wielokrotnie łatane, niegdyś białą koszulę i parę starych butów, które chyba pasowały na stopy Chrisa, gdy był w wieku Doyle'a.

– Och! – wykrzyknęła, wyciągając na koniec brudną, białą chustę. – Ulubiona chusta Patryka.

Chłód sprawiał, że Doyle pragnął czym prędzej przebrać się w te zniszczone, ale suche odzienie, i gdy wypchnął nogą spod koca swoje mokre rzeczy, Meg pozbierała je i złożyła starannie. Nie wątpił, że zamierzają wziąć za nie dobrą cenę.

Wytań do sucha włosy kocem, a potem, czując, że jest mu ciepło i że powracają siły, przesunął się na koniec ławki, byle dalej od kałuży, w której siedział. Żałował, że nie ma przy sobie fajki albo cygara, czy nawet papierosa. Po chwili zauważył, że łódź jest pełna drewnianych korytek z wiekami i pękatych worków.

– Czuję cebulę i...?

– Grochówkę – wyjaśniła Sheila. – Rybacy i sprzedawcy tak marzną na Billingsgate, że płacą po dwa pence za jeden talerz. W zimie trzy.

– Cebula... to nasz główny towar – rzekł zdyszany wiosłowaniem Chris. – Zupa to tylko... dodatek... dostajemy za nią ledwie tyle... ile kosztuje ugotowanie.

Akurat, pomyślał kwaśno Doyle.

Księżyc wisiał nisko nad horyzontem, wielki, złoty i zamglony. Jego bajkowa poświata, która zalewała drzewa, pola i zmarszczone wody potoku wcale nie przygasła, gdy Meg, zdjawszy z haka na dziobie latarnię, zapaliła ją za pomocą krzesiwa i powiesiła z powrotem.

Gdy koryto potoku rozszerzyło się, Chris skierował łódź w prawo.

– Wypływamy na Tamizę – powiedział cicho.

Na rozległych wodach rzeki widać teraz było kilka innych łodzi, powiązanych ze sobą; ciężkie, niskie, każda z wielkim ładunkiem w kształcie prostopadłościanu przykrytego płachtą i płataniną sznurów.

– Łodzie z sianem – wyjaśniła Sheila, kucając przy Doyle'u. – Kiedyś widzieliśmy, jak się taka paliła, ludzie skakali ze stogu do rzeki. To był dopiero widok – lepszy niż przedstawienia za pensa, no i za darmo.

– Mam nadzieję, że... aktorzy mieli ubaw – zauważył Doyle. Przyszło mu do głowy, że ta krótka podróż stanowiłaby ciekawy temat konwersacji nad kieliszkiem brandy, któregoś dnia w klubie, jak już dorobi się fortuny.

Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Pierwsze dni będą niewątpliwie trudne, ale korzyści wynikające z dwudziestowiecznej wiedzy przechyla szalę na jego korzyść. Do licha, mógłby na jakiś czas

zaczepić się w gazecie i snuć na jej łamach przerażająco trafne przepowiednie dotyczące wyniku jakiejś wojny czy literackich trendów; nie mówiąc już o tym, że za jakiś tydzień miał pojawić się w Londynie Ashbless. Doyle bez trudu mógłby nawiązać z nim znajomość; a za dwa lata będzie powracał do Anglii Byron. Można by mu się przedstawić, nim *Wędrówki Childe Harolda* uczynią z niego literacką supergwiazdę. Pomyślał: A dlaczegóż bym nie miał zająć się wynalazkami – żarówką, silnikiem spalinowym, nowym gatunkiem tytoniu, ubikacjami ze spłuczką... Nie, lepiej nie kombinować z udokumentowanym biegiem historii; takie poprawki mogłyby anulować podróż, jaką odbyłem, by się tu dostać, albo nawet okoliczności, w jakich poznali się moi rodzice. Muszę być ostrożny... Ale chyba mógłbym podsunąć Faradayowi, Listerowi i Pasteurowi, czy kilku podobnym, parę mądrych sugestii. No, no.

Przypomniał sobie, jak to pytał portret Williama Ashblessa, czy dziewczyny, whisky i cygara były za jego czasów lepsze. No cóż, na Boga, sam się o tym przekonam, powiedział sobie. Ziewnął i oparł się o worek z cebulą.

– Obudźcie mnie, jak dopłyniemy do miasta – powiedział i zamknął oczy, pozwalając, by łódź kołysała go do snu.

Rozdział 3

*Do miasta zatem pospieszył czym prędzej,
Kłowna tam spotkał – nikogo więcej.*

Stara ballada

Choć właściwy targ rybny Billingsgate odbywał się w wielkiej, krytej budzie położonej przy Lower Thames Street od strony rzeki, to jednak wózki kramarzy wyładowane rzepą, kapustą, marchwią i cebulą tłoczyły się ciasno koło przy kole, wzdłuż całej ulicy, począwszy od Tower Stairs na wschodzie, obok białego średniowiecznego zamku z flagami zwieszającymi się z czterech wież; później ich rzędy przesunęły się ku zachodowi, za grecką fasadę Custom House i osiem zatłoczonych przystani, do Billingsgate, i dalej, prawie do samego mostu londyńskiego. Ulica, jak długa i szeroka, tętniła wrzawą i hałaśliwym handlem, od alejek po północnej stronie Thames Street aż do miejsca, w którym trotuar schodził jakieś trzy metry niżej do samej rzeki, gdzie jedna przy drugiej, przycumowane do drewnianego nabrzeża, stały łodzie. Ułożono na nich deski, które tworzyły wąską, kołyszącą się na wodzie promenadę, zwaną przez kramarzy ulicą Ostryg.

Doyle, opierając się o narożnik budy z rybami, był przekonany, że zdążył przemierzyć podczas porannego obchodu każdą piędź targowiska. Spojrzał z niechęcią na koszyk mizernych cebul; próbował oszukać dokuczliwy głód zjadając jedną z nich. Poklepał się po kieszeni, by się upewnić, że nie zgubił czterech pensów, jakie udało mu się zarobić. „Wszystko, co zarobisz powyżej jednego szylinga, możesz sobie zatrzymać – powiedział mu Chris ostatnim razem, gdy Doyle i Sheila przystanęli przy jego łodzi – Teraz już znasz drogę i możesz zrobić kilka okrążeń sam”. Po czym wręczył Doyle’owi

koszyk wypełniony najbardziej marnymi cebulami, jakie miał na łodzi, i wysłał go w jedną stronę, Sheilę zaś w drugą. Dziewczyna o chorobliwym wyglądzie nie stanowiła najlepszego towarzystwa, ale teraz mu jej brakowało. Poza tym szyling to dwanaście pensów, myślał zdesperowany. Nie zarobię nawet tyle, sprzedając te nędzne warzywa, a co dopiero mówić o jakichś nadwyżkach.

Odsunął się od drewnianej ściany i poczłapał z powrotem w stronę Tower, trzymając przed sobą swój koszyk.

– Cebule! – wołał bez przekonania. – Kto kupi te wspaniałe cebule? To Sheila nauczyła go, jak należy zachwalać towar.

Obok przejeżdżał z turkotem pusty wózek jakiegoś straganiarza, a cieszący się najwidoczniej dobrobytem starszy mężczyzna spojrzął z wysokości kozła na Doyle'a i roześmiał się.

– Nazywasz to cebulą, przyjacielu? Mnie to wygląda na szczyrze łajno.

Wśród najbliższych stojących zapanowała wesołość, a jakiś chłopak o twardych rysach podbiegł do Doyle'a i kopnął zwinnie w dno koszyka, który wyleciał mu z dłoni, cebule zaś rozsypały się wkoło. Jedna trafiła Doyle'a w nos, co wywołało jeszcze głośniejszy śmiech.

Straganiarz na wozie zacisnął wargi, jakby żałując, że spowodował ten incydent.

– Ale z ciebie nieszczęśnik, co? – zwrócił się do Doyle'a, który stał po prostu i patrzył tępym wzrokiem na zaimprovizowany mecz piłkarski, rozgrywny cebulami przez chłopców na ulicy. – Trzymaj, to dwa razy tyle, ile są warte. Obudź się, do diabła! – rzucił dwa pensy na dłoń, którą Doyle machinalnie wyciągnął, a potem ponaglił konia do jazdy.

Doyle schował pieniądze do kieszeni i rozejrzał się. Tłum przestał już się nim interesować. Cebul, ani nawet koszyka nie było nigdzie widać. Nie ma sensu iść dalej, pomyślał i w poczuciu klęski ruszył z powrotem ku rzece.

– Ach, jest tu jeden z Bractwa Bolesciwych! – usłyszał piskliwy głosik przypominający głos Myszkki Miki. – Właśnie przyrządziłeś ze swej cebuli zupę chodnikową, co, sir?

Doyle, przestraszony i zakłopotany, podniósł wzrok i zobaczył, że mówi do niego jaskrawie pomalowana kukielka w wysokiej budzie, na której wymalowano jeszcze barwniejsze smoki i małe ludziki. Rozsiadło się przed nią skromne audytorium złożone z obdartych chłopców i kilku starych włóczęgów. Roześmiali się, gdy kukielka zgięła ramię, wskazując na Doyle'a.

– Podejdz tu i pozwól, by stary Punch cię rozweselił – zapiszczała.

Doyle potrząsnął głową, czując jak oblewa się rumieńcem, i ruszył dalej, ale kukielka dodała:

– Może mógłbym ci zdradzić, jak zarobić prawdziwe pieniądze, he?

Doyle przystanął.

Wydawało się, że oczy zrobione z jakiegoś błyszczącego kryształu wpatrują się w niego. Kukielka znów skinęła.

– Co masz do stracenia, wasza lordowska mość? – zaskrzeczała ptasim głosem. – Już zostałeś wykpiony, a Punch nigdy nie próbuje wywołać efektu, który udało się osiągnąć komuś innemu.

Doyle podszedł bliżej. Na jego twarzy wciąż malował się sceptycyzm. Czy niewidoczny lalkarz naprawdę mógł mu zaoferować jakieś zatrudnienie? Nie stać go było na odrzucenie propozycji bez uprzedniego sprawdzenia. Zatrzymując się kilka metrów przed budą, skrzyżował ramiona.

– Co masz na myśli, Punch? – spytał głośno.

– Ach! – wykrzyknęła kukielka, klaszcząc w drewniane dłonie. – Jesteś obcokrajowcem! Znakomicie! Wolno ci jednak rozmawiać z Punchem dopiero po przedstawieniu. Proszę spocząć, wasza lordowska mość. – Skinęła dłonią w stronę kamiennego trotuaru. – Zarezerwowaliśmy dla ciebie i twego kompana łożę.

Doyle rozejrzał się wkoło.

– Mojego kompana? – spytał, czując się jak tragiczny występujący w komedii.

– O, tak – zaćwierkała kukielka. – Chyba rozpoznaję przy twym boku panią Biedę, he?

Doyle wzruszył ramionami i usiadł, naciągając głęboko na oczy czapkę. Co tam, do licha – myślał – nie spodziewają się mnie na łodzi przed jedenastą, a nie ma jeszcze dziesiątej trzydzieści.

– A zatem doskonale! – zawołała kukielka, prostując się i wiodąc niby-żywym spojrzeniem po skromnym i obdartym audytorium. – Teraz, gdy już jego lordowska mość raczyła przybyć, przedstawimy Królestwo Tajemnego Czarar, czyli Nową Operę Puncha.

Z wnętrza wąskiej budy dobiegły takty melancholijnej muzyki wygrywanej na katarynce, która popiskiwała i grzechotała. Wymęczona melodia była może niegdyś radosnym i skocznym tańcem. Doyle zastanawiał się, czy w budzie jest dwóch ludzi, gdyż na scenie pojawiła się następna kukielka, a ktoś przecież musiał wygrywać melodię na katarynce.

Tą nową kukiełką była naturalnie Judy. Doyle patrzył, ogłupiały z głodu i wyczerpania, jak tych dwoje wymienia na przemian czułości i ciosy pałką. Zastanawiał się, dlaczego przedstawienie nazwano Nową Operą Puncta, gdyż wyglądało to na starą, bezmyślnie okrutną historią w wydaniu klasycznym; oto Punct zostawał w domu, by zaopiekować się płaczącym dzieckiem, śpiewał, by je uspokoić, a w końcu walił jego główką o ścianę i wyrzucał zwłoki przez małe okienko chaty. Z kolei wyznawał wszystko Judy, a następnie zabijał ją, gdy uderzyła go za to, co zrobił. Doyle ziewnął przeciągle, mając nadzieję, że przedstawienie nie będzie trwało długo. Promienie słońca przedarły się w końcu przez szarość, która zasnuwała niebo. Pod wpływem ciepła wyświechtany płaszcz Doyle'a zaczął wydzielać zastarzały odór ryb.

Ukazała się jeszcze jedna kukiełka – kłown Joey, choć w tej wersji nosił imię, którego Doyle nie mógł rozpoznać, usłyszał coś jakby „horrorowy”. Poruszał się na szrudłach. Doyle przypuszczał, że to jakaś aktualna satyra, gdyż podczas porannego obchodu spotykał w różnych miejscach targowiska kłowna na szrudłach, a ta kukiełka była jego wierną kopią, miała nawet identycznie pomalowaną twarz, która sprawiała nieco przerażające wrażenie. Kłown, szyderczo, z przesadną surowością, pytał Puncta, co zamierza teraz zrobić, kiedy już zabił żonę i dziecko.

– A co mam zrobić, chyba pójde do posterunkowego i dam się zamknąć – odparł smutno Punct. – Taki zbrodniczy szubrawiec jak ja powinien zawisnąć.

A cóż to takiego – zdumiał się Doyle – Punct jako moralitet? To innowacja.

– A kto tak powiada? – dopytywał się kłown, wskazując ramieniem na Puncta. – Kto powiada, że powinieneś zawisnąć? Policja? Kochasz glińiarzy, czy co?

Punct w odpowiedzi pokręcił głową.

– Lokalne władze? – ciągnął kłown. – A czymże one są, jeśli nie bandą starych, tłustych głupców, którzy chcą pozbawić cię przyjemności?

Punct musiał po namyśle przyznać, że to prawda.

– A więc może Bóg? – dopytywał się kłown. – Jakiś brodaty olbrzym, który mieszka w chmurach? Czy widziałeś Go kiedykolwiek, albo słyszałeś, by mówił, że nie wolno ci robić tego, co tylko dusza zapagnie?

– No... nie.

– Więc chodź ze mną.

Obydwie kukielki zaczęły dreptać w miejscu, a po jakimś czasie ukazała się kukielka w mundurze i obwieściła, że ma nakaz „zabrać ze sobą pana Puncta”. Punct wyglądał na zaskoczonego, ale kłown wyciągnął z rękawa maleńki, lśniący nóż i wbił go w oko mundurowego. Chłopcy siedzący dookoła Doyle’a zaczęli wiwatować, gdy kukielka upadła.

Punct odtńczył skoczny taniec, najwyraźniej uradowany.

– Panie Horrabinie – zwrócił się do kłowna – czy może załatwić nam pan jakąś kolację?

Przedstawienie znów przybrało klasyczną formę; kłown wraz z Punctem kradli sznur kielbasy i patelnię właścicielce gospody, choć Doyle nie pamiętał, czy i ona została zabita.

Punct, ogarnięty swawolą, wirował w tańcu ze sznurem kielbasek, gdy pojawiła się pozbawiona głowy kukielka, która tańcząc podskakiwała w takt szybkiej muzyki wygrywanej na katarynce. Punct był przerażony tą zjawą, dopóki Horrabin nie wyjaśnił mu, że to tylko jego przyjaciel Scaramuccio, dodając: „Czyż to nie zabawne przyjaźnić się z czymś, czego wszyscy się boją”? Punct rozważał to przez chwilę, opierając wystający podbródek o pięść, potem wybuchnął śmiechem, przytaknął i znów zaczął wirować w tańcu. Nawet Horrabin tańczył na swych szcudłach, a Doyle myślał z podziwem o łamańcach, jakie musiał wyczyniać lalkarz, by wprowadzić w taniec trzy kukielki jednocześnie, grając przy tym na katarynce.

Teraz na scenie pojawiła się czwarta kukielka, była to kobieta o przesadnie bujnym ciele, jakie zwykli na murach rysować kredą chłopcy, ale jej biała twarz, ciemne oczy i długi, jasny welon nie pozostawiały wątpliwości, że to duch.

– Judy, moja słodka! – zawołał Punct, wciąż tańcząc – jesteś teraz jeszcze piękniejsza!

Podskoczył ku przodowi sceny, a wtedy muzyka ucichła nagle, kurtyna zaś za jego plecami opadła, oddzielając go od pozostałych kukielek. Zrobił jeszcze kilka pełnych wahaniami kroków, a potem przystanął, gdyż pojawiła się nowa kukielka – ponura postać w czarnym kapturze, która pchała przed sobą szubienicę z kołyszącą się małą pętlą.

– Jack Ketch! – wykrzyknął Punct.

– Zgadza się, Jack Ketch – potwierdził nowo przybyły. – Albo pan Łapacz, albo też Kościolicy Żniwiarz. Nie ma znaczenia, jak mnie nazwiesz, Punct. Przybyłem, by z nakazu prawa dokonać na tobie egzekucji.

Horrabin wysunął na chwilę głowę zza kulis.

– Zobaczymy, czy uda ci się go zabić – powiedział i cofnął się.

Punch klasnął w dłonie. Potem zagadał Jacka Ketcha i nakłonił go podstępem, by ten nałożył pętlę na własną szyję, żeby pokazać, jak wiesz się człowieka. Po czym szybko zacisnął sznur, podciągając jednocześnie do góry kukielkę kata, która niemal realistycznie zaczęła wierzgać nogami w powietrzu. Punch wybuchnął śmiechem i odwrócił się do widowni, rozpościerając w serdecznym geście ramiona.

– Hurra! – krzyknął charakterystycznym dla siebie głosem. – Śmierć nie żyje, możemy wszyscy robić, co nam się tylko podoba!

Kurtyna znów podjechała w górę, jednocześnie odezwała się z gwałtownym trzaskiem katarynka, wygrywając szybką i dziką melodię. Kukielki tańczyły wokół szubienicy, Punch ręka w rękę z duchem Judy. Kilku chłopców i jeden ze starszych ludzi podnieśli się z trotuaru i oddalili, mężczyzna potrząsał z niesmakiem głową.

Punch i duch Judy zbliżyli się w podskokach do proscenium. Gdy kurtyna ponownie opadła, a muzyka ucichła, pozostali sami.

– Była to, panie i panowie, nowa i poprawiona wersja opery Puncha – pisnął Punch i rozejrzał się z wolna po widowni, którą stanowiło teraz tylko dwóch włóczęgów, trzech chłopców i Doyle. Wykonał szybki podskok i uszczypnął lubieżnie kukielkę-ducha. – Horrabin wyświadczył waszemu pokornemu słudze łaskę, i to nie jedną, moi przyjaciele – powiedział. – A jeśli ktoś chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o widowisku, może przyjść za kulisy i porozmawiać ze mną.

Szklane oko posłało Doyle'owi spojrzenie, które było zadziwiająco intensywne, a wtedy z obu stron opadła zewnętrzna kurtyna. Przedstawienie dobiegło końca.

Doyle, w towarzystwie starego włóczęgi i jednego chłopca, obszedł wąską budę. Punch, który z dala od sceny sprawiał wrażenie bardzo małego, wychylił się ponad zasloną służącą za tylne wejście i skinął na nich.

– Moi wielbiciele! – zapiszczała kukielka. – Pojedynczo – Lord Obcokrajowiec na końcu.

Czując się jak głupiec, Doyle stanął za niewątpliwie upośledzonym umysłowo chłopcem, podczas gdy starzec wciskał się do budki. Wygląda tak, jakbyśmy czekali w kolejce do konfesjonau, pomyślał ponuro. Wrażenie było tym większe, że z wnętrza budy dobiegały ciche pytania i odpowiedzi.

Doyle niebawem spostrzegł, że niektórzy uczestnicy gwarne go targowiska przyglądają mu się w szczególny sposób; dobrze ubrany

mężczyzna prowadzący dziecko za rękę zerknął na niego z mieszaniną współczucia i pogardy, pewien krępy, starszy jegomość gapił się na niego z jawną zazdrością, a policjant – ku przerażeniu Doyle’a – wpatrywał się w niego zmrużonymi oczami, zaciskając usta, jakby był niemal zdecydowany aresztować go na miejscu. Doyle wlepił wzrok w swoje wielkie buciska, które Chris i Meg dali mu w zamian za jego eleganckie trzewiki. Cokolwiek mi zaproponuje, myślał, byle się opłacało i nie było zbyt nielegalne, przyjmę to; w każdym razie chwilowo, dopóki nie stanę w tym przeklętym wieku na nogi.

Stary człowiek odsunął zasłonę i oddalił się, nie patrząc nawet na chłopca czy Doyle’a, który nie potrafił odgadnąć, czy znikający w tłumie włóczęga jest zadowolony czy rozczarowany. Teraz do środka wszedł chłopiec i wkrótce zza zasłony dobiegł jego śmiech. Po chwili wyszedł i oddalił się w podskokach z nowiutkim szylingiem w dłoni – a także, jak zauważył Doyle – z krzyżykiem w kółku namalowanym kredą na plecach zbyt obszernego płaszcza.

Znów spojrzął na budkę i napotkał chytre spojrzenie obfitej Judy, wyglądającej na niego zza zasłony.

– Chodź pobawić się w moim sklepiku – wyszeptła i mrugnęła.

Dzieciak dostał szylinga, pomyślał, wchodząc do środka – potem sprawdzi, czy i ja nie mam na płaszczu znaków po kredzie.

Kukiełka zniknęła, nim Doyle zdążył odciągnąć zasłonę i wcisnąć się do środka. Wnętrze budki było ciemne, ale ujrzał niewielki stółek, więc usiadł na nim.

Z trudnością dostrzegł, jakieś pół metra dalej, zarys głowy w wysokim, spiczastym kapeluszu i górną część ciała z groteskowo wywatowanymi ramionami; postać drgnęła, nachylając się do przodu. Doyle zrozumiał, że to jego gospodarz.

– A teraz zrujnowany obcokrajowiec – rozległ się cienki głos – który próbuje zachowywać się niefrasobliwie na tej obcej ziemi. Skąd pochodzisz?

– Ee... z Ameryki. No i jestem bez grosza – nie mam ani pensa. Więc jeśli możesz mi zaoferować jakąś pracę, będę...

Rozległ się brzęk szklanych drzwiczek lampy rzucającej przyćmione światło i nagle niewyraźna sylwetka okazała się kłownem o ohydnej twarzy pomalowanej na czerwono, zielono i biało. Rozpalone oczy o przekreślonych krzyżem powiekach były szeroko otwarte, a pomiędzy nabrzmiątych policzków wystawał przerażająco długi język. Był to ten sam kłown na szrudłach, którego Doyle widział wcześniej na targowisku, pierwowzór kukiełki Horrabina.

Choć kłown schował język i przybrał łagodniejszy wyraz twarzy, trudno było pod warstwą farby dostrzec jej wyraz czy nawet kształt. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na stołku, nieco wyżej od Doyle'a.

– Jak widzę, zużyłeś niemal do końca zapas opału – stwierdził – i właśnie zamierzasz cisnąć w ogień krzesła i zasłony, nawet książki. Na szczęście spotkałem cię dzisiaj – jutro czy pojutrze, obawiam się, niewiele by z ciebie pozostało.

Doyle zamknął oczy i czekał, aż uspokoi mu się serce. Z przerażeniem spostrzegł, że ten skromny przejaw współczucia niemal wyciska mu z oczu łzy. Westchnął głęboko i otworzył oczy.

– Jeśli masz dla mnie jakąś ofertę – powiedział cicho – to przedstaw ją.

Kłown uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd pożółkłych zębów, z których każdy sterczał w inną stronę, niczym nagrobki na starym, zaniedbanym cmentarzu.

– Jeszcze nie zacząłeś zrywać desek z podłogi – stwierdził z aprobatą. – Dobrze. Masz, milordzie, wrażliwą i inteligentną twarz; nie ulega wątpliwości, że zostałeś dobrze wychowany i że nie przywykłeś do tych łachmanów, które masz na sobie. Czy kiedykolwiek przejawiałeś zainteresowanie sztuką dramatyczną?

– No... nie, nie specjalnie. Wystąpiłem w jakimś przedstawieniu, może dwóch, kiedy byłem w szkole.

– Jak myślisz, potrafiłbyś nauczyć się roli, poddać ją pod rozagę widowni, a następnie dopasować ją do jej gustów, przybrać postać, którą będzie darzyć największym współczuciem?

Doyle nie pojmował, o co chodzi, ale zaczął żywić nieśmiałą nadzieję.

– Przepuszczam, że tak. Gdybym tylko mógł wpiery dostać trochę jedzenia i miejsce do spania. Wiem z całą pewnością, że ulegam scenicznej tremie, gdyż...

– Chodzi o to – przerwał mu kłown – czy jesteś podatny na tremę uliczną. Nie mówimy o płasach w jakimś teatrze.

– Ach tak? A zatem chodzi o występy uliczne? No cóż...

– Tak – odparł cierpliwie kłown – o ich najsubtelniejszą odmianę – żebranie. Przygotujemy ci rolę, a potem, w zależności od ofiar, jakie będziesz skłonny ponieść, zdołasz zarobić nawet funta dziennie.

Nagle uzmysłowił sobie, że to, co brał za pochlebstwo, było jedynie beznamytnym testem jego umiejętności wzbudzania współczucia. Odczuł to jak policzek.

– Zebranie? – zakreśliło mu się w głowie z gniewu. – Nie, dzięki – powiedział sztywno i podniósł się ze stołka. – Mam uczciwe zajęcia, sprzedaję cebulę.

– Tak, zauważyłem, jak bardzo nadajesz się do tej pracy. A zatem ruszaj w swoją drogę, ale gdybyś zmienił zdanie, spytaj kogokolwiek na East Endzie, gdzie Horrabin wystawia Puncha.

– Nie zmienię zdania – odparł Doyle i wyszedł z budy. Oddalił się, nie patrząc za siebie, dopóki nie dotarł do końca długiego nabrzeża biegnącego wzdłuż ulicy. Horrabin, znowu na szczudłach, maszerował wielkimi krokami, ciągnąc za sobą wózek, który był niewątpliwie budą, teraz już złożoną. Doyle zadrżał i skręcił w lewo, w stronę przystani, rozglądając się za łodzią Chrisa i Meg.

Zniknęła. Przy nabrzeżu stało teraz mniej łodzi, rzeka w dali była upstrzona czółnami płynącymi na wschód i zachód. Co się stało? – zastanawiał się z niepokojem Doyle. – Targ nie może się jeszcze skończyć, jest dopiero przedpołudnie.

Widział w odległości kilkuset metrów jakąś łódź wiosłową, w której płynęli być może Chris, Meg i Sheila.

– Hej! – próbował krzyknąć, ale od razu przekonał się, jak słaby ma głos. Nie mogli go usłyszeć nawet przy sąsiedniej przystani.

– No dobra, o co chodzi?

Doyle odwrócił się i zobaczył policjanta, tego samego, który przypatrywał mu się podejrzliwie kilka minut wcześniej.

– Która godzina, sir? – spytał Doyle, starając się połykać samogłoski, jak robili to tutaj wszyscy.

Policjant wyciągnął z kieszonki zegarek na łańcuszku, spojrzął nań unosząc brwi, po czym schował go z powrotem.

– Dochodzi jedenasta. A bo co?

– Dlaczego wszyscy odpływają? – spytał Doyle, machając dłonią w stronę łodzi rozproszonych po rzece.

– Jest prawie jedenasta, no nie? – odparł funkcjonariusz, wymawiając słowa bardzo wyraźnie, jakby Doyle był pijany. – I jest niedziela, na wypadek gdyby pan nie wiedział.

– Targ jest zamknięty już o jedenastej w niedzielę, to chce pan powiedzieć?

– Utrafił pan w samo sedno. Skąd pan jest? To nie jest akcent z Surrey ani z Sussex.

Doyle westchnął.

– Pochodzę z Ameryki, ściślej mówiąc z Wirginii – przesunął dłonią po czole. – Polepszy mi się, gdy tylko do miasta przybędzie pe-

wien mój przyjaciel, teraz jednak jestem bez środków do życia. Gdzie mógłbym znaleźć jakąś instytucję charytatywną, która zaoferowałaby mi wikt i nocleg, dopóki nie... uporządkuję swoich spraw?

Policjant zmarszczył brwi.

– Jest pewien przytułek niedaleko rzeźni przy Whitechapel Street; dadzą panu jedzenie i łóżko za pomoc przy farbowaniu skór i opróżnianiu koszy z wnętrznościami.

– Przytułek, powiada pan. – Doyle przypomniał sobie, jak takie miejsca opisywał Dickens. – Dzięki.

Ruszył przygarbiony przed siebie.

– Jedną chwilę – zawołał za nim policjant. – Jeśli ma pan przy sobie jakieś pieniądze, to niech pan pokaże.

Doyle pogrzebał w kieszeni i wyciągnął sześć pensów.

– Doskonale, teraz już nie mogę zatrzymać pana za włóczęgostwo. Ale niewykluczone, że spotkamy się jeszcze dzisiaj wieczoru. – Dotknął hełmu. – Dobrego dnia.

Powróciwszy na Thames Street, Doyle wydał połowę swej fortuny na talerz zupy jarzynowej i trochę tartych ziemniaków. Smakowały wspaniale, ale nie zdołał zaspokoić głodu, wydał więc trzy ostatnie pensy na jeszcze jedną porcję. Straganiarz pozwolił mu nawet popić posiłek kubkiem zimnej wody.

Ulicą przechadzali się policjanci, wołając: „Zamykać, dzień świąteczny, jedenasta, zamykać” i Doyle, już teraz niewątpliwy włóczęga, pilnował się, by nie wchodzić im w drogę.

Zauważył jakiegoś człowieka w swoim wieku, który podążał dokądś z torbą ryb w ręku, prowadząc pod ramię ładną dziewczynę. Doyle, mówiąc sobie „tylko ten jeden raz”, zmusił się, by zejść im drogę.

– Przepraszam, sir – rzekł pospiesznie. – Znajduję się w godnej pożałowania...

– Gadaj, o co chodzi, człowieku – przerwał mu niecierpliwie tamten. – Jesteś żebrakiem?

– Nie. Ale okradziono mnie zeszłej nocy i teraz nie mam nawet pensa przy duszy, a jestem Amerykaninem, moje dokumenty i bagaże przepadły, chciałbym więc... prosić o jakąś pracę albo o pożyczkę pieniędzy.

Zdawało się, że dziewczyna mu współczuje.

– Daj coś temu biedakowi, Charles – powiedziała. – Skoro nie idziemy dziś do kościoła.

– Na jakim statku tu przyплынаłeś? – spytał sceptycznie Charles. – Nie słyszałem jeszcze, by ktoś z Ameryki mówił takim akcentem.

– To znaczy, ee, na „Enterprise” – odparł Doyle. Niewiele brakowało, by szukając rozpaczliwie jakiejś nazwy powiedział „Starship Enterprise” – rodem z serialu „Star Trek”.

– Sama widzisz, moja droga, że to oszust – stwierdził z zadowoleniem Charles. – Może jest i jakiś „Enterprise”, ale żaden statek o takiej nazwie nie zawiął tu ostatnio. Mógłby to od biedy być jakiś zagubiony jankes z „Blaylocka”, który przyplłynął w zeszłym tygodniu, ale przecież – zwrócił się żywo do Doyle’a – nie powiedziałeś „Blaylock”, prawda? Nie powinienes próbować takich sztuczek z człowiekiem, który pracuje w morskim fachu. – Charles rozejrział się po rzednącym tłumie. – Kręci się tu mnóstwo posterunkowych. Mam ochotę oddać cię w ich ręce.

– Och, daj mu spokój – westchnęła dziewczyna. – I tak jesteśmy już spóźnieni, a on chyba naprawdę jest w ciężkim położeniu.

Doyle skinął jej z wdzięcznością głową, po czym oddalił się pośpiesznie. Następną osobą, którą zaczepił, był jakiś starszy człowiek. Doyle był teraz ostrożny i powiedział, że przyplłynął na „Blaylocku”. Przechodzień dał mu szylinga i pouczył, by Doyle był równie hojny wobec innych żebraków, jeśli jego sytuacja się poprawi. Doyle zapewnił go, że będzie hojny.

Kilka chwil później, kiedy opierał się o ścianę tawerny, zastanawiając się, czy nie zdobyć się na odwagę i nie utopić wstydu i lęku w szklance piwa, wydając na nią część dopiero co zdobytego bogactwa, poczuł zaskoczony, że coś ciągnie go za nogawkę spodni; niemal krzyknął, gdy spojrzął w dół i zobaczył dziko zarośniętego mężczyznę, pozbawionego nóg i siedzącego na małym wózku. Kaleka przyglądał mu się z dołu.

– Co knujesz i dla kogo pracujesz? – spytał mężczyzna operetkowo głębokim głosem.

Doyle próbował się odsunąć, ale mężczyzna zacisnął palce na jego nogawce. Wózek potoczył się kawałek za Doyle’em jak mała przyczepa. Kiedy Doyle przystanął i ludzie zaczęli się już im przyglądać, mężczyzna powtórzył swoje pytanie.

– Niczego nie knuję i nie pracuję dla nikogo – wyszeptał wściekle Doyle. – I jeśli mnie nie puścisz, to zbiegnę z nabrzeża wprost do rzeki!

Brodacz wybuchnął śmiechem.

– No to już. Założę się, że zdołam popłynąć dalej niż ty.

Dostrzegając pod czarnym płaszczem szerokie bary, Doyle uświadomił sobie zdesperowany, że to prawda.

– Widziałem, jak dorwałeś tamtych dwu, i jak dostałeś coś od drugiego. Jesteś albo nowym nabytkiem kapitana Jacka, albo jednym z ludzi Horrabina, albo działasz na własną rękę. No więc?

– Nie wiem, o czym mówisz – odczep się ode mnie, albo zawołam posterunkowego. – I znów Doyle poczuł, że jest bliski łez, gdyż wyobraził sobie, że ta kreatura nigdy go nie puści i że będzie toczyć się za nim do końca życia. – Nie pracuję dla nikogo!

– Tak myślałem – skinął głową beznogi mężczyzna. – Widać, że jesteś nowy w mieście, dam ci więc dobrą radę: żebracy pracujący na własną rękę mogą próbować szczęścia na wschód i na północ stąd, ale Billingsgate, Thames Street i Cheapside zarezerwowane są dla chłopaków Jacka Kopenhagi albo dla bandytów, którym przewodzi Horrabin. Taki sam układ obowiązuje na zachód od katedry Świętego Pawła. Ostrzegł cię sam Skate Beniamin, więc pamiętaj, jeśli jeszcze raz ktoś zobaczy, że żebrzesz na głównych ulicach East Endu, to staniesz się... no cóż, mówiąc szczerze, przyjacielu – powiedział Skate nie bez sympatii – staniesz się niezdolnym do jakiegokolwiek zajęcia z wyjątkiem żebrania. Więc odejź stąd. Widziałem co prawda w twojej dłoni błyszczącą monetę, którą powinienem ci zabrać, i jeśli powiesz, że nie potrafiłbym, to zmusisz mnie, bym ci udowodnił, że jednak potrafiłbym, ale wyglądasz na człowieka w potrzebie. Odejź!

Doyle ruszył pospiesznie na zachód, w stronę Strandu, modląc się, by redakcje gazet nie zamykały swych podwoi tak wcześnie jak targ w Billingsgate, i by w którejś z nich znalazło się wakujące stanowisko, i by mógł opanować przyprawiające o zawroty głowy podenerwowanie, co pozwoliłoby mu przekonać wydawcę, że jest piśmienny i wykształcony. Potarł dłonią brodę – golił się przed niespełna dwudziestoma czterema godzinami, więc zarost nie stanowił problemu, przydałby się jednak grzebień.

Och, mniejsza o wygląd, pomyślał z lekkim podnieceniem. Zdobę tę posadę samą elokwencją i siłą osobowości. Natężył barki i ruszył przed siebie sprężystym krokiem.

Rozdział 4

*Owoc, który miał rosnąć na Drzewie Wiadomości
Złego, musiał być wielki, gdyż powinien być godny
stołu samego Pana Lucyfera jako nowy przysmak,
odtąd bowiem inne posiłki, choć przydające mu ciała,
stały się dlań nieświeże.*

Thomas Dekker

Była to podziemna grota, powstała na skutek osunięcia się, Bóg jeden wie kiedy, co najmniej dwunastu kanałów ściekowych, których resztki zostały już dawno usunięte przez łupieżców czy powodzie minionych lat. Miała ona kształt ogromnej sieni o sklepieniu z potężnych belek podtrzymujących bruk Bainbridge Street, gdyż osunięcie gruntu nie sięgnęło samej powierzchni; podłoga była z kamieni, które kładli jeszcze Rzymianie w dniach, gdy Londinium było wojskową warownią we wrogiej celtyckiej głuszy. W katedralnym mroku, na różnych wysokościach, wisały hamaki na długich linach, ku którym wspinali się teraz, niczym pająki, obdarci ludzie, by usadowić się wygodnie w kołyszących się legowiskach. Poczęto zapalać światła; dymiące, czerwone lampy napełniane tłuszczem zwisały z drewnianych belek, tuż obok licznych wylotów kanałów ściekowych. Z wyżej położonego otworu wypływała woda, początkowo zwartym strumieniem, spadając łukiem przez ciemność i rozpryskując się w czarnej kałuży.

Na kamiennej posadzce ustawiono długi stół, przy którym, wspinając się na palce, kręcił się zdeformowany karzeł o siwych włosach, stawiając na płóciennym obrusie wspaniałą porcelaną i rozkładając srebrne sztucce. Pomrukiwał cicho, ilekroć z góry, gdzie wy-

poczywali żebraczy lordowie, spadał na stół zwinięty kawałek skórzanej podeszwy czy też kilka kropel z flaszki schowanej w kieszeni. Wzdłuż stołu ustawiono krzesła, a przy jednym końcu wielkie siedzisko na wysokich nogach, jakby dla gigantycznego oseska. Przy drugim końcu nie było jednakże krzesła; zamiast niego widniało tam coś w rodzaju uprząży zwisającej na długiej linie, przymocowanej do samego sklepienia rozległej komnaty i kołyszącej się w podziemnym podmuchu jakieś dwa metry nad kamienną posadzką. Karzeł co chwila zerkał w tamtą stronę bojaźliwie.

Nadchodzili teraz złodziejscy lordowie i zajmowali miejsca przy stole. Ich przesadnie eleganckie ubrania sprawiały w tym otoczeniu makabryczne wrażenie. Jeden odepchnął karła szturchańcem w bok.

– Uwierz temu, który widzi blat stołu, że skończyłeś nakrywać – stwierdził mimochodem. – Idź i przynieś jedzenie.

– I wino, Dungy! – krzyknął za karłem jeden z lordów. – Szybko, szybko.

Karzeł ruszył pospiesznie w głąb jednego z tuneli, najwyraźniej zadowolony, że może opuścić to miejsce choćby na parę minut. Lordowie wyciągnęli gliniane fajki i hubki z krzesiwem, i niebawem pod sklepienie zaczęła się unosić mgielka dymu z palonego opium i tytoniu, ku zadowoleniu żebraczych lordów, którzy huśtając się tam i z powrotem na swoich hamakach, starali się wdychać jak najwięcej oparów.

Przestrzeń wokół stołu też zaczęła się z wolna wypełniać mężczyznami i chłopcami w obdartych ubraniach, którzy witali się głośno. Za nimi, i wyraźnie przez nich ignorowani, usadowili się w grupkach najędźniejsi, którzy już dawno przekroczyli granice psychicznej i fizycznej degradacji. Przycupnęli na kamiennej podłodze w ciemnych kątach, każdy samotnie, pomimo wzajemnej bliskości, mruczając i gestykulując, raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby porozumiewania się.

Ponownie pojawił się karzeł, kulejąc pod ciężarem rybackiej sieci pełnej butelek. Położył swój pakunek na podłodze, po czym zaczął odkorkowywać flaszki. Od strony któregoś z większych tuneli dobiegło głucho stukanie, jakby drewno uderzało o kamień. W miarę jak dźwięk odbijał się coraz głośniejszym i wyraźniejszym echem, karzeł pracował coraz szybciej,

– Skąd ten pośpiech, Dungy? – spytał jeden ze złodziejskich lordów, przypatrując się jego wysiłkom. – Strach przed gospodarzem?

– Oczywiście, że nie, sir – sapnął stary Dungy, odkorkowując ostatnią butelkę. – Chcę tylko jak należy wykonać swoją robotę.

Stukot, już bardzo głośny, urwał się nagle i ukazały się dwie na biało pomalowane dłonie, które zacisnęły się na kamiennym łuku wieńczącym wyłot tunelu, a za nimi wyłoniła się tuż pod sklepieniem, dobre trzy metry nad starożytną posadzką, pomalowana głowa. Horrabin wyszczerzył w uśmiechu zęby, a wówczas nawet najbardziej arogancy lordowie złodziejscy odwrócili zaniepokojeni wzrok.

– Znów się spóźniłeś, Dungy? – zapiszczał wesoło kłown. – Wszystko powinno już być gotowe.

– T-tak, sir – odparł stary Dungy, nieomal upuszczając butelkę. – Tyle że... coraz mi trudniej nakrywać do stołu, sir. Moje stare kości...

– ...zostaną niebawem rzucone ulicznym psom – dokończył Horrabin, wkraczając z wprawą na swych szczudłach do wielkiej sieni. Jego spiczasty kapelusz i kolorowy płaszcz z wysokimi, sterczącymi ramionami przydawały całej scenie coś z karnawału. – Moje nieco młodsze kości też nie są w najlepszym stanie, jeśli chciałbyś wiedzieć. – Przystanął, kołysząc się, przed zwisającą ze sklepienia uprzężą. – Zabierz moje szczudła – rozkazał.

Dungy podbiegł i przytrzymał je, podczas gdy Horrabin wsunął ramiona w rzemiona uprzęży, a następnie przełożył zgięte nogi przez dwie dolne pętle. Karzeł cofnął się i oparł szczudła o najbliższą ścianę. Kłown huśtał się teraz swobodnie trzy metry nad kamienną posadzką.

– No, tak już lepiej – westchnął Horrabin. – Zdaje mi się, że po kilku godzinach chodzenia przez te drewniane kończyny zaczynają przebiegać złośliwe wibracje. Podczas złej pogody jest jeszcze gorzej. Cena sukcesu. – Ziewnął, rozwierając wielką czerwoną dziurę w kolorowej masce twarzy. – Aaaa! No dobrze! By wynagrodzić obecnym tu lordom twoją zwłokę przy wieczerzy, mógłbyś zaśpiewać nam jakąś piosenkę.

Karzeł skrzywił się.

– Błagam, sir – kostium i peruka zostały w mojej celi. To by zabrało zbyt dużo...

– Mniejsza dziś wieczór o rekwizyty – powiedział wielkodusznie kłown. – Nie będziemy robić ceremonii. Możesz śpiewać bez kostiumu. – Podniósł wzrok ku odległemu sklepieniu. – Muzyka!

Kołyszący się w górze żebraczy lordowie wyciągnęli z płóciennych worków przywiązanych do hamaków przeróżne instrumenty, począwszy od cytr a skończywszy na drumlach, a nawet kilku z nich wyjęło skrzypce, po czym wszczęli harmider, który jeśli nie był melodyjny, to przynajmniej rytmiczny. Wtórowało mu echo, a obdarci

mężczyźni i chłopcy kucający na posadzce wokół stołu poczęli klaskać w takt muzyki.

– Skończcie z tym idiotyzmem – odezwał się obcy głos o tak wysokim tonie, że przeciął jak nożem tę kakofonię dźwięków. Muzyka i klaskanie umilkły gwałtownie, gdy obecni uświadomili sobie obecność nowo przybyłego, bardzo wysokiego, łysego człowieka odzianego w pelerynę. Wszedł do sieni dziwnie kołyszącym się krokiem, jakby miał pod stopami trampolinę a nie twardą, kamienną podłogę.

– Ach! – wykrzyknął Horrabin głosem, w którym wreszcie zabrzmiała nuta zadowolenia. Wyraz twarzy ukrytej pod warstwą farby pozostał, jak zwykle, nieodgadniony. – Nasz wędrowny szef! No cóż, tym razem twe honorowe miejsce nie pozostanie puste!

Nowo przybyły skinął głową, zsunął z ramion pelerynę i cisnął ją Dungy’emu – który z ulgą wybiegł z sieni – po czym zbliżył się do wysokiego krzesła u końca stołu. Teraz, gdy nie miał na sobie wierzchniego okrycia, wszyscy mogli dostrzec jego buty o sprężynowanych podeszwach, na których huśtał się w górę i w dół.

– Lordowie różnego autoramentu i zwykli śmiertelnicy – rzekł Horrabin tonem mistrza ceremonii – niech mi wolno będzie przedstawić naszego zwierzchnika, króla Cyganów, doktora Romany! – w tym momencie rozległo się kilka wymuszonych okrzyków i gwizdów. – Za jakąż to sprawą wasza łaskawość zaszczyliła swą obecnością nasz stół?

Romany, nim odpowiedział, wspiął się na wysokie krzesło i zdjął z westchnieniem ulgi swe sprężynowane buty.

– Przywiodło mnie do twego podziemnego królestwa kilka spraw, Horrabinie – powiedział. – Po pierwsze, przynoszę osobiście miesięczną dostawę monet – złotych suwerenów prosto z formy, jeszcze ciepłych, w dwudziestopięciokilogramowych workach, które stoją w przedsionku. – Wiadomość ta wzbudziła szczery entuzjazm wśród obecnych. – Jest też coś nowego w kwestii poszukiwań. – Przyjął od jednego ze złodziejskich lordów kielich wina. – Jakimś cudem nie udało wam się znaleźć jeszcze człowieka zwanego Joe Psia Twarz.

– Przekłęty wilkołak to niebezpieczny osobnik, kolego – odezwał się jakiś głos, któremu towarzyszyły zgodne pomruki.

– To nie jest wilkołak – odparł doktor Romany, nie odwracając się – ale zgadzam się, że jest niebezpieczny. Dlatego wyznaczyłem tak wysoką nagrodę i doradziłem wam, byście dostarczyli mi go raczej martwego niż żywego. W każdym razie wysokość nagrody wzra-

sta teraz do dziesięciu tysięcy funtów w gotówce, nie wyłączając podróży jednym z moich handlowych statków do wybranego miejsca na kuli ziemskiej. Pojawił się jednakże nowy człowiek i chcę, byście znaleźli go dla mnie. Ten jednak musi być schwytyany żywym, bez najmniejszego uszczerbku na ciele. Nagrodą za dostarczenie tego człowieka będzie dwadzieścia tysięcy funtów, żona odpowiadająca dowolnemu rysopisowi, której uczucia zostaną zagwarantowane, no i oczywiście podróż do wybranego miejsca.

Słuchacze poruszyli się i zaczęli wymieniać cicho uwagi, nawet ten czy ów nędznik, który zwykł zsuwać się ze schodów i podestów na kamienną posadzkę sieni, by wziąć udział w tradycyjnej walce o resztki jedzenia, zdawał się okazywać zainteresowanie.

– Nie wiem, jak się nazywa – ciągnął Romany – ale ma około trzydziestu pięciu lat, ciemne włosy z zaczątkami łysiny, skłonność do tycia w pasie, twarz bladą i zamorski akcent. Zgubiłem go zeszłej nocy na polu niedaleko Kensington, tuż obok potoku Chelsea. Był skrepowany, ale najwidoczniej... – Romany przerwał, gdyż zauważył, że Horrabin zaczął kołysać się podniecony tam i z powrotem. – Tak, Horrabinie?

– Czy był ubrany jak straganiarz? – spytał kłown.

– Nie wtedy, gdy go ostatni raz widziano, ale jeśli uciekł skacząc do potoku, jak podejrzewam, to z pewnością musiałby potem zmienić ubranie. Widziałeś go? Gdzie, kiedy?

– Widziałem człowieka odpowiadającego temu opisowi, lecz miał on na sobie stare łachmany straganiarza i próbował sprzedawać dziesięć cebule w Billingsgate, tuż przed zamknięciem targowiska. Oglądał moje przedstawienie, a ja mu zaferowałem zajęcie żebraka, ale się obraził i odszedł. Powiedział, że jest Amerykaninem. Dodałem jednak, że gdyby zmienił zdanie – a nigdy nie widziałeś człowieka równie niezaradnego – to niechaj spyta, gdzie grają Puncha i znów ze mną porozmawia.

– Myślę, że to on – powiedział doktor Romany, kryjąc starannie podniecenie. – Dzięki niech będą Anubisowi! Bałem się, że być może zatonął w potoku. Billingsgate, powiadasz – bardzo dobrze, chcę, by twoi ludzie przetrząsnęli cały obszar na wschód od katedry św. Pawła i Blackfriar's Bridge, aż do dzielnicy ruder nad dokami, a także na północ od rzeki aż do Christ's Hospital, London Wall i Long Alley. Człowiek, który przyprowadzi go do mnie żywego, spędzi resztę życia w bajecznym bogactwie. – Romany odwrócił się teraz i powiódł po całym zgromadzeniu zimnym spojrzeniem. – Lecz jeśli ktokolwiek

go zabije, jego los będzie... – zdawał się szukać odpowiedniego porównania – ...będzie tak okrutny, że ów człowiek pozazdrości staremu Dungy'emu.

Od strony obdartego tłumu dały się słyszeć pomrukiwania, że są gorsze rzeczy niż nakrywanie do wieczerzy i idiotyczne tańce, ale ci zgromadzeni przy stole, z których paru zasiadywało przy nim jeszcze wtedy, gdy Dungy był ich szefem, zmarszczyło z powątpiewaniem brwi, jakby zastanawiając się, czy schwytanie owego człowieka jest warte ryzyka.

– Nasze sprawy międzynarodowe – ciągnął Romany – mają się dobrze i za jakiś miesiąc powinny nastąpić niezwykle istotne zmiany, jeśli wszystko będzie nadal przebiegało pomyślnie. – Pozwolił sobie na krótkotrwały uśmiech. – Gdybym nie wiedział, że zostanie to uznane za śmiałą hiperbolę, to zauważyłbym, iż ten parlament, obecnie podziemny, być może jeszcze przed nastaniem zimy będzie rządził wyspą.

Nagle w grupie kulących się w cieniu nędzarzy wybuchł szalony śmiech, po czym jakaś istota, będąca niewątpliwie bardzo starym człowiekiem, wskoczyła ze zwinnością owada w krąg światła. Twarz tego osobnika musiała odnieść dawno temu jakieś straszliwe obrażenia, gdyż była pozbawiona oka, nosa i połowy szczęki, a podarte odzienie było tak obwisłe i postrzępione, że zdawało się kryć w sobie pustkę zamiast ciała.

– Niewiele pozostało – sapnął, starając się zapanować nad śmiechem, który nim skręcał – niewiele ze mnie pozostało, hi hi, ale wystarczająco dużo, by powiedzieć ci, ty – zarozumiały głupcze! – co możesz zrobić ze swoją hiperbolą, olo! – głośne beknięcie niemal zważyło go z nóg, wywołując salwę śmiechu.

Doktor Romany przyglądał się gniewnie nędzemu intruzowi.

– Nie możesz uwolnić tego nieszczęśnika od jego męki, Horrabinie? – spytał cicho.

– Ty nie możesz, boś tego nie zrobił! – zaskrzeczał wiekowy człowiek.

– Za twym pozwoleniem, sir – rzekł Horrabin – zaraz każę go wyprowadzić. On tu jest od zawsze, a żebracy po stronie Surrey nazywają go swoim Szczęśliwym Trafem. Rzadko się odzywa, a kiedy już mówi, nie ma w tym więcej sensu niż w gadaniu papugi.

– A zatem uczyni to – powiedział poiirtowany Romany.

Horrabin skinął głową, a wtedy jeden z tych, którzy się śmiali, podszedł do Szczęśliwego Trafu z Surrey i podniósł go, wyraźnie zdumiony lekkością starego człowieka.

Starzec, gdy go pospiesznie wynoszono, odwrócił się i mrugnął swoim jedynym okiem do doktora Romany.

– Do zobaczenia w innych okolicznościach – rzucił teatralnym szeptem, po czym znów opanował go szalony śmiech, który zmieniał się w coraz cichsze, niesamowite echo, gdy niosący oddalał się pospiesznie w głąb jednego z tuneli.

– Ciekawych gości zapraszasz na wieczerzę – stwierdził Romany, wciąż zły, nakładając z powrotem sprężynowane buty.

Klown wzruszył ramionami – co przy wywatowanych ramionach wyglądało groteskowo.

– Nikt nigdy nie został zawrócony sprzed siedziby Horrabina – powiedział. – Niektórym nie wolno nigdy stąd wychodzić, a jeśli już, to tylko drogą wodną, ale wszyscy są mile widziani. Już idziesz? I to przed wieczerzą?

– Tak. I wyjdę schodami, jeśli ci to nie przeszkadza. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia – muszę skontaktować się z policją, by i jej zaoferować dużą nagrodę za złapanie tego człowieka. Poza tym nigdy nie przepadałem za... tą odmianą wieprzowiny, którą tu serwujesz.

Na obliczu klowna pojawił się jakby cień ostrzeżenia; Romany uśmiechnął się, następnie zsunął się z powrotem na podłogę, krzywiąc się nieznacznie, gdy jego dziwaczne buty zetknęły się z kamieniem, którym była wyłożona. Dunga pospieszył z jego peleryną, którą Romany rozwinął i założył. Nim oddalił się jednym z tuneli, odwrócił się do zgromadzonych i przesunął wzrokiem po dziwnie milczącym towarzystwie; objął spojrzeniem nawet zawieszonych wysoko żebraczych lordów i zauważył, że wszystkie oczy zwrócone są na niego.

– Znajdźcie mi tego Amerykanina – powiedział cicho. – Zapomnijcie na razie o Joe Psiej Twarzy. Przyprawdźcie mi Amerykanina, i to żywego.

Niskie słońce za plecami Doyle'a oświetlało kopułę katedry św. Pawła, gdy włókł się z powrotem do Billingsgate. Dzięki szklance piwa, którą kupił sobie dziesięć minut wcześniej, pozbył się nieprzyjemnego smaku z ust i dokuczliwego niepokoju.

Choć ulica nie była tak zatłoczona jak rankiem, wciąż panował na niej spory ruch: dzieci kopały piłkę, czasem przejeżdżał ze stukotem jakiś powóz, przechodnie zaś musieli obchodzić wóz, z którego robotnicy zdejmowali beczki. Doyle przyglądał się mijanym ludziom.

Po kilku minutach dostrzegł idącego naprzeciwko jakiegoś człowieka, który pogwizdywał, i nim nieznajomy zdążył przejść obok, Doyle spytał go, trochę niepewnie, gdyż była to już czwarta osoba, do której się zwracał:

– Proszę mi wybaczyć, sir, ale czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie Horrabin wystawia dziś swojego Puncha?

Mężczyzna przyjrzał się Doyle'owi od stóp do głów i potrząsnął zdumiony głową.

– Aż tak źle? No cóż, przyjacielu, nigdy nie widziałem, by dawał to przedstawienie w nocy, ale każdy żebrak będzie chyba mógł cię do niego zaprowadzić. Oczywiście, nie kręci się ich zbyt wielu w niedzielny wieczór, ale chyba widziałem jednego czy dwu w okolicy Billingsgate.

– Dziękuję.

Bandyty, którym przewodzi Horrabin – wspomniał słowa Beniamina, przyspieszając kroku. – Z drugiej jednak strony, jak powiedział kłown, nawet funt dziennie, jeśli będę skłonny do poświęceń. Jakich poświęceń, jestem ciekaw? Pomyślał o swojej rozmowie z wydawcą *Morning Post* i postanowił nie zaprzętać sobie tym głowy.

Pod ścianą, przy narożniku kościoła St. Mary-at-Hill siedział stary człowiek, i gdy Doyle zbliżył się do niego, zobaczył tabliczkę zawieszoną na jego piersi: „niegdyś sprawny żeglarz, jestem obecnie wykluczony z zawodu przez ślepotę. Muszę sprzedawać cukierki miętowe, by utrzymać żonę i chore dziecko. Chrześcijanie, okażcie szczodrość”. Trzymał tackę z brudnymi, jak się zdawało, cukierkami, i gdy Doyle zwolnił kroku, wysunął ją przed siebie. Gdyby Doyle się nie zatrzymał, uderzyłby w nią i rozsypał jej zawartość na trotuar.

Stary człowiek sprawiał wrażenie zawiedzionego. Doyle, rozglądając się wkoło, pojął dlaczego; w ten wczesny wieczór spacerowało sporo zamożnych ludzi, którzy byliby bez wątpienia poruszeni widokiem słodczy starego człowieka, rozsypanych na trotuarze.

– Kupisz pan kilka doskonałych cukierków od ślepego? – zajączał, przewracając oczami skierowanymi ku niebu.

– Nie, dziękuję – odparł Doyle. – Muszę znaleźć Horrabina. Horrabina – powtórzył, gdy żebrak przekrzywił głowę, a na jego twarzy pojawił się wyraz niekłamane go zainteresowania. – Wydaje mi się, że to jakiś przywódca żebraków.

– Mam miętówki do sprzedania – zauważył ślepiec. – Nie mogę o nich zapomnieć i zacząć przypominać sobie ludzi, nie dostając za stracony czas ani grosza.

Doyle zacisnął usta, ale położył na dłoni żebraka pensa. Nadchodziła noc, a on rozpaczliwie potrzebował miejsca do spania.

– Horrabin? – powtórzył żebrak ciszej. – Ach, znam go. A że jest niedziela wieczorem, będzie w parlamencie.

– W parlamencie? Co masz na myśli?

– Mógłbym zaprowadzić tam pana i pokazać, sir, ale to by znaczyło dla mnie stratę co najmniej szylinga.

– Szylinga? – spytał zrozpaczony Doyle. – Mam tylko dziesięć pensów!

Żebrak wyciągnął błyskawicznie rękę.

– Będzie mi pan winien dwa pensy, sir.

Doyle zawahał się.

– Czy da mi jedzenie i miejsce do spania?

– Ależ tak, nikt nigdy nie jest odsyłany sprzed siedziby Horrabina.

Drżąca ręka wciąż była wyciągnięta, więc Doyle westchnął, po-grzebał w kieszeni i położył ostrożnie sześć- i czteropensówkę na dłoni starego człowieka.

– Ee... prowadź.

Żebrak zgarnął pieniądze i cukierki do kieszeni, tackę wepchnął pod płaszcz, następnie podniósł z trotuaru kij, który leżał obok, i wstał, wspierając się na nim.

– No to chodźmy – powiedział i ruszył żwawo na zachód, w stronę, skąd dopiero co nadszedł Doyle. Machał przed sobą kijem niemal nonszalancko. Doyle musiał wyciągać nogi, by za nim nadążyć.

Cierpiąc z głodu na zawroty głowy, gdyż przez wizytę w redakcji *Morning Post* przepadł mu obiad składający się z zupy i tartych kartofli, Doyle mrużył pod wpływem blasku słońca oczy i koncentrował się na tym, by dotrzymać kroku żebrakowi, więc choć docierał do niego jak przez mgłę głośny stukot, nie zauważył podążającej za nim osoby, dopóki znajoma dłoń nie chwyciła go za nogawkę spodni. Stracił równowagę i upadł na trotuar, uderzając się boleśnie w dłoń i kolana, na których wylądował.

Odwrócił gniewnie głowę i stwierdził, że patrzy w brodate oblicze Skate'a Beniamina. Wózek beznogiego człowieka zatrzymał się gwałtownie w miejscu, najeżdżając na kostkę Doyle'a.

– Do diabła – warknął Doyle – puść mnie. Nie żebrzę i muszę iść za tym...

– Nie z Horrabinem, człowieku – w cichym głosie pobrzmiwała szczerza prośba. – Nie jesteś dość zły, by zadawać się z tą kompanią. Chodź ze...

Stary żebrak odwrócił się i zbliżał się teraz pospiesznie, patrząc na Skate'a tak pewnym wzrokiem, że Doyle po niewczasie uświadomił sobie, że tylko udawał ślepotę.

– Po co się wtrącasz, Beniaminie? – syknął stary człowiek. – Kapitan Jack musi już przeprowadzać nowy zaciąg?

– Daj sobie spokój, Bugs – odparł Skate. – To nie twój gość. Masz tu znaleźć, z łaski Jacka Kopenhagi.

Wydobył z kieszeni kamizelki dwie sześciopensówki i rzucił je. Bugs chwycił obie monety w powietrzu jedną dłonią.

– Bardzo dobrze – powiedział, chowając pieniądze wśród miętówek. – Jak tak, to możesz wtrącać się ilekroć zechcesz.

Roześmiał się skrzekliwie i ruszył z powrotem w stronę Billingsgate. Gdy oddalił się na jakieś trzydzieści metrów, zaczął stukać przed sobą swoim kijem. Doyle wstał, opierając się ostrożnie na obolałej kostce.

– Lepiej mi powiedz, zanim zniknie, czy ten Jack Kopenhaga da mi jedzenie i łóżko.

– Tak, i to o wiele więcej jednego i drugiego niż Horrabin. Boże, ale z ciebie niezdara, co? Tędy, pospiesz się.

Jadalnia domu żebraków przy Pye Street miała kształt prostokąta i osiem wielkich okien. Każde z nich stanowiło szachownicę z kwadratów nierównego szkła, połączonych ołowianymi szprosami i osadzonych w równych odstępach na dłuższej ścianie od strony ulicy. Latarnia przed wejściem rzucała kilka promyków, które wpadały przez małe szybki, ale głównym źródłem światła były jasne lampy oliwne zwisające z sufitu na łańcuchach, a także świeczniki, ustawione po dwa, na końcach każdego z długich ośmiu stołów. Wąski, wschodni kraniec sali wznosił się ponad metr nad poziomem podłogi i był dostępny dzięki prowadzącym doń czterem stopniom; po ich obu stronach, do samej ściany, biegły drewniane balustrady, co upodabniało pomieszczenie do pokładu statku, ze wzniesionym podestem jako forkaścielem.

Żebracy zgromadzeni przy długich drewnianych stołach odziani byli w stroje stanowiące parodię ówczesnej odzieży: widać było eleganckie surduty z białymi rękawiczkami, połatane, lecz nieskazitelnie czyste; typowy strój upadłego dżentelmena, czyli żebraka, który wzbudzał litość dowodząc, często zgodnie z prawdą, że jest dobrze urodzonym panem, którego do ruiny przywiodły finansowe tarapaty

lub alkohol. Były tam też niebieskie bluzy i spodnie, paski z postronków i czarne, brezentowe kapelusze, noszące nazwę jakiegoś statku wyszytą słowiałymi, złotymi nićmi, strój marynarzy rozbitków, którzy przyprowadzili swą mowę żeglarskimi terminami zaczerpniętymi z tanecznych przedstawień czy ballad. Widać też było turbany, kolczyki i sandały biednych Hindusów; poczerniałe twarze górników, którzy nabawili się kalectwa w podziemnych katastrofach; no i oczywiście anonimowe, postrzępione szmaty typowych żebraków bez specjalizacji. Doyle, zajmując miejsce przy końcu jednej z ław, zauważył nawet kilku osobników ubranych, podobnie jak on, w strój straganiarza.

Jednakże postacią sprawiającą największe wrażenie był wysoki mężczyzna o włosach i wąsach barwy piasku, siedzący w leniwej pozie na fotelu z wysokim oparciem, ustawionym na podeście, który teraz wstał i oparł się o reling, wodząc wzrokiem po towarzystwie siedzącym przy stołach. Miał na sobie ekstrawagancki zielony satynowy surdut z cienkimi koronkami wokół rękawów i pod szyją, obcisłe satynowe spodnie do kolan i białe jedwabne skarpety, a na nogach małe buty, które bez złotych klamer wyglądałyby jak baletki. Bezlądny gwar rozmów ucichł, gdy tylko wstał ze swego miejsca.

– To sam Jack Kopenhaga – szepnął z dumą Skate, który przystanął swym wózkiem obok Doyle'a. – Kapitan żebraków z Pye Street.

Doyle przytaknął machinalnie, gdyż jego uwagę przyciągnął nagle zapach pieczonego indyka, unoszący się w ciepłym powietrzu.

– Dobry wieczór, przyjaciele – powitał zebranych kapitan. Obracał w dłoni kielich do wina na długiej nóżce.

– Wieczór, kapitanie – odparła chórem kompania.

Wciąż spoglądając wzdłuż sali jadalnej wysunął na bok dłoń z kielichem, a natychmiast pospieszył chłopiec w szkarłatnym płaszczu i wysokich butach, po czym nalał mu z karafki czerwonego wina. Kapitan skosztował i kiwnął głową.

– Wytrawny medoc i pieczona wołowina – zaordynował, gdy chłopiec oddalił się. – A przy ptactwie wyczerpiemy pewnie zapasy słodkiego wina, które nadeszło w zeszłym tygodniu.

Kompania wyraziła głośno swe zadowolenie, Doyle równie energicznie jak pozostali.

– Raporty, kary i przyjęcia nowych członków odbędą się po wieczery.

To obwieszczenie także zostało zaakceptowane przez żebraków i gdy tylko kapitan usiadł przy swoim stole, drzwi od kuchni otworzyły się

na oścież i do sali wkroczyło dziewięciu ludzi, trzymających tace z pieczonymi indykami. Każdy stół dostał po jednym, a człowiek siedzący u ich szczytu otrzymał długi nóż i widelec do krojenia. Doyle akurat siedział na końcu i dzięki wprawie nabytej podczas Bożego Narodzenia czy Święta Dziękczynienia dał sobie doskonale radę. Kiedy już powrzucał kawałki mięsa na podstawione talerze, nie wyłączając tego, który spod stołu wyciągnął Skate, nałożył trochę także i sobie, po czym zabrał się z zapalem do jedzenia, popijając kęsy sporymi łykami chłodzonego wina, które roznosiła niezmordowanie mała armia chłopców, dolewając każdemu, kto choćby do połowy opróżnił swój kielich. Po indyku przyszła kolej na pieczoną wołowinę, przysmażoną i miękką z wierzchu, w środku zaś krwisto surową, a także na gorące bułeczki z masłem w nieograniczonych, zdawałoby się, ilościach. No i butelki, butelki, pełne wspaniale wytrawnego i mocnego bordo. Na deser podano gorący budyń śliwkowy i krem.

Gdy uprzątnięto talerze, a biesiadnicy rozparli się wygodnie, nabijając ku zazdrości Doyle'a gliniane fajki i odpalając je z wprawą od świec na stole, Jack Kopenhaga podciągnął swój fotel ku krawędzi podestu i zaklaskał w dłonie, by zwrócić na siebie uwagę.

– A teraz sprawy bieżące – stwierdził. – Gdzie jest Fairchild?

Drzwi prowadzące na ulicę otworzyły się i do środka wszedł pośpiesznie młody mężczyzna. Doyle sądził przez chwilę, że to właśnie Fairchild, lecz przy jednym z dalszych stołów podniósł się ponury, nie ogolony człowiek i powiedział: „Tutaj, sir”. Chłopiec, który dopiero co wszedł, zdjął apaszkę z szyi, po czym przemierzył salę i usiadł na schodach prowadzących na podwyższenie.

Kapitan skinął mu głową, a potem znów spojrzał na Fairchilda, który miętosił nerwowo starą czapkę w dłoniach.

– Widziano, jak chowałeś dziś rano w rynnie pięć szylingów, Fairchild.

Fairchild spuścił głowę, ale nadal patrzył spod krzaczastych brwi na Jacka Kopenhagę.

– Kto widział, sir?

– Mniejsza o to. Czy zaprzeczasz, żeś je schował?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Hm... nie, sir – odparł w końcu. – Tylko że ja... nie chowałem ich przed Marko, pojmujesz, panie, ale były tam te dzieciaki, które mi dokuczały, więc bałem się, że mnie okradną.

– Więc dlaczego powiedziałeś Marko, gdy zjawił się o pierwszej po południu, żeś zarobił tylko kilka pensów?

– Zapomniałem – wyjaśnił Fairchild. – O tych tam szylingach.

Młody człowiek siedzący na schodach wodził badawczym wzrokiem po tłumie żebraków, jakby spodziewał się kogoś dostrzec. Doyle zastanawiał się, kto to jest. Pomimo małych wąsików wydawał się młody, nie mógł mieć jeszcze dwudziestki i Doyle'owi przyszło do głowy, że pierwszy właściciel płaszcza, który młodzieniec miał na sobie, nie żył od co najmniej dwudziestu lat i był znacznie potężniejszym człowiekiem.

– Nie jesteś tu jedynym, który ma skłonność do zapominania, Fairchild – rzekł łagodnie kapitan. – Wydaje mi się, że i ja zgodziłem się zapomnieć o dwóch podobnych oskarżeniach dotyczących twojej osoby, które zdarzyły się w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Młody człowiek zatrzymał wzrok na Doyle'u; przyglądał mu się w zamyśleniu, a po chwili jakby z niepokojem. Gdy Doyle zaczął się już wiercić niespokojnie, młodzieniec spojrzał w inną stronę.

– Obawiam się – ciągnął Jack Kopenhaga – że będziemy musieli zapomnieć o jeszcze kilku rzeczach: zapomnimy, żeś kiedykolwiek należał do naszej kompanii, a ty ze swej strony wyświadczysz mi przysługę, zapominając drogę do mego domu.

– Ależ kapitanie – sapnął Fairchild – ja nie chciałem, mogę zwrócić te pięć szylingów...

– Zatrzymaj je. Będziesz ich potrzebował. A teraz odejść.

Fairchild wyszedł tak pospiesznie, że Doyle domyślił się, iż kapitan musi dysponować jakąś niezwykle szybką i skuteczną metodą usuwania ludzi, którzy nie chcą opuszczać tego miejsca dobrowolnie.

– A teraz – rzekł kapitan, uśmiechając się – przejdźmy do przyjemniejszych obowiązków. Czy ktoś prosi o przyjęcie do kompanii?

Skate wyciągnął rękę tak wysoko jak tylko mógł, to znaczy nie wyżej niż świece, i zamachał nią.

– Ja przyprowadziłem jednego, kapitanie – zagrzemiał, a jego głęboki, wibrujący głos zrekompensował mizerny gest dłonią.

Kapitan spojrzał zaciekawiony w stronę stołu, przy którym siedzieli.

– Niechaj powstanie.

Doyle podniósł się i zwrócił w stronę Jacka.

– No coż, Skate, wygląda raczej żałośnie. Jak się zwiesz?

– Brendan Doyle, sir.

Kiedy Doyle zdołał wypowiedzieć dwie pierwsze sylaby swego imienia i nazwiska, młody człowiek, który mu się przypatrywał, od-

wrócił się gwałtownie, wskoczył zgrabnie na podest i wyszeptał coś gorączkowo do kapitana.

Kapitan Jack pochylił się na bok i przekrzywił głowę, a po chwili wyprostował się i zaczął patrzeć na Doyle'a z pewnym niedowierzaniem; następnie wypowiedział do chłopca szeptem kilka słów, których, chociaż nie było słychać, z pewnością musiały oznaczać – „Jesteś pewien”? Młody człowiek skinął energicznie głową i dodał coś od siebie.

Doyle przyglądał się tej wymianie zdań z rosnącym przerażeniem, zastanawiając się, czy ten wąsaty młodzieniec nie pracuje czasem dla łyszego szefa Cyganów. Zerknął na drzwi wejściowe i zauważył, że są uchylone. Jeśli spróbują mnie pochwycić, pomyślał, to dopadnę drzwi, nim ci chłopcy zdążą zerwać się od stołów.

Kapitan wzruszył ramionami i zwrócił się do coraz bardziej zaciekawionych biesiadników.

– Młody Jacky mówi mi, że nasz nowy przyjaciel, Brendan Doyle, przybył właśnie z Bristolu, gdzie dawał sobie świetnie radę, udając nierozgarniętego i głuchoniemego. Występując pod imieniem, ee, Toma Niemoty, zaskarbiał sobie przez ostatnie pięć lat sympatię tamtejszych braci, ale był zmuszony opuścić to miasto, gdyż – jak to było, Jacky? Ach, przypominam sobie – zobaczył przyjaciela wychodzącego z burdelu, a dziewczyna, u której ten gość był, wychylała się z górnego okna trzymając... porcelanowy nocnik, który zamierzała spuścić biedakowi na głowę, kiedy ten miał przejść pod jej oknem, co właśnie zamierzał uczynić. Wydaje się, że poszło o zapłatę. Dziewczyna uważała, że została oszukana. W każdym razie Doyle, stojący po drugiej stronie ulicy, zawołał do swojego druha: „Uważaj! Cofnij się, mój przyjacielu, dziewczyna chce ci rozwalić mózg”! No cóż, życie przyjaciela zostało ocalone, ale każdy na tej ulicy usłyszał głos Doyle'a i niebawem wszyscy już wiedzieli, że potrafi mówić tak jak każdy z nich, no i musiał opuścić miasto.

Żebracy siedzący obok Doyle'a zaczęli go wychwalać jako równego gościa, Skate zaś stwierdził:

– Powinieneś być opowiedzieć mi swoją historię dzisiejszego ranka, przyjacielu.

Doyle, ukrywając swoje zaskoczenie i podejrzliwość, otworzył usta, by odpowiedzieć Skate'owi, lecz kapitan podniósł dłoń tak gwałtownie i władczo, że znów się na niego zwróciły wszystkie oczy, i Doyle nie zdążył przemówić.

– Jacky dowodzi też, że skoro Doyle ma nadzieję kontynuować żebraczy fach tutaj, w Londynie, i skoro tak dobrze mu szło, gdy nie

odzywał się słowem, po czym musiał udać się na wygnanie, gdy po raz pierwszy przemówił, to powinien znów powrócić do dawnego obyczaju porozumiewania się jedynie gestami. Potrzebujesz praktyki, by ponownie stać się Tomem Niemotą, panie Doyle. Czyż nie mam racji?

Wszyscy odwrócili się w stronę Doyle'a, który zauważył, że jedna z powiek kapitana drgnęła nieznacznie. Chodzi o to, żeby ukryć moją wymowę – uświadomił sobie Doyle. – Ale dlaczego? I skąd ten chłopak wie, że mam taki a nie inny akcent? Uśmiechnął się niepewnie i przytaknął.

– Jesteś mądrym człowiekiem, Tomie Niemoto – stwierdził Jack Kopenhaga. – Jacky zdradził mi też, że byliście kiedyś w Bristolu wielkimi przyjaciółmi, pozwolę mu więc pozbawić nas na jakiś czas twego towarzystwa, tak by mógł ci objaśnić nasze obyczaje. A ja tymczasem rozważę pozostałe kandydatury. Następny, powstać!

Gdy przy sąsiednim stole zaczął się podnosić jakiś starzec o zamglonym wzroku, Jacky zeskoczył z podestu i ruszył szybko w stronę Doyle'a. Poły zbyt dużego płaszcza okrywającego chudą postać trzepotały jak skrzydła ptaka. Wciąż niespokojny, Doyle zerknął na drzwi.

– Brendan – powiedział Jacky. – Nareszcie. Wiesz, że zwykle nie żywię długo urazy i domyślam się, że dziewczyna po tygodniu rzuciła cię dla kogoś innego.

Skate zachichotał gardłowo, a Jacky mrugnął i wymamrotał coś, co mogłoby znaczyć „zaufaj mi”.

Doyle odprężył się. Trzeba komuś ufać, myślał, a ci ludzie przynajmniej doceniają niezłe bordo. Skinął głową i pozwolił się odprowadzić.

Fairchild zamknął cicho drzwi, a potem stał na ulicy przed jadłodajną, nie mogąc poradzić sobie z myślami. Robiło się coraz chłodniej, a na niebie gasło ostatnie, szare światło dnia. Zmarszczył brwi – po chwili ucieszył się na wspomnienie pięciu szylingów ukrytych w rynnie, gdyż pieniądze te miały mu zapewnić kilka dni bezczynności urozmaiconej piwem, pasztetem i kręglami. Ale – znów zmarszczył czoło, zakłopotany zarówno abstrakcyjnością jak i posepnością tej myśli – nadejdą przecież dni, gdy nie będzie już pięciu szylingów. Co pocznie wtedy? Mógłby spytać kapitana, co robić... Nie, racja, przecież kapitan dopiero co go wyrzucił i dlatego właśnie on, Fairchild, musi myśleć o tym, co robić.

Popiskiwał cicho, podążając czym prędzej Pye Street. Sam uderzył się kilkakrotnie dłonią po twarzy, by zmusić głowę do intensywnego myślenia.

– Wiedziałeś, że mówię obcym akcentem – Doyle otulił się szczelniej płaszczem, gdyż w małym pokoju, pomimo rozżarzonych węgli w kominku, panował chłód.

– Oczywiście – odparł Jacky, dorzucając kłocę drewna do paleniska i układając je odpowiednio. – Powiedziałem kapitanowi, że nie wolno ci się odzywać, a on wymyślił na poczekaniu tę historyjkę. Zamknij okna, dobrze? A potem usiądź.

Doyle pchnął okiennice, po czym opuścił haczyk.

– Więc skąd wiedziałeś? I dlaczego ludzie nie powinni słyszeć mojego głosu?

Po obu stronach małego stołu stały krzesła i Doyle zajął to bliższe drzwi.

Rozpaliwszy ogień na dobre, Jacky podniósł się i podszedł do kredensu.

– Zdradzę ci to, jak tylko odpowiesz na kilka pytań.

Doyle zmarszczył niezadowolony brwi, słysząc ten rozkazujący ton u dzieciaka, który był młodszy od większości jego studentów, a owo niezadowolenie tylko nieznacznie złagodził widok butelki zdjętej przez młodego człowieka z półki.

Z dołu dobiegły przytłumione oklaski i gwizdy, ale żaden z nich nie zwrócił na to uwagi.

Jacky usiadł i nalewając jednocześnie brandy do dwóch kieliszków obrzucił Doyle'a spojrzeniem, w którym kryła się zarówno ciekawość, jak i surowość.

– Dzięki – powiedział Doyle, biorąc do ręki trunek i kołyszając nim pod nosem. Pachniał jak żaden dotychczas. – Waszym ludziom nieźle się powodzi – przyznał z zazdrością.

Jacky wzruszył wąskimi ramionami.

– Żebranina to fach jak każdy inny – stwierdził z lekką niecierpliwością – a Jack Kopenhaga potrafi go zorganizować najlepiej. – Łyknął ze swojego kieliszka. – Powiedz mi teraz prawdę, Doyle – co takiego zrobiłeś, że doktor Romany tak bardzo chce cię schwytać.

Doyle zamrugał.

– Kto to jest doktor Romany?

– Szef najpotężniejszej bandy cygańskiej w Anglii.

Doyle poczuł na karku dotyk niewidzialnych palców.

– Wysoki, łysy, starszy gość? Nosi sprężynowane buty?

– Ten sam. Na jego polecenie każdy żebrak i złodziej z wylęgarni Horrabin ma szukać... człowieka odpowiadającego twojemu ry-sopisowi, o obcym, prawdopodobnie amerykańskim akcencie. I oferuje wielką nagrodę za schwytanie twojej osoby.

– Horrabin? Ten kłown? Mój Boże, spotkałem go dziś rano, kiedy oglądałem ten jego przekłety spektakl z kukiełkami. Nie wydawało się, żeby...

– Dopiero tego wieczoru doktor Romany nakazał wszystkim, by cię szukali. Horrabin wspomniał, że widział cię w Billingsgate.

Doyle zawahał się, próbując rozważyć wszystkie za i przeciw. Gdyby był możliwy rozejm, nie miałby nic przeciwko temu, by porozmawiać z doktorem Romany, gdyż człowiek ten najwidoczniej znał – jakimś cudem – godziny i miejsca, w jakich ujawniały się szczeliny; a Doyle wciąż miał przytwierdzony do ramienia mobilny haczyk. Gdyby mógł poznać lokalizację szczeliny i stanąć w obrębie jej pola, gdy będzie się zamykała, to wyłoniłby się ponownie na tamtej posesji w Londynie roku 1983. Zalała go fala tęsknoty, gdy pomyślał o Kalifornii, Fullertonie, biografii Ashblessa... Z drugiej zaś strony, ten doktor Romany nie sprawiał wrażenia człowieka chętnego do pomocy, nie mówiąc już o cygarach i całej reszcie. No i jaki interes miał w tym wszystkim ten chłopak? Prawdopodobnie chodziło mu o tę wielką nagrodę.

Doyle musiał zdradzić się spojrzeniem, gdyż chłopak potrząsnął ze wstrętem głową i powiedział:

– Nie bój się, nie zamierzam wydać cię temu człowiekowi. Nie wpakowałbym w łapy tej kreatury nawet wściekłego psa... nawet gdyby zechciał dotrzymać słowa, jeśli chodzi o nagrodę, w co wątpię. Byłaby nią pewnie możliwość poszukania na dnie Tamizy zgubionych monet.

– Przepraszam – powiedział Doyle, łykając brandy. – Ale wszystko wskazuje na to, że byłeś obecny na zgromadzeniu tamtych ludzi.

– Byłem. Kapitan Jack płaci mi za to, bym się kręcił to tu, to tam, i sprawdzał, co robi... konkurencja. Horrabin organizuje spotkania w kanale ściekowym pod Bainbridge Street, a ja jestem tam częstym gościem. Ale przestań uchylać się od odpowiedzi – dlaczego tak mu na tobie zależy?

– No... – Doyle podniósł swój kieliszek i wpatrywał się zamyślony w ogień na kominku prześwietlający przez ciemny trunek o bar-

wie topazu. – Sam nie jestem pewien, ale wiem, że chce się czegoś ode mnie dowiedzieć. – Przyszło mu do głowy, że zaczyna się upijać. – Chce wiedzieć... jak zjawiłem się na pewnym polu niedaleko Kensington.

– No więc? Jak się zjawiłeś? I dlaczego tak go to obchodzi?

– Powiem ci prawdę, mój chłopcze. Przeniosłem się tam za sprawą magii.

– Tak, to musiało być coś takiego. Lecz jakiej magii? I skąd przybyłeś?

Doyle był zakłopotany.

– Nie uznasz tego za zbyt niewiarygodne?

– Zdziwiłbym się, gdyby doktor Romany podekscytował się czymś, co nie dotyczyłoby magii. Poza tym nie jestem aż tak... nie-doświadczony, by twierdzić, że magia nie istnieje. – Uśmiechnął się z taką goryczą, że Doyle zaczął się zastanawiać, czego ten chłopak zdążył już doświadczyć. – Jaka magia? – powtórzył Jacky.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem. Byłem tylko jednym z członków pewnej grupy, a całą tą magiczną mechaniką zajmował się ktoś inny. Ale to był jakiś czar czy coś w tym rodzaju, co pozwoliło nam skoczyć z jednego... miejsca w drugie, bez konieczności przemierzania dzielącego je dystansu.

– I tak przeskoczyłeś aż z Ameryki?

Dlaczegoż by nie, pomyślał Doyle i powiedział:

– Zgadza się. A ten doktor Romany musiał widzieć, jak pojawiliśmy się na tym polu. Myślę, że obserwował to miejsce, ponieważ nie można skakać sobie stąd dotąd, jak się tylko chce, rozumiesz, trzeba wyruszać i lądować w pewnych miejscach, które nasz szef nazywał szczelinami. Przypuszczam, że Romany wie, gdzie się te wszystkie szczeliny znajdują, i musiał za nami jechać, aż od tamtego miejsca, gdyż pochwycił mnie w chwili, kiedy znajdowałem się akurat z dala od pozostałych, a potem zabrał mnie do jakiegoś obozu Cyganów.

Doyle łyknął trochę brandy, gdyż ta relacja znowu wzbudziła w nim lęk przed łysym starcem.

– A co stało się z innymi ludźmi?

– Nie wiem. Chyba zdołali wrócić do szczeliny i skoczyli z powrotem do, hm, Ameryki.

– Po co tu przybyliście?

Doyle roześmiał się.

– To długa historia, ale zjawiliśmy się głównie po to, by wysłuchać wykładu.

Jacky uniósł brew.

– Wykładu? Co masz na myśli?

– Czy kiedykolwiek słyszałeś o Samuelu Taylorze Coleridge’u?

– Oczywiście. Ma wygłosić następną niedzielę mowę na temat Milтона w gospodzie pod Koroną i Kotwicą.

Doyle uniósł brwi. Ten młody żebrak zaczynał go intrygować.

– Słusznie. No cóż, pomieszały mu się daty i zjawił się tam ze-
szłego wieczoru. A że i my się zjawiliśmy, wygłosił ją właśnie wczoraj. Bardzo interesujący wykład, w rzeczy samej.

– Ach tak? – Jacky dokończył swoją brandy i zamyślony dołał sobie trochę. – A skąd twoi ludzie wiedzieli, że pomieszały mu się daty?

Doyle rozłożył ręce.

– Ten, który to wszystko nadzorował, wiedział o tym.

Jacky milczał przez chwilę, skrobiąc się ostrożnie pod wąsem, po czym uniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

– Czy najęli cię tylko do pilnowania koni, czy też byłeś zainteresowany wykładem?

Doyle’a kusiło, żeby powiedzieć temu aroganckiemu chłopakowi, że opublikował biografię Coleridge’a. Ale stwierdził tylko, tak wyniośle jak umiał:

– Zabrano mnie, bym wyjaśnił gościom, kim był... to znaczy kim jest Coleridge, a także, bym odpowiedział po powrocie na pytania dotyczące jego osoby.

Jacky roześmiał się zadowolony.

– A więc interesujesz się współczesną poezją! Potrafisz zaskakiwać, Doyle.

Drzwi za plecami Doyle’a otworzyły się i wszedł Jack Kopenhaga, sprawiając w tym małym pokoju wrażenie jeszcze wyższego i potężniejszego w barach.

– Dwaj nowi członkowie – powiedział, sadowiac się na rogu stołu i podnosząc butelkę brandy. – Całkiem niezły podupadły dżentelmen i najlepszy epileptyk, jakiego w ostatnich latach spotkałem – szkoda, że nie widzieliście tego ataku trzęsionki, jaki nam zademonstrował, by dać próbkę swego stylu. Zdumiewające. A jak się miewa Tom Niemota?

Doyle skrzywił się.

– Naprawdę muszę się wcielić w tę postać?

– Jeśli chcesz tu zostać, to musisz. Co to za historia z tym Horrabinem? Dlaczego cię ściga? – Kapitan przechylił butelkę i pociągnął spory łyk.

Jacky pospieszył z wyjaśnieniami.

– Chodzi o zwierzchnika Horrabina, doktora Romany. Sądzi, że Tom Niemota zna różne czarodziejskie sztuczki, ale się myli, wyzna-
czył jednak wielką nagrodę, i teraz każdy kundel ze szczerzego sie-
dliska Horrabina będzie szukał Brendana Doyle’a. – Zwrócił się do
Doyle’a. – Zrozum, człowieku, rola Toma Niemoty to dla ciebie kwe-
stia przetrwania.

Kapitan wybuchnął śmiechem.

– I dziękuj Bogu, że nie prowadzę interesu tak, jak czynił to oj-
ciec Horrabina.

Jacky też się roześmiał, a dostrzegając pytający wzrok Doyle’a,
wyjaśnił:

– Ojciec kłowna też był przywódcą żebraków, tych spod ko-
ścioła St.Giles, i to takim, który nie uznawał fałszerstwa; jego nie-
widomi ludzie byli naprawdę niewidomi, a kalekie dzieci chodziły
o kulach nie dla efektu. Bardzo chwalebne, można by powiedzieć,
dopóki się nie wiedziało, że rekrutował zdrowych ludzi, a potem
deformował ich na potrzeby żebraczego fachu. Miał gdzieś pod
Londynem taki „szpital”, gdzie za pomocą różnych metod zmieniał
krzepkich mężczyzn, kobiety i dzieci w istoty mające wzbudzać
przerażenie i litość.

Z twarzy Jacky’ego zniknął uśmiech.

– A zatem jeśli stary Teobaldo Horrabin zdecydowałby, że powi-
nien być Tomem Niemotą – stwierdził kapitan – to wyrwałby ci
język, a potem spróbował uczynić z ciebie prostaczka, waląc cię
w głowę, albo dręcząc dostatecznie długo, by twój umysł obumarł.
Jak powiedział Jacky, był w tym mistrzem. – Znów pociągnął z bu-
telki. – Powiadają nawet, że popracował nad własnym synem i że
Horrabin nosi te workowate ubrania i maluje twarz, żeby ukryć de-
formacje, będące dziełem ojca.

Doyle wzdrygnął się, przypominając sobie przerażające oblicze
kłowna, na które patrzył w budzie teatryku kukielkowego.

– A co się stało z papą Horrabina?

Jacky wzruszył ramionami.

– To było jeszcze przed moimi narodzinami.

– Niektórzy powiadali, że umarł, a wtedy jego synek przejął inte-
res – wyjaśnił kapitan. – Inni powiadali, że sam zabił starego Teo-
baldo, by przejąć interes. Słyszałem nawet, że stary Teobaldo żyje
gdzieś w podziemiach... Choć nie jestem pewien, czy nie wolałby
być martwy. – Uchwycił pytające spojrzenie Doyle’a. – Och, stary

Horrabin był bardzo wysoki, więc ciasne pomieszczenia, nawet załoczone korytarze, bardzo go denerwowały.

– Coś jednak stracimy, jeśli zrobimy z niego niemowę – stwierdził Jacky, przejmując od kapitana butelkę i napełniając oba kieliszki. – On umie czytać.

W spojrzeniu, jakim kapitan obrzucił Doyle’a, kryło się więcej zainteresowania niż kiedykolwiek.

– Potrafisz czytać? Zwinnie?

Domyślając się, że chodzi o „płynnie”, Doyle przytaknął.

– Doskonale! Będziesz mógł mi czytać. Literatura jest być może największą pasją mego życia, ale nigdy nie zdołałem znaleźć jakiegokolwiek sensu w tych znaczkach na kartce papieru. Czy znasz jakieś wiersze? Na pamięć?

– Och, pewnie.

– Wyrecytuj nam któryś.

– Uhm... no dobrze.

Odchrząknął, po czym zaczął:

*Już na zgon dniu jasnemu biją wszystkie dzwony
Bydło z łąk wolno wraca, rycząc, w stronę siola,
Do chaty krok kieruje rolnik utrudzony,
Mnie i mrokom zostawia świat cały dookoła... **

Kapitan i Jacky słuchali jak urzeczeni, podczas gdy Doyle wyrecytował całą *Elegię na wiejskim cmentarzu* Graya. Kiedy skończył, kapitan nagrodził go oklaskami, po czym sam przytoczył wersy z *Samsona silacza* Milтона.

Przyszła kolej na Jacky’ego.

– Powiedz mi, co sądzisz o tym – poprosił i wyrecytował:

*Te kręte ulice, tętniące niegdyś radośnie
Światłem i winem, teraz echem jeno żyją
Mych kroków samotnych. Wiatru fale wiją
Przez izby zakurzone nitkę na swym krośnie
I wyganiają przez okna stłuczone
Aż na ulicę myśli dawne i wspomnienia.*

Jacky przerwał, a Doyle dokończył bezwiednie oktawę:

* Przekład J. Pietrkiewicza.

*Daleko ten młodzian, co pieścił marzenia,
I nic nie pozostało z jego ducha ocalone.*

* * *

Doyle próbował sobie przypomnieć, gdzie czytał ten wiersz. Był przytoczony w książce o Ashblessie, ale nie wyszedł spod jego pióra... Mam, pomyślał nagle, był to jeden z nielicznych utworów Colina Lepovre'a, który był zaręczony z Elizabeth Tichy, nim została żoną Williama Ashblessa. Lepovre zniknął w 1809, kilka miesięcy przed wyznaczoną datą ślubu; miał dwadzieścia lat i pozostawił po sobie skromny tomik poezji, który zyskał kilka nielicznych i bardzo krytycznych recenzji.

Zerknął na Jacky'ego i zobaczył, że młody człowiek przygląda mu się ze zdumieniem, a nawet, po raz pierwszy, z niejakim szacunkiem.

– Mój Boże, Doyle, czytałeś Lepovre'a?

– O, tak – odparł żywo Doyle. – Zniknął, hmm, zeszłego roku, prawda?

Twarz Jacky'ego przybrała zacięty wyraz.

– To oficjalna wersja. W rzeczywistości został zamordowany. Widzisz, ja go znałem.

– Naprawdę? – Doyle'owi przyszło do głowy, że jeśli kiedykolwiek powróci do roku 1983, to mógłby z tej historii skomponować niezły przypis w biografii Ashblessa. – Jak go zamordowano?

Młody człowiek opróżnił kieliszek i nalał sobie bez oporów znacznie więcej.

– Może któregoś dnia poznam cię na tyle dobrze, by ci powiedzieć.

Wciąż zdecydowany wyciągnąć od chłopaka coś, co nadawałoby się do późniejszej publikacji, Doyle spytał:

– Czy znałeś jego narzeczoną, Elizabeth Tichy?

Jacky sprawiał wrażenie wystraszonego.

– Jeśli pochodzisz z Ameryki, to skąd to wszystko wiesz?

Doyle już otwierał usta, by udzielić jakiejś wiarygodnej odpowiedzi, ale że nic nie przychodziło mu do głowy, musiał ratować się stwierdzeniem:

– Pewnego dnia, Jacky, może poznam cię na tyle dobrze, by ci powiedzieć.

Jacky uniósł brwi, jakby rozważał, czy nie uznać tego za obrazę; potem uśmiechnął się.

– Jak już mówiłem, Doyle, potrafisz z pewnością zaskakiwać. Tak, znałem Beth Tichy, i to całkiem dobrze. Znałem ją na długo przed tym, nim spotkała Lepovre’a. Wciąż się z nią spotykam.

– Jak widzę nie myliłem się zbyttnio, mówiąc, że wy dwaj jesteście starymi przyjaciółmi – stwierdził Jack Kopenhaga. – Chodź ze mną, Doyle. Stary Stikeleather już przebrnął przez połowę *Aubrey Dallas*, ale przy tym tempie reszta zajmie mu co najmniej rok. Przekonajmy się, czy umiesz czytać trochę szybciej.

Nisko sklepiona kuchnia Domu Żebraka była zatłoczona, lecz większość ludzi skupiła się wokół stołu, przy którym grano w karty, więc Fairchild, hołubiąc w ciemnym kącie szklanę dżinu, miał dość miejsca, by rozsiaść się wygodnie i oprzeć nogi o ścianę z cegieł. Dawno temu oduczył się grać, gdyż nigdy nie potrafił pojąć zasad i bez względu na to, jakie karty dostawał do ręki, ludzie zawsze odbierali mu pieniądze i mówili, że przegrał.

Wyjął z rymny w bocznej alejce odchodzącej od Fleet Street tylko jednego szylinga, gdyż opracował pewien plan: chciał przyłączyć się do żebraczej armii Horrabina, a szylingi zachować na specjalne wydatki, takie jak mięso, dżin i piwo, a czasem – lyknał sobie, gdy o tym pomyślał – jakąś dziewczynę.

Skończył swój dżin, lecz postanowił już nie pić. Gdyby nie zdołał dogadać się z kłownem na szczudłach jeszcze tego wieczoru, musiałby wydać trochę pieniędzy na nocleg, a tego nie było w jego planie. Wstał i zaczął się przeciskać przez rozkrzyczaną i roześmianą ciżbę, zmierzając w stronę drzwi frontowych, po czym wyszedł na zewnątrz.

Zdawało się, że migotliwe światło latarni pada z niechęcią na wysunięte frontony domów przy Buckeridge Street, muskając jedynie najsłabszym blaskiem czerń nocy – gdzieniegdzie wysoko pod dachem paliło się w otwartym oknie blade światło, choć pokój w głębi tonął w ciemności; gdzie indziej wynurzał się z mroku wylot jakiejś alejki z żółtawo połyskującymi, mokrymi kamieniami bruku, które przypominały procesję ropuch zastygłych na krótką chwilę w swej wędrówce przez ulicę; chwilami, gdy jakiś zagubiony podmuch wiatru zakołysał płomieniem latarni, dostrzec można było nierówne krańdzie dachów i połacie obdrapanego muru.

Fairchild przeszedł niemal po omacku przez ulicę i stanął na przeciwległym rogu. Gdy skręcił zgarbiony w następną przecznicę, usły-

szął dochodzące zza zabitych okien przytułku Matki Dowling chrapanie. Roześmiał się szyderczo z nieświadomych niczego śpiochów, którzy, jak wiedział to z własnego doświadczenia, płacili po trzy pensy za łóżko, a musieli je dzielić z dwoma czy nawet trzema innymi osobnikami, izbę zaś co najmniej z tuzinem. Wydawać pieniądze tylko po to, by tłoczyć się jak nietoperze w starym domu, pomyślał, niezwykle z siebie zadowolony, że ma inny plan.

Jednak w chwilę później zastanawiał się niespokojnie, jakież to nocleg mógł mu zapewnić Horrabin. Ten kłown był złowrogą postacią; mógł położyć człowieka do snu w trumnie, czy coś w tym rodzaju. Na tę myśl Fairchild przystanął, patrząc przed siebie tępo i czyniąc znak krzyża. Potem przypomniał sobie, że jest już późno i że jeśli cokolwiek zamyślał, to lepiej żeby zrobił to prędko. Przynajmniej Horrabinowi nie trzeba płacić, myślał, znów ruszając przed siebie. Każdy jest mile widziany u Horrabina.

Parlament w kanale zdążył już pewnie zakończyć obrady, więc zamiast skręcić w prawo, w Maynard, i ruszyć ku Bainbridge Street, podążył wzdłuż muru, ocierając się o niego lewym ramieniem, a potem skręcił za róg, kierując się na północ, gdzie po drugiej stronie Ivy Lane stał przypominający wielki magazyn ciemny budynek, znany w okolicy jako hotel Horrabina, albo Szczurzy Zamek.

Teraz Fairchild dla odmiany martwił się, że go nie przyjmą. W końcu nie był zbyt rozgarnięty. Pocieszył się myślą, że jest przynajmniej dobrym żebrakiem, a to się liczyło. Przyszło mu też do głowy, że Horrabina może zainteresować wiadomość, iż ten głuchoniemy, którego dopiero co przyjął do siebie kapitan Kopenhaga, tylko udaje, i że można go skłonić podstępem do mówienia.

Tak – zdecydował Fairchild. – Zaskarbię sobie sympatię kłowna, jak mu o tym wszystkim powiem.

Jacky stał dłuższą chwilę przy oknie, które wcześniej zamknął Doyle, patrząc na niewyraźne zarysy spadzistych dachów. W tym monotonnym krajobrazie widać było gdzieś tam zamgloną, czerwoną kropkę – latarnię, albo bursztynowy prostokąt – zasłonięte okno. Zastanawiam się, co on teraz robi – myślał Jacky. – Jakież to mroczne podwórze przemierza po cichu, w jakiej knajpie stawia kieliszek biednemu głupcowi, który niczego nie podejrzewa. A może śpi gdzieś tam, w mroku kogoś z tych poddaszy... Jakież to sny może śnić? Czy je także kradnie?

Jacky odwrócił się od okna i usiadł przy stole, na którym już czekały przybory do pisania i papier. Ujął szczupłymi palcami pióro, zamoczył stalówkę w atramencie i po chwili wahania zaczął pisać:

2 września, 1810

Droga matko!

Choć wciąż nie mogę podać ci adresu, pod którym mogłabyś mnie znaleźć, zapewniam cię, iż czuję się dobrze & mam co jeść & mam dach nad głową. Wiem, że uważasz to za niebezpieczne i afektowane szaleństwo, lecz czynię pewne postępy, by znaleźć tego człowieka – jeśli można określić go takim mianem – który zabił Colina; i choć powtarzałaś mi wielokrotnie, że jest to zadanie policji, proszę cię jeszcze raz, byś uwierzyła mi na słowo, iż policja nie jest odpowiednio przygotowana, by schwytać – a nawet uznać za fakt – istnienie człowieka tego rodzaju. Zamierzam go zabić, gdy tylko będzie to możliwe, narażając się przy tym na minimum ryzyka, a następnie powrócić do domu, gdzie, jak ufam, wciąż mnie oczekujecie. A tymczasem jestem pośród przyjaciół, niebezpieczeństwo zaś, które mi zagraża, jest o wiele mniejsze, niż to sobie zapewne wyobrażacie; a jeśli zechcecie, pomimo mego obecnego i godnego pożałowania nieposłuszeństwa wobec waszych życzeń, zachować dla mnie ciepło i miłość, które tak szczerze okazywaliście w przeszłości, to sprawicie swej kochającej i czulej córce głęboką radość,

Elizabeth Jacqueline Tichy.

Jacky machała kartką, aż wysechł atrament, następnie złożyła ją, zaadresowała i zapieczętowała woskiem ze świecy. Zamknęła drzwi na klucz, zrzuciła z siebie obszerne ubranie i nim rozłożyła koję, która była przytwierdzona haczykiem do ściany, ściągnęła wąsy, potarła energicznie górną wargę, po czym przytwierdziła pasemko pokrytych klejem włosów do ściany.

Rozdział 5

*Większość ludzi, po zjedzeniu posiłku, rozbija skorupki jajek.
Czyniono tak niegdyś, by czarownice nie użyły ich jako łodzi.*

Francis Grose

Covent Garden nabierał w sobotni wieczór zupełnie innego charakteru niż o świcie; był niemal równie zatłoczony i z pewnością nie mniej gwarny, lecz tam, gdzie przed dwunastoma godzinami stały rzędami wozy przekupniów, teraz zajeżdżały z wdziękiem eleganckie faetony zaprzężone w nieduże konie, dobrane odpowiednio pod względem wielkości i maści; przybywała arystokracja East Endu ze swych siedzib przy Jermyn Street i St. James, by udać się do teatru. Kamienne płyty trotuarów były co kilka minut zamiatane gorączkowo przez obdartych sprzątaczy. Każdy z nich pilnował zazdrośnie ciężko wywalzonego kawałka terenu, oczyszczając drogę przed damami i dżentelmenami, którzy mogli nagrodzić ich napiwkami. Dorycki portyk teatru Covent Garden, odbudowanego dopiero przed rokiem, po pożarze w 1808, który strawił go doszczętnie, prezentował się o wiele korzystniej w świetle latarni i złotym blasku żyrandoli niż w zimnych promieniach słońca.

Zamiatacze udawali przynajmniej, że wykonują za swoje pensy i szylingi jakąś pracę, ale byli tam też ludzie, którzy po prostu żebrali. Jednym z najsprawniejszych był cierpiący na chorobę płuc nieszczęśnik, który włóczył się po placu, nigdy nie prosząc o jałmużnę, lecz bezradnie wgrzając się w uwalany błotem, spleśniały kawał chleba, ilekroć ktoś na niego spojrzał. A kiedy zdjęta litością dama prosiła opiekuna, by spytał tę biedną duszę, co jej dolega, degenerat o zapadniętych oczach dotykał tylko ust i ucha, pokazując, iż nie mówi

ani nie słyszy, po czym skupiał swą uwagę na upiornym kawałku chleba. Jego nieszczęście wydawało się tym prawdziwsze, że nie pysznił się nim ani nie objaśniał jego przyczyn, zbierał więc tyle monet – w tym kilka pięcioszylingowych koron i nawet jednego złotego suwerena – że musiał co dziesięć czy dwadzieścia minut opróżniać swe kieszenie, przesypując pieniądze do worka Marko.

– Och, Tom Niemota – zawołał cichym głosem Marko, gdy Doyle znów przekradł się w alejkę, gdzie tamten na niego czekał. Podstawił worek, a Doyle wygrzebał z kieszeni garść drobniaków i wrzucił je do niego. – Świetnie ci idzie, przyjacielu. Teraz posłuchaj, przenoszę się na Malk Alley przy Bedford Street i pozostanę tam przez następną pół godziny. Kapujesz?

Doyle skinął głową.

– Pracuj tak dalej. I od czasu do czasu zakasłaj. Twój kaszel robi wrażenie.

Doyle znów przytaknął, mrugnął i wrócił na ulicę.

Żebrał już od sześciu dni i wciąż był zdumiony, jak dobrze mu to idzie i jak lekko mu się żyje. Przyzwyczyił się nawet do wstawania o świcie i pokonywania ze dwudziestu kilometrów dziennie, które obejmowały obie strony rzeki na zachód od London Bridge; apetyt, jakiego nabierał w czasie pracy, był obficie zaspokajany podczas wieczerzy w domu Jacka Kopenhagi przy Pye Street. Kapitan nie miał również nic przeciwko temu, by jego żebracy wstępowali czasem do tawerny na szklaneczkę, albo ucinali sobie krótką drzemkę na mostkach łączących sąsiednie ulice, czy też między barkami z węglem, które zalegały wybrzeże przy Blackfriar's Bridge.

Jednak makijaż wokół oczu sprawiał, że pękała mu skóra. To Jacky wpadła na pomysł, by nadać i tak już bladej cerze Doyle'a barwę niemal ziemistą. Obwiązała go białą chustą, jakby bolały go zęby, na głowę nałożyła czarną czapkę, a szyję zakryła czerwonym szalem – by jego twarz wydawała się przez kontrast zupełnie bezkrwista. Podmalowała też okolice oczu jakimś różem. „Będziesz dzięki temu wyglądał na pobitego – powiedziała, rozprowadzając cuchnące mazidło wokół oczodołów Doyle'a. – No i jak przypadkiem zobaczy cię Horrabin, to miejmy nadzieję, że cię nie rozpozna”.

Jacky intrygował Doyle'a. Chłopak, w bezwiednych gestach czy doborze słów, wydawał się czasem zniewieściały i z pewnością nie przejawiał zainteresowania młodymi kobietami. Jednakże pewnej środy, po kolacji, kiedy przystojny żebrak spośród Upadłych Dzentelmenów przydybał Jacky'ego w korytarzu, nazywając go swoją

gorącą bułeczką i próbując pocałować, Jacky zareagował nie tylko z niechęcią, ale wręcz z obrzydzeniem, jakby uważał coś takiego za wstrętne. Doyle nie mógł poza tym zrozumieć, dlaczego młody mężczyzna o inteligencji Jacky'ego zarabia na życie żebranią, nawet w tak miłej kompanii, jaką dowodził kapitan Jack.

Doyle sam też nie zamierzał pozostawać tu długo. Za trzy dni, we wtorek jedenastego września, miał przybyć do Londynu Ashbless, i Doyle był zdecydowany spotkać się z nim, zaprzyjaźnić, a potem nakłonić jakoś, choć Ashbless nigdy podobno nie cieszył się zamożnością, by pomógł mu znaleźć przyzwoitą pracę. Wiedział, że człowiek ten ma przybić do londyńskich Doków na pokładzie fregaty „Sandoval” o dziewiątej rano, a o dziesiątej trzydzięci napisać pierwszą wersję swego najśłynniejszego poematu *Dwanaście godzin nocy*, siedząc w sali frontowej kawiarni Jamaica. Doyle zamierzał odłożyć trochę zarobionych na zebraniu pieniędzy, nabyć porządne ubranie i spotkać się tam z Ashblessem. Po dogłębnym przestudiowaniu historii tego człowieka miał wrażenie, że zna go już całkiem nieźle.

Nie dopuszczał do siebie myśli, że Ashbless może nie zechcieć, lub nie być w stanie, mu pomóc.

– Mój Boże, Stanley, spójrz na tę nieszczęsną istotę! – rzekła jakaś dama, zstępując ze stopnia powozu na trotuar. – Daj mu szylinga!

Zachowując się tak, jakby nie słyszał, Doyle powrócił do gryzienia brudnego kawałka chleba, w który wyposażył go sześć dni wcześniej kapitan Jack. Stanley narzekał, że jeśli da Doyle'owi szylinga, to nie starczy mu na drinka po przedstawieniu.

– Przedkładasz swój wstrętny trunek nad zbawienie duszy, co? Robi mi się niedobrze na twój widok. Ty, z tym chlebem, czy co to tam trzymasz! Kup sobie za to porządny posiłek.

Doyle pamiętał, by odczekać odpowiednio długo, a dopiero potem, gdy już kobieta do niego podejdzie, unieść gwałtownie głowę, jakby w przestachu, i dotknąć palcem ust i ucha. Wyciągała ku niemu dłoń, w której trzymała bransoletkę.

– Och, spójrz tylko, Stanley, w dodatku jeszcze nie mówi ani nie słyszy. Ten biedak żyje jak pies.

Pomachała ku niemu bransoletką, a on przyjął ją z uśmiechem wdzięczności. Para ruszyła w stronę teatru, Stanley pomrukiwał coś pod nosem, Doyle zaś schował ciężką bransoletkę do kieszeni.

A potem, rozmyślał wlokąc się przed siebie, kiedy już Ashbless pomoże mi stanąć na nogi w tym przeklętym wieku, jeśli zdecyduję się – a wyobrażam sobie, że tak – powrócić do domu, w czasy, kiedy

to funkcjonuje pierwsza pomoc, środki znieczulające, inspektorzy zdrowia, kina, ubicacje ze spluczkami i telefony, skontaktuję się, zachowując ostrożność, z tym przerażającym doktorem Romany i dogadam się z nim jakoś, by podał mi lokalizację najbliższej szczeliny. Do diabła, mógłbym nawet zmusić go jakimś podstępem, by pozwolił mi znaleźć się w obrębie pola, gdy szczelina będzie się zamykać! Musiałbym się jednak upewnić, że nie znajdzie i nie zabierze mi mobilnego haczyka. Zastanawiam się, czy dałoby się go połknąć.

Od kilku minut czuł nasilające się drapanie w gardle, a że nadchodziła powolnym krokiem elegancka para, dał próbkę swego talentu. Starał się jednak nie robić tego zbyt często, gdyż ten udawany wysiłek przeradzał się szybko w najprawdziwszy paroksyzm skręcający płuca, a w ciągu paru ostatnich dni stan jego gardła znacznie się pogorszył. Podejrzewał ponuro, że było to rezultatem przymusowej kąpieli, jaką tydzień wcześniej zażył w zimnych wodach potoku Chelsea.

– Matko Boska, James, ten chodzący trup wykrztusi za chwilę swoją wątrobę. Daj mu coś na drinka.

– Szkoda marnować pieniądze na tego gościa. I tak umrze przed świtem.

– No... pewnie masz rację. Tak, z pewnością.

Dwaj mężczyźni oparli się o żelazne pręty ogrodzenia otaczającego skrzydła teatru. Jeden z nich strzepnął popiół z cygara, po czym zaciągnął się głęboko. Koniuszek cygara rozżarzył się w ciemności.

– Spytałem kogoś – powiedział cicho do partnera – a on mi powiedział, że ten chłopak to głuchoniemy zwany Tomem Niemotą. Jesteś pewien, że to on?

– Szef jest pewien.

Pierwszy mężczyzna patrzył na stojącego po drugiej stronie ulicy Doyle'a, który zebrał się i ruszył chwiejnym krokiem przed siebie, znów udając, że gryzie kawałek chleba.

– Nie wygląda na niebezpiecznego.

– Ale niebezpieczna jest sama jego obecność, Kaggs. Nie powinno go tu być.

– Chyba tak. – Kaggs wyciągnął z rękawa długi, cienki nóż, sprawdził machinalnie kciukiem jego ostrze, po czym schował go z powrotem. – Jak chcesz to zrobić?

Drugi mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Nie powinno być kłopotów. Walnę go i przewrócę na ziemię, a ty będziesz udawał, że pomagasz mu wstać. Nie zapinaj płaszcza, to nikt niczego nie zauważy, a potem uderz go nożem pod obojczyk, ostrzem prostopadle do kości. Przebiega tam duża arteria, nie możesz w nią nie trafić. Umrze w ciągu kilku sekund.

– Dobra. Idziemy.

Rzucił cygaro na ulicę, po czym obaj ruszyli spod ogrodzenia w stronę Doyle'a.

Z twarzy pokolorowanej barwnym tłuszczem wyzierały oczy w czerwonych obwódkach. Horrabin postąpił dwa kroki naprzód, stukając hałaśliwie szcudłami.

– Obserwowali go, a teraz idą za nim – stwierdził chrapliwym szeptem, tak różnym od swego wysokiego głosu. – Jesteście pewni, że nie są od nas?

– Nie widziałem ich nigdy na oczy, wasza Wielmożność – odparł jeden z mężczyzn stojących znacznie niżej na trotuarze.

– Więc nie czekajcie, aż cały ten tłum zniknie w teatrze – syknął kłown. – Bierzcie Toma Niemotę od razu.

Gdy trójka mężczyzn ruszyła biegiem za Doyle'em i jego dwoma prześladowcami, Horrabin uderzył pięścią w białej rękawiczce o ceglany mur alejki i wyszeptał:

– Niech cię diabli, Fairchild, dlaczego nie przypomniałeś sobie wczoraj?

Muszę wrócić do 1983, zanim ten kaszel mnie wykończy, myślał nieszczęśliwy Doyle. Zastrzyk z penicyliny czy coś w tym rodzaju załatwiłby sprawę w kilka dni, a jeśli pójdę do lekarza tutaj, to drań zapisze mi pewnie pijawki. Znów czuł w gardle nasilające się swędzenie, ale znosił je dzielnie. Zastanawiam się, myślał dalej, czy nie rozwinęło się już zapalenie płuc. Do diabła, zdaje się nawet, że już niewiele na tym zarobię. Nikt nie chce dawać jałmużny żebrakowi, który wygląda, jakby miał za kilka minut umrzeć. Może kapitan...

Ktoś podstawił mu nogę, i nim Doyle zdążył uskoczyć, poczuł silne uderzenie w ramię, po czym runął wprost na bruk, ocierając sobie dłonie. Osobnik, który go przewrócił, poszedł sobie dalej, ale ktoś inny przykleknął obok.

– Nic ci się nie stało?

Doyle, oszołomiony, zaczął gestykulować jak głuchoniemy, ale w jednej chwili mężczyzna przyłożył Doyle'owi rękę do twarzy, przytrzymując mu szczękę podbiciem dłoni, ostrze noża zaś trzymanego w drugiej skierował ku jego ramieniu. Doyle dostrzegł nóż i szarpnął się do tyłu, tak że ostrze przejechało po płaszczu i skórze, ale ześliznęło się z obojczyka. Próbował krzyknąć, ale zdołał jedynie wydać z siebie głośny pomruk, mając usta wciąż zasłonięte dłonią; napastnik klęczał na jego drugim ramieniu i zamierzał się do następnego pchnięcia.

Nagle coś walnęło od tyłu w mężczyznę, który wywinął do przodu koziółka, a jego nóż upadł z brzękiem na bruk ulicy. Nad Doyle'em stało teraz trzech mężczyzn. Dwóch z nich szybko wsunęło mu dłoń pod pachy i podniosło go.

– Uratowaliśmy ci życie, Tommy – powiedział jeden, zdyszany. – Pójdiesz teraz z nami.

Doyle pozwolił im prowadzić się tam, skąd przyszedł, podążając szybkim truchtem, gdyż zakładał, że to żebracy Jacka Kopenhagi pospieszyli mu z pomocą; po chwili dostrzegł postać Horrabina, przypominającą wielkiego wyprostowanego świerszcza i uświadomił sobie, że doktor Romany wpadł na jego trop.

Wysunął jedno ramię do przodu, po czym walnął łokciem w żołądek człowieka po lewej stronie, a gdy mężczyzna zgiął się w pół, Doyle wpakował pięść w gardło tego po prawej. Ten też się pochylił, a wtedy Doyle ruszył biegiem w stronę południową, gnany do przodu siłą prawdziwej paniki, ponieważ za dobrze pamiętał żar cygara na swojej powiece. Słyszał tuż za plecami tupot trzeciego mężczyzny.

Skręcił z głównej ulicy i pędził teraz jakąś alejką. Kroki biegnącego z tyłu odbijały się przerażająco bliskim echem, więc kiedy ujrzał stos skrzynek z obierkami pod ścianą jakiegoś budynku, wyciągnął rękę i szarpnął jedną z nich; wykonując gwałtowny ruch, stracił jednak równowagę i runął jak długi, ślizgając się na biodrze a potem na skaleczonym ramieniu; skrzynki rozsypały się jednak na drodze jego prześladowcy, który potknął się o nie i upadł, uderzając brzuchem o trotuar. Leżał nieruchomo twarzą do ziemi, bez tchu, a być może i życia. Doyle podniósł się z jękiem, po czym pokuśtykał, najszybciej jak tylko mógł, w głąb alejki.

Minął dwie wąskie uliczki i podązał przed siebie, aż do następnej przecznicy, i po chwili znalazł się na jasno oświetlonym Strandzie, zaledwie kilka ulic od Korony i Kotwicy. Szybki bieg znów

przyprawił go o kaszel. Nim zdołał go opanować dostał od zdjętego grozą przechodnia szylinga i czteropensówkę, Kiedy znów złąpał oddech, ruszył powoli na zachód, gdyż zaświtało mu nagle, że jest sobotni wieczór, ten, w którym miał według pierwotnego planu wystąpić Coleridge, i że poeta, którego w obecnej sytuacji nie stać było co prawda na udzielanie komukolwiek pomocy finansowej, umożliwi mu, być może, bezpieczne dotarcie do siedziby kapitana Jacka. Do licha, pomyślał Doyle, może nawet pamięta mnie sprzed tygodnia.

Nie dostrzegając jasnych witryn sklepów i restauracji, które miał, szedł szybkim krokiem po trotuarze, lekko zgięty, by zmniejszyć nieco ból w boku, kulejąc i oddychając astmatycznie. Dostrzegł jakąś kobietę, która pod wpływem niekłamane go strachu cofnęła się na jego widok, i uświadomił sobie, jak groteskowo musi wyglądać ze swoim makijażem, w podartym ubraniu, poruszając się jak sponiewierany karaluch; ocknąwszy się nagle, wyprostował się i zwolnił kroku.

Tłum, który rozstępował się przed nim w pośpiechu, zdawał się być równie anonimowy jak kolejka do autobusu. Doyle dostrzegł jednak przerażająco wysoką postać, która wyłoniła się nagle z bocznej uliczki i zastąpiła mu drogę. Biały, spiczasty kapelusz wieńczył głowę niczym pisanka wielkanocna. Doyle sapnął z wrażenia, odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać, słysząc stukot szczudeł, które uderzały o trotuar.

Horrabin sadził bez trudu trzymetrowe kroki, nawet jeśli musiał omijać przechodniów, gwizdząc jednocześnie, na przemian wysoko, na przemian nisko. W uszach przerażonego Doyle'a brzmiało to jak syreny gestapowskich wozów w starych filmach o drugiej wojnie światowej.

Gwizd zwabił z bocznych alejek i sieni domów kilku żebraków; byli to milczący osobnicy, którzy wyglądali na niezwykle silnych. Dwaj, znajdujący się naprzeciwko Doyle'a, ruszyli w jego stronę, a trzeci, który stał po drugiej stronie ulicy, zachodził go z boku.

Zerkając przez ramię, Doyle uchwycił w ułamku sekundy zastygłą w bezruchu sylwetkę Horrabina, oddaloną zaledwie o jeden długi krok szczudeł. Twarz kłowna, wykrzywiona obłąkańczym uśmiechem, przypominała paszczę chińskiego smoka. Wysuwał, podobny do szpona, biały palec. Doyle zeskoczył z trotuaru na ulicę; poleciał na łeb na szyję, unikając zaledwie o centymetry spotkania z grzmiącymi kopytami konia, po czym zerwał się na nogi i wskoczył na sto-

pień powozu, przytrzymując się jedną dłonią za framugę okna, drugą za krawędź dachu.

W środku jechał starszy człowiek i młoda dziewczyna.

– Błagam, jedźcie prędzej – sapnął Doyle – Ściga mnie...

Starszy człowiek uniósł gniewnie cienką laskę, ustawił ją poziomo, po czym uderzył jej końcem w pierś Doyle'a, jakby rozpoczęła potężnym uderzeniem grę w bilard. Doyle poleciał w tył, jak rażony pociskiem, i choć zdołał wylądować na stopach, z miejsca upadł na kolana i dłonie, po czym przekoziółkował kilka razy.

Jednooki osobnik o zniekształconej twarzy, kulący się we wnęce domu, klasnął bezgłośnie w cienkie jak z papier *mâché* dłonie.

– O, tak, tak! A teraz do rzeki, Doyle! Jest na drugim brzegu coś, co chcę ci pokazać – zaskrzeczał Szęśliwy Traf żebraków z Surrey.

– Niechaj Bóg ma nas w swojej opiece, postrzelili go! – wrzasnął Horrabin. – Schwytajcie go, dopóki tli się w nim jeszcze oddech, wy parszywcy!

Doyle stał już na nogach, ale zdawało się, że z każdym oddechem ból w jego płucach wzrasta. Pomyślał, że jeśli teraz zacznie kaszleć, to umrze. Jeden z jego prześladowców był zaledwie o kilka kroków dalej, zbliżając się z uśmiechem świadczącym o pewności siebie, więc Doyle pogrzebał w kieszeni, wyciągnął ciężką bransoletkę i cisnął nią z całej siły w twarz mężczyzny, po czym, nie patrząc nawet na efekt swego działania, odwrócił się i kuśtykając pobiegł na drugą stronę ulicy, przeskoczył trotuar i zniknął w bocznej uliczce.

– Zostaniecie pożarci na jutrzejszej wieczerzy, jeśli go do mnie nie przyprowadzicie! – krzyczał Horrabin, tocząc pianę z ust o barwie cynobru i tupiąc z wściekłości szcudłami o kamienny trotuar.

Jeden z jego żebraków pospieszył naprzód, ale źle skalkulował prędkość nadjeżdżającego powozu i dostał się pod kopyta koni, jedno zaś z przednich kół przejechało mu po brzuchu, nim woźnica zdołał szarpnąć lejce i zatrzymać wehikuł. Ruch na tym odcinku Strandu został całkowicie wstrzymany, woźnice krzyczeli na siebie, niektórzy smagali się nawet batami.

Horrabin zszedł z trotuaru i zaczął przeciskać się przez tłum, zmierzając ku przeciwnej stronie ulicy.

* * *

Doyle wynurzył się spomiędzy dwóch budynków i zaczął schodzić z łomotem po wiekowych, drewnianych schodach, które prowadziły ku czemuś w rodzaju bulwaru z desek, biegnącemu wzdłuż brzegu rzeki. Dotarł szybko na koniec jakiegoś pomostu i przycupnął za wysoką drewnianą skrzynią. Oddychał coraz wolniej, aż wreszcie mógł zamknąć usta. Nad rzeką panował chłód, więc Doyle był zadowolony, że Jack Kopenhaga nie kazał swoim żebrakom ubierać się przy złej pogodzie skapo, choć mogliby dzięki temu wzbudzać litość. Ściągnął z obojczyka marynarkę i koszulę; rana po nożu wciąż krwawiła obficie, wydawała się jednak niezbyt głęboka.

Kto to, u licha, był?, myślał. Chyba nie ludzie doktora Romany czy Horrabina, bo jak twierdził Jacky, chcieli mnie bez wątpienia żywego. Może to jakiś ich rywal... albo nawet działający w pojedynkę, obłąkany morderca włóczęgów, pierwowzór Kuby Rozpruwacza. Doyle dotknął ostrożnie długiego nacięcia. Pomyślał: Dzięki Bogu, że człowiek Horrabina nadbiegł we właściwym momencie.

Potarł sobie klatkę piersiową, a potem wciągnął na próbę powietrze, napełniając płuca. Piekło go za mostkiem i chociaż odniósł najpoważniejsze obrażenia w życiu – jak na razie – nie czuł żadnego chrobotania kości; straszliwa laska starszego człowieka najprawdopodobniej niczego mu nie złamała. Odetchnął i oparł się znużony o skrzynię, huśtając nad wodą nogami.

Żółte plamki lamp na przepływających łodziach i ich refleksy nakrapiały blaskiem czerń wody jak na obrazie Moneta, a światła arcybiskupiego pałacu Lambeth widoczne na niedalekim horyzoncie przypominały płonący łańcuch. Zdawało się, że księżyc – blady, pomarańczowy sierp – kołysze się na balustradzie Blackfriars Bridge, który znajdował się prawie o kilometr dalej, na wschód. Za plecami i wysoko nad nim, po prawej stronie, migotały światła domów dzielnicy rezydencjalnej Adelphi; przypominały jakiś fantastyczny statek, oglądany z poziomu wody. Gdy wiatr cichł, docierały do niego stamtąd dźwięki muzyki.

Czuł, jak w gardle i piersiach znów narasta kaszel, ale stłumił go siłą strachu, gdy posłyszał za plecami powolny, ciężki stukot, dochodzący od strony drewnianego bulwaru.

Jacky dziękowała Bogu, że woda w podziemnym kanale płynie dostatecznie szybko, by nie trzeba było w czasie tej podróży korzystać ze steru. Gdyby przesunął się w prawo, uderzyłby ją w głowę; i gdyby ludzie w łodzi nie odpychali się jedynie dragami od ścian tunelu, ilekroć prąd spychał ich na bok, poczuliby od razu, że ciągną za sobą pasażera na gapę. Im bliżej było do rzeki, tym woda wirująca wokół jej szyi stawała się coraz zimniejsza, lecz Jacky mogła tylko zaciskać zęby, by nie szczękały. Starła się trzymać głowę ponad wodą, gdyż miała ukryty w turbanie mały pistolet skałkowy, a nie chciała zamoczyć ładunków. Pochodnie na dziobie i rufie migotały w cuchnących powiewach wiatru, rzucając chwilami przyćmiony, czerwony blask, a chwilami rozbłyskując i oświetlając każdy kamień łukowego sklepienia tuż nad głowami płynących.

Jeszcze przed pięcioma minutami było jej sucho i ciepło, gdy smażyła nad ogniem kielbaski w kuchni Szczurzego Zamku Horrabina przy Maynard Street. Założyła swój strój hinduskiego żebraka Ahmeda, to znaczy turban, sandały i obszerną szatę uszytą z perkalowej narzuty na łóżko, twarz zaś i dłonie posmarowała mazidłem z orzechów włoskich, a wąsy, które zawsze nosiła, uzupełniała sztuczną brodą, gdyż zauważyła w Szczurzym Zamku Fairchilda, a nie chciała być rozpoznana jako jeden z ludzi Jacka Kopenhagi. Doktor Romany przybył pół godziny wcześniej. Usadowił się na jednej z huśtawek Horrabina, ściągnął swe dziwaczne buty i zagłębił się w raportach morskich.

Wówczas wpadł jeden z żebraków Horrabina, dobrze zbudowany, starszy jegomość o czerwonej twarzy. Dyszał ciężko, zdołał jednak już na progu wykrztusić nowiny: „Doktorze Romany... Prędko... Był na Strandzie, a teraz zmierza na południe, w stronę rzeki... Został postrzelony...” „Kto? Kogo postrzelono?” – Romany zeskoczył z huśtawki, zapominając o swoich sprężynowanych butach. Jego starczą twarz wykrzywił grymas bólu; szybko wspiął się z powrotem na huśtawkę i nałożył buty. „Kogo, mów, do diabła?”, warknął. „Nie wiem... Simmons widział to i... posłał mnie po pana. Powiedział, że to ten człowiek, za którego... oferował pan nagrodę”.

Romany zdążył już nałożyć i zasnurować swoje buty, po czym znów zeskoczył z huśtawki i balansował teraz z wprawą na mocnych sprężynach”. Który? To musi być Joe Psia Twarz. Nigdy nie ośmieliliby się strzelać do Amerykanina. No więc, gdzie on jest? Na Strandzie, mówisz?”, spytał. „Tak, sir. I podąża na południe, wzdłuż Adelphi. Byłoby najszybciej, wasza Wielmożność, popłynąć w łodzi pod-

ziemnym kanałem, który wypływa wprost na Łuki Adelphi. Wszystkie ścieki mkną szybko po deszczach”, wyjaśnił. „Prowadź – i popiesz się. Znam starego Joe od lat i wiem, że jeśli nie zabili go na miejscu, wymknie im się”.

Kiedy obaj mężczyźni zbiegli po schodach prowadzących do piwnicy, Hindus Ahmed ruszył w ślad za nimi, zapominając o kiełbaskach. Wygląda na to, że go mają, pomyślała Jacky, czując jak bardzo bije jej serce. – Zmusiła się do wolniejszego kroku, by jej nie dostrzegli albo nie posłyszeli. – Boże, spraw, by jeszcze żył; i pozwól mi zbliżyć się do niego na tyle, bym mogła wpakować mu w głowę kulę. I gdybym jeszcze miała chwilę czasu, by szepnąć mu słowo, wyjaśnić, kim jestem i dlaczego zamierzam go zabić... i w końcu – dodała w myślach tęsknie – mogłabym wrócić do domu.

Dotarli do starego, kamiennego doku w piwnicy. Dwaj żebracy zaczęli odwiązywać łódź i zapalać pochodnie, doktor Romany zaś wpatrywał się niecierpliwie w głąb mrocznego tunelu. Jacky zdołała przemknąć nie zauważona po kamiennym nabrzeżu i zanurzyć się cicho w zimnej, czarnej wodzie. Łódź, którą obaj mężczyźni podciągnęli bliżej, by doktor Romany mógł zejść do niej, miała przymocowane do krawędzi burty pierścienie, o które zaczepiało się płócienny dach. Jacky przełożyła przez jeden z nich dwa palce i pozwoliła się ciągnąć, gdy łódź odbiła od doku i skierowała się ku silniejszemu prądowi.

– Ha, ha! – rozległ się wysoki, ptasi głos kłowna. – A gdzież to jest mój stary przyjaciel Tom Niemota?

Szczudła stukały o drewno, gdy Horrabin chodził tam i z powrotem po deskach bulwaru. Słyszać było jeszcze tylko podmuchy kapryśnego wiatru poruszającego linami łodzi rybackich zacumowanych w pobliżu i plusk wody o słupy nabrzeża.

Doyle, siedzący za skrzynią na końcu pomostu, starał się nie odychać i zastanawiał się, jak długo zdoła wytrzymać, nim zerwie się na równe nogi i krzyknie: „Skończ z tym, tu jestem, przecież wiesz o tym”!, gdyż w głosie kłowna pobrzmiwała nutka złośliwości, jakby naprawdę wiedział, gdzie ukrywa się Doyle.

Słyszał powolne tupanie, gdy Horrabin chodził to w jedną, to w drugą stronę. Mój Boże, pomyślał Doyle, jeśli ten potwór zacznie iść w moją stronę, wskoczę do wody i popłynę w kierunku Lambeth, nim zdąży zrobić trzy kroki. Potem wyobraził sobie, jak kłown rzuca

się za nim do czarnej wody, jak wyszczerzona, pomalowana twarz, którą dojrzy z tyłu, zbliża się do niego w zawrotnym tempie, podczas gdy on, Doyle, stara się płynąć pomimo drętwiącego barku. Zdawało się, że oszalałe bicie serca rozdziera go na pół.

– Horrabinie! – dobiegło wołanie z prawej strony – Gdzie on jest?

Doyle uświadomił sobie ze zgrozą, że to głos doktora Romany.

Klown zachichotał – jego śmiech przypominał cykanie stu oszalałych świerszczy – a potem zawołał: „Tutaj”. Szczudła zastukały niedaleko pomostu.

Z nagłym krzykiem, który przeraził nawet jego, Doyle zeskoczył z pomostu, ledwie łapiąc oddech przed zanurzeniem się w zimnej wodzie. Wypłynął na powierzchnię i zaczął rozpaczliwie płynąć.

– Co to było? – głos doktora Romany niósł się wyraźnym echem po wodzie. – Co się dzieje?

Horrabin zbliżył się na swoich szczudłach do krawędzi pomostu.

– Jest w wodzie. Pokażę ci gdzie.

Zagwizdał, bardziej preraźliwie i melodyjnie niż wtedy, gdy wzywał żebraków na Strandzie, a potem zastygł w oczekiwaniu, wodząc wzrokiem po brzegu rzeki.

Gdy tylko wynurzyli się z tunelu, by po chwili przepłynąć pod Łukami Adelphi i wydostać się na wody Tamizy, Jacky wysunęła z pierścienia zdrewniałe palce i pozwoliła, by łódź oddaliła się od niej. W samą porę, powiedziała sobie, gdyż w chwilę później jeden z żebraków przeszedł na rufę i ujął drążek steru, a drugi podniósł z dna parę wiosel i zaczął je umieszczać w uchwytych przy burcie. Doktor Romany zapytał o coś donośnym głosem i Jacky usłyszała niewyraźną odpowiedź, ale płynęła do połowy zanurzona w wodzie, więc nie mogła zrozumieć słów. Potem rozległ się krzyk, krótki, ale tak głośny, że słycać go było w promieniu prawie dwóch kilometrów. Po czym dotarł do niej słaby głos Horrabina: „Jest w wodzie. Pokażę ci gdzie”.

Wiosła w łodzi zaskrzypiały po raz pierwszy, gdy dotarła do brzegu i wydostała się z wody.

Doyle, który zdążył pokonać jakieś sto dwadzieścia metrów, uspokoił się nieco i zaczął płynąć po cichu pieskiem. Jeśli coś się pojawi obok mnie, myślał, łódź albo pływak, zanurkuje i przepłyne pod wodą

tak daleko jak zdołam, a potem wysunę powoli głowę i odetchnę bezgłośnie. Do diabła, przy odrobinie szczęścia powinienem im umknąć... A przy znacznie większym szczęściu zdołam dotrzeć jakoś do brzegu, nim opuszczą mnie siły.

Prąd znosił go w lewo, oddalając od doktora Romany. Usłyszał nowy dźwięk, skrzypienie dulek przy burcie łodzi po prawej stronie.

Horrabin uśmiechnął się, gdyż pod drugim pomostem od lewej dostrzegł przyćmiony blask, który, wydostawszy się z ukrycia, zmienił się w rój maleńkich światełek wirujących na powierzchni ciemnej rzeki. Klown wskazał miejsce, z którego dopiero co dotarł plusk wody, po czym flotylla światełek pomknęła naprzód, równie szybko jak pędzone wiatrem płatki jakiegoś fosforyzującego kwiatu.

– Niech pan płynie za tymi światełkami, doktorze Romany! – zawołał wesoło Horrabin.

Jakich świateł? – zastanawiał się Doyle. Najbliższe światła widać po drugiej stronie rzeki. Pewnie, doktorze, niech pan tam płynie, kiedy ja będę dryfował na wschód.

Rozgarniał spokojnie wodę nogami i prawym ramieniem, oszczędzając lewe. Utrzymanie się na powierzchni nie stanowiło problemu; odkrył, że płynąc raz na brzuchu, a kiedy indziej leżąc na plecach i wolno rozgarniając wodę, był w stanie utrzymać twarz nad powierzchnią, nie nadwyrężając zbytnio żadnego mięśnia. Prąd spychał go w stronę Blackfriars Bridge i Doyle żywił nieśmiałą pewnością, że zdoła wdrapać się na jeden ze słupów, a gdy jego prześladowcy uznają, że zatonał, popłynie od przęsła do przęsła, by w końcu dotrzeć do brzegu.

Nagle zorientował się, jakie światła miał Horrabin na myśli, gdyż to, co wydawało się z początku mnóstwem pływających po rzece światełek, zmierzało teraz w jego kierunku. Zanurzył głowę pod wodę i starając się nie zdradzać ruchem nóg miejsca, w którym się znajdował, skierował się na prawo od kursu, jaki obrały światełka.

Jego nieśmiała pewność siebie zniknęła. To pachniało magią, czyż Jacky nie powiedział, że doktor Romany był magiem? Najwidoczniej Horrabin też nim był, i Doyle poczuł się nagle jak człowiek, który szykuje się do walki na pięści i widzi, że jego przeciwnik wyciąga z cylindra rewolwer.

Płynął pod wodą tak długo jak tylko zdołał. Wynurzył się potem, nie oddychając zbyt gwałtownie, po czym popłynął dalej, trzymając głowę nad powierzchnią. Powoli uniósł dłoń i odsunął kosmyk mokrych włosów sprzed oczu.

Zastygł na chwilę w bezruchu, osłupiały, gdyż okazało się, że światła cały czas płynęły za nim i teraz otaczały go ze wszystkich stron. Przyjrzał się kilku najbliższym i zauważył, że to przepołowione skorupki jajek z maleńkimi pochodniami, masztami ze słomek i papierowymi żaglami, a także – i nawet nie przyszło mu do głowy, by przepisać tę wizję gorączce – maleńkimi ludzikami, nie większymi od jego małego palca, przycupniętymi w swych stateczkach i poruszającymi z wprawą śmiesznymi masztami, by utrzymać się na kursie.

Doyle wrzasnął i zamachał wokół siebie ramionami, by poprzewracać małe łódki, po czym, nie czekając na efekty swojego działania, wciągnął z łkaniem powietrze w płuca i znów zanurkował.

Czując, że zapas powietrza w płucach zaczyna napierać na zaciśniętą krtani, i będąc przekonany, że za chwilę uderzy głową o kamienne filary mostu, ponownie wynurzył się spod wody. Mikroskopijni żeglarze w skorupkach znowu otaczali go pierścieniem, trzymając się na odległość dwóch ramion. Choć skrzywienie wiosła w łodzi doktora Romany słyhać było coraz bliżej, Doyle nie odpływał, utrzymując się na powierzchni nieznacznymi ruchami ciała, by złapać oddech.

Coś chlupnęło z dużą siłą w wodę jakieś dwa centymetry od jego policzka, obryzgując mu oko. W chwilę później usłyszał przebiegający po wodzie od strony brzegu huk wystrzału. Odpowiedziano natychmiast strzałem z łodzi doktora Romany, ale ponieważ znajdowała się ona w ruchu, pocisk był źle wymierzony i wzbił fontannę wody pośród rozświetlonych skorupek, wyrzucając jedną z nich w górę.

Boże, strzelają do mnie z wszystkich stron, pomyślał Doyle z rozpaczą, ponownie wciągając w płuca powietrze i chowając się pod wodę. – Nie chcą mnie już nawet złapać żywcem.

Horrabin zerknął w lewo, kiedy gdzieś w dole, pośród łodzi rybackich, rozległ się strzał. Po chwili poderwał głowę, gdyż rozległ się huk drugiego strzału, tym razem z łodzi doktora Romany. Kłown zobaczył, jak nad powierzchnię wody wyskakuje maleńkie światło,

po czym gaśnie spadając w dół, i uświadomił sobie, że szef Cyganów strzela do uciekającego człowieka.

Horrabin przyłożył natychmiast zwinięte dłonie do ust i zawołał: „Myślałem, że chcesz go żywego!”. Nastąpiła chwila ciszy, a potem poniósł się echem głos doktora Romany: „Czy to nie Joe Psia Twarz?”. „To Amerykanin”, odparł kłown. „Oby mnie pożarł Apofis. Więc czemuś strzelał do niego, przeklęty głupcze?”, zawołał Romany.

Jacky zdążyła już wyciągnąć z pobliskiej łodzi rybackiej sieć, rzucić na dno jednego z czółen i zepchnąć je na wodę, gdy usłyszała, jak Horrabin woła głosem jeszcze bardziej przeraźliwym ze strachu: „To nie ja, do diabła, przysięgam, wasza Wielmożność! To ktoś tu w dole, między łodziami – teraz odpływa czółnem i kieruje się w twoją stronę!”.

Jacky operowała pojedynczym wiosłem szybko i zgrabnie, mknąc w stronę pierścienia małych świateł, który przesuwał się bardziej na wschód, ku mostowi. Boże, myślała dysząc z wysiłku, przykro mi, Tom, to znaczy Doyle. Za bardzo chciałam zabić Joego Psia Twarz. Przepraszam cię, Boże, spraw, by nie był zabity”.

Ze strachu zrobiło jej się zimno i niedobrze, gdyż wyglądało to na dobry strzał, a mierzyła prosto w niewyraźny zarys głowy.

Jej czółno poruszało się szybciej od wielkiej łodzi doktora Romany, poza tym wystartowała od wschodniej strony, więc gdy Doyle znów wynurzył się spod wody – ponownie w samym środku nieomylnego kręgu światła – znajdowała się niemal o sto metrów bliżej celu niż doktor Romany.

– Doyle! – zawołała czując głęboką ulgę, że widzi go żywego. – To ja, Jacky. Czekaj na mnie.

Doyle był tak wyczerpany, że niemal poczuł niechęć, usłyszawszy głos Jacky. Pogodził się już z myślą, że go złapią, próba ratunku zaś podjęta przez młodego człowieka wymagałaby kolejnych wysiłków i najprawdopodobniej nie dałaby niczego, a jedynie spotęgowała gniew doktora Romany.

– Zanurkuj tak głęboko jak tylko zdołasz, a potem znów wypłyn na powierzchnię – ponownie rozległ się głos Jacky, tym razem bliżej.

Doyle odwrócił głowę i w świetle swej lilipuciej eskorty ujrzał brodatego mężczyznę w czółnie.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia, ale nim zdążył schować się pod wodą, człowiek w czółnie powiedział:

– Czekaj – po czym podniósł dłoń i zerwał brodę. – To ja – Jacky. A teraz rób, co mówię, prędko!

Chyba jeszcze nie czas na odpoczynek, pomyślał znużony Doyle i posłusznie zanurzył się pod wodę, wypuszczając jednocześnie przez nos połowę powietrza przetrzymywanego w płucach, dzięki czemu opadał swobodnie w głąb ciemnej wody; nagle rozsunął gwałtownie nogi, by się zatrzymać, kiedy zaświtało mu, że być może nie zdąży odbić się od twardego gruntu. Pomyślał: A jeśli zanurzę się tak głęboko, że nie uda mi się wypłynąć, nim moje płuca się zbuntują i wchłoną wodę? Natychmiast zaczął machać rękami i nogami, by się wynurzyć. Poczul, jak o dłoń ociera mu się pętla liny, a potem wypłynął gwałtownie na powierzchnię.

W pobliżu rozległo się oszalałe świergotanie, jakby dochodzące z klatki pełnej podnieconych ptaków, a Jacky, wychylając się z czółna, wciągała ciężką od wody sieć rybacką, w zwojach której wciąż płonęło kilka małych światełek.

– Właż do łodzi – rzuciła Jacky. – Przez burtę przy dziobie, ja stanę dla równowagi z tyłu. Trzymaj się z dala od sieci, ci mali dranie mają noże. I pospiesz się.

Doyle spojrział w górę rzeki. Dostrzegł łódź doktora Romany w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów; słychać było bardzo wyraźnie rytmiczne uderzenia wiosła – po czym wspiał się na burtę czółna i stoczył na jego dno. Jacky przycupnęła na rufie, trzymając w wodzie wiosło.

Gdy tylko czółno przestało się kołysać, Doyle rzucił zdyszany:
– Jazda.

Jacky zaczęła wiosłować szaleńczo. Jednakże czółno, kiedy już się zatrzymało i zwiększyło swój ciężar, było dość odporne.

– Mam jeszcze jeden pistolet – zawołał doktor Romany. – Rzućcie wiosło, a nie będę strzelał.

– Nie ośmieli się – wysapała Jacky, poruszając wiosłem w nieruchomej wodzie. – Chce cię... żywego.

– Już nie – odparł Doyle, siadając ostrożnie. – Zaledwie przed minutą wszyscy do mnie strzelali.

– Myśleli, że jesteś... kimś innym.

Czółno poruszało się teraz, lecz bardzo wolno. Doyle rozróżniał zarysy trzech głów w łodzi zmierzającej w ich stronę.

– Jest zapasowe wiosło? – spytał zdesperowany.

- Płynąłeś kiedyś takim czółnem?
- Nie.
- To się zamknij.

Doyle zauważył długie rozdarcie w spodniach Jacky, po zewnętrznej stronie uda, z którego wyzierała spora, świeża rana. Otworzył usta, by spytać o to, ale dostrzegł okrągły otwór w drewnie czółna, tuż obok rufy.

- Na Boga, Jacky, zostałeś postrzelony!
- Wiem.

Nawet w słabym świetle księżycy widać było, że twarz Jacky jest pociemniała z wysiłku i mokra od potu, ale czółno płynęło teraz równie szybko jak łódź doktora Romany. Przez minutę czy dwie obie łódki zachowywały ten sam dystans, rozcinając powierzchnię wody, a dulkli klekotały w rytm oddechu Jacky; po jakimś czasie czółno przyspieszyło i zaczęło zostawiać cięższą łódź w tyle.

Tuż przed nimi zamajaczył Blackfrair's Bridge i gdy już było jasne, że zgubią ścigających, Jacky usiadła i spojrzała uważnie na wielkie kamienne łuki, ku którym spychało ich bezlitośnie.

– Północny łuk pośrodku – sapnęła Jacky i wepchnęła wiosło do wody po prawej stronie. Rozpędzone czółno przechyliło się gwałtownie i zaczęło zataczać po wodzie szeroki łuk w prawo.

Kiedy znaleźli się w jednej linii ze wskazanym przez Jacky łukiem mostu, i tak blisko niego, że Doyle widział, jak woda rozbryzguje się o kamienne filary, Jacky wyciągnęła wiosło z wody i zanurzyła po drugiej stronie; czółno znów zaczęło płynąć z prądem rzeki. Nastąpiła chwila ciemności i rozległ się grzmot wody. Poczuli, że mijają w pędzie kamienne ściany – unieśli się gwałtownie w górę i opadli w dół, Doyle zaś omal nie wylądował w wodzie – i po chwili znaleźli się na szerokim rozlewisku rzeki, na wschód od mostu. Jacky osunęła się wyczerpana z zamkniętymi oczami i dłońmi związającymi bezwładnie po bokach, starając się odzyskać oddech, podczas gdy czółno wytracało powoli szybkość.

Doyle spojrzał za siebie i uświadomił sobie, że doktor Romany nie zdoła ich naśladować wykonując ostry skręt ku szerszemu łukowi pośrodku mostu, nie będzie też ryzykował skoku przez węższy łuk, który się przed nim otwierał. Gdyby chciał kontynuować pościg, musiałby zatrzymać swoją łódź, a następnie podpłynąć do łuku, przez który przemknęło czółno.

– Zgubiłeś ich, Jacky – stwierdził Doyle z podziwem. – Na Boga, zostawiłeś ich w tyle.

– Wychowałem się... na rzece – wysapała po chwili Jacky. – Znam się... na łodziach. – Odetchnąwszy kilka razy i zaczesawszy do tyłu mokre od potu włosy, ciągnęła: – Myślałem, że Tyci Chłopcy to mit.

Doyle domyślił się, że Jacky mówi o żeglarzach w skorupkach jajek.

– Słyszałeś o nich?

– Pewnie, znam nawet pewną piosenkę. „Tyci Chłopcy do domu lalki się udali, stamtąd po cichu zabawki zabrali, tuż obok kota smacznie śpiącego, potem w skorupkach jajek zjechali – ścięciem, prosto do świata podziemnego”. I tak dalej – przypisując im wszelkie grzechy. Ludzie powiadają, że to Horrabin je stworzył – i wydaje się, że te istoty naprawdę były mu posłuszne dziś w nocy. Cały czas wskazywały mu twoje położenie. Powiadają też, że dobił targu z samym diabłem, by dowiedzieć się, jak im rozkazywać.

Oczy Doyle’a rozszerzyły się pod wpływem nagłej myśli.

– Czy kiedykolwiek widziałeś jego przedstawienie o Punchu?

– Oczywiście. Jest diabelnie sprawny... Och! Tak... chyba masz rację. Dobry Boże. Ale kukiełki Puncha są większe.

– Kieszonkowi Chłopcy.

– A ja podziwiałem jego kunszt. – Jacky podniosła wiosło i zanurzyła je w wodzie. – Lepiej płynmy – on chce cię dostać za wszelką cenę.

– Biorąc pod uwagę, że wszyscy do mnie strzelali – to znaczy do nas – można by założyć, że chcą mnie zabić. Uratowałeś mi życie, Jacky. Jak twoja noga?

– Och, piecze, ale to tylko draśnięcie. Strzelił do mnie trzy razy, gdy ty się kryłeś pod wodą, a ja zarzucałem sieci na twoją małą eskortę. Po raz pierwszy w życiu ktoś do mnie strzelał. Muszę przyznać, że niezbyt mi się to podobało.

Doyle drżał z zimna.

– Mnie się też to nie podobało. Horrabin strzelając chybił może o dwa centymetry od mojego oka.

– No... dlatego musiałem podpłynąć i wyciągnąć cię. Widzisz, to nie Horrabin do ciebie strzelał. On wiedział, kim jesteś. To ja strzelałem.

W pierwszym odruchu Doyle chciał wybuchnąć gniewem, ale widok zranionej nogi Jacky utemperował go.

– Za kogo mnie wzięłeś, i jak sądzę, doktor Romany także?

Jacky wiosłowała w milczeniu przez jakiś czas, potem odparła niechętnie:

– Myślę, że zasługujesz już na to, by usłyszeć tę historię. Sądziłszy, że jesteś człowiekiem znanym jako Joe Psia Twarz. On...

– Joe Psia Twarz? Morderca, którego uważano za wilkołaka? Zobaczył, że Jacky otwiera oczy ze zdumienia.

– Skąd o nim wiesz?

– Och, jestem dobrym słuchaczem. No więc powiedz mi, co ty i doktor Romany macie przeciwko niemu?

– Zabił jednego z moich przyjaciół. Nie, do diabła. On... zmusił mnie podstępem, bym zabił jednego z moich przyjaciół. On... Ja nigdy... nie rozmawiałem o tym z nikim, Doyle. Nie tak szczerze. Do diabła, mniejsza z tym. Czytałeś poezje Colina Lepovre'a – widzisz, Colin był... bliskim przyjacielem i... wiesz, w jaki sposób Joe Psia Twarz utrzymuje się przy życiu?

– Słyszałem, że wnika w ciała ludzi.

– Wiesz znacznie więcej, niż dajesz to po sobie poznać, Doyle. Nie sądziłem, że wie o tym chociażby sześciu ludzi w Londynie. Owszem, tak właśnie czyni. Nie mam pojęcia jak, ale potrafi przeniknąć w każdego, z kim uda mu się spędzić trochę czasu. I musi robić to raczej często, gdy bowiem tylko wniknie w nowe ciało, zaczyna się ono całe pokrywać futrem. Więc po kilku dniach staje przed wyborem: golić się od stóp do głów, albo szukać świeżego ciała. – Jacky odetchnęła głęboko. – W zeszłym roku wszedł w Colina. Myślałem, że Joe Psia Twarz musiał zatruć poprzednie ciało, tuż przed jego opuszczeniem. Colin przyszedł do mnie, nie ulegało wątpliwości, że strasznie cierpiał... – Widać było, że Jacky panuje nad swoim głosem tylko z największym wysiłkiem i choć wpatrywała się w kopułę katedry św. Pawła, Doyle dostrzegł na młodzieńczym policzku lśniąca łzę – ...działo się to w środku nocy. Byłem w domu rodziców i czytałem, kiedy otworzył drzwi i rzucił się na mnie, warcząc jak... nie wiem co, jak wielki pies czy coś takiego, i krwawiąc straszliwie z ust. Do diabła, Doyle, on tkwił w tym odrzuconym ciele, tym, które właśnie opuścił Joe, i było ono pokryte futrem, jak u mały! Rozumiesz mnie? W środku przekłetej nocy! Skąd mogłem... jakim cudem... wiedzieć, że to Colin? Niech to wszystko piekło pochłonie!

– Jacky – powiedział bezradnie Doyle, oszołomiony nieprawdopodobną historią, ale i wzruszony niekłamanym cierpieniem. – Nie mogłem wiedzieć.

Od mostu Londyńskiego dzielił ich niecały kilometr i Doyle widział po prawej ręce kadłuby barek węglowych zalegających wybrzeże od strony Surrey. Jacky skierował czołno w tamtą stronę.

– Była tam broń – ciągnęła Jacky bezbarwnym głosem – pistolet skałkowy – ten, który masz teraz pod stopą; leżał na kominku, i kie-

dy ta włochata istota wpadła do domu, zerwałem się, chwyciłem pistolet i wypaliłem jej prosto w pierś. Upadła, zalewając krwią całą podłogę. Podszedłem i stanąłem nad nią, niezbyt blisko, a ona... popatrzyła na mnie przez chwilę, nim drgnęła gwałtownie kilka razy i znieruchomiła. Wszystko było zalane krwią. Kiedy jednak ta istota spojrzała na mnie, wiedziałem, że to Colin. Kolor oczu był inny, oczywiście, ale rozpoznałem... właściwie nie wyraz twarzy... rozpoznałem w niej Colina.

Za najbardziej na wschód wysuniętymi barkami widać było oświetlony dom, a niżej pomost. Zdawało się, że Jacky płynie właśnie w tamtym kierunku. Rozświetlone wąskie okna rzucały na oleiście czarną wodę ciepły, złoty blask.

– Potem przespałem dwa tygodnie. Nikt inny nie mógł w tym czasie spać, krzychałem dzień i noc, wymiotując i bełkocząc tak obrzydliwe rzeczy, że moja niewinna matka nie mogła ich nawet zrozumieć... lecz byłem pogrążony we śnie. A gdy się przebudziłem, wyruszyłem na poszukiwanie Joego Psiej Twarzy z tym samym pistoletem, który zabił – którym ja zabiłem – Colina. – Jacky uśmiechnął się gorzko. – Rozumiesz?

– Tak. – Doyle zastanawiał się, ile z tej fantazji godnej Lovecrafta jest prawdą. A może to jedna z tajemniczych Tańczących Małp wtargnęła do domu Jacky'ego mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Lepovre postanowił zniknąć. Doyle zastanawiał się też, czy nie chodzi tu czasem o coś więcej niż tylko o żal po bliskim przyjacielu. Czy jego pierwsze wrażenie dotyczące Jacky'ego było słuszne? – To banalne, co powiem, Jacky, ale uwierz – jest mi przykro.

– Dziękuję. – Jacky zwolniła bieg czółna, zanurzając wiosło w wodzie. Sunęli teraz powoli i bezgłośnie wzdłuż nabrzeża. W końcu Jacky chwyciła linę, która kołysała się między drewnianymi palami. – Podciągnij czółno kawałek, Doyle, jakiś metr nad twoją głową zaczyna się drabina.

Kiedy wspięli się obydwój na wąski pomost, Jacky powiedziała:

– Teraz musimy się zastanowić, co z tobą robić. Nie możesz wrócić do domu Jacka Kopenhagi, Horrabin wyśle tam z tuzin szpiegów. – Szli powoli w stronę budynku przypominającego nadbrzeżną tawernę. Jacky, która nie miała butów na nogach, stąpała ostrożnie po starych deskach. – Kiedy przyjeżdża do miasta ten twój przyjaciel? Jak on się nazywa – Ashbin?

– Ashbless. Spotkam się z nim we wtorek.

– No cóż, właściciel tawerny, stary Kusiak, ma tu stajnię i zawsze potrzebuje kogoś do pomocy. Czy potrafisz zgarniać łopatą koński nawóz?

– Jeśli istnieją jacyś ludzie, którzy nie potrafią, to wolałbym nie być jednym z nich.

Jacky otworzyła drzwi od strony nabrzeża, po czym weszli do niewielkiego pokoju z kominkiem. Doyle ruszył czym prędzej w stronę ognia.

Pojawiła się dziewczyna w fartuszkach, której serdeczny uśmiech przygasł nieco, gdy zauważyła, że obaj goście wpadli niewątpliwie do rzeki i że jeden z nich wciąż ocieka wodą.

– Wszystko w porządku, panienko – powiedziała Jacky. – Nie usiądziemy na krzesłach. Powiedz Kusiakowi, że przyszedł Jacky, ten z drugiego brzegu, wraz z przyjacielem, i że mamy ochotę na gorącą kąpiel – w osobnych pomieszczeniach.

Doyle uśmiechnął się. Skromniś z tego Jacky’ego.

– ... i przynieś nam trochę suchych rzeczy do ubrania, nieważne jakich – ciągnęła Jacky. – A do jadalni dwa garnuszki tej waszej wspaniałej zupy rybnej. Aha, i jeszcze gorącą kawę z rumem.

Dziewczyna skinęła głową i oddaliła się pospiesznie, by spytać o wszystko właściciela tawerny.

Jacky przycupnęła obok Doyle’a przy kominku.

– Jesteś pewien, że ten Ashbin pomoże ci znaleźć jakąś przyzwoitą posadę?

Doyle nie był pewien i próbował przekonać bardziej samego siebie niż Jacky, więc odparł trochę wymijająco:

– Nie brakuje mi pieniędzy, jak przypuszczam. Poza tym znam go bardzo dobrze.

Poza tym ma przyjaciół i wpływy, dodał w myślach Doyle. Niewykluczone, że umożliwi mi posłuchanie – z gwarancją nietykalności – u starego doktora Romany, w czasie którego może uda mi się dobić korzystnego targu: ja przekażę mu kilka nieszkodliwych dla nikogo informacji – czy nawet ewidentnych kłamstw; tak, to byłoby bezpieczniejsze – w zamian za lokalizację szczeliny. Gdybym ustawił wokół jego namiotu kilku swoich przyjaciół, nie odważyłby się na żadne sztuczki, jak przykładanie cygara do powieki. A mnie samemu, bez pomocy, szukanie szczelin zajęłoby miesiące, nawet lata, a przecież Darrow powiedział, że ich liczba po 1802 zaczyna się zmniejszać, a nie sądzę, bym miał żyć dłużej niż kilka miesięcy, ten kaszel wykańczał mnie już przed dzisiejszą kąpielą w rzece. Teraz

może się przerodzić w prawdziwe zapalenie płuc. Muszę wrócić, i to prędko, tam gdzie są szpitale.

Doyle zamierzał również przepytac Ashblessa o jego wczesne lata, a następnie przechować te informacje w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie nikt nie zakłóciłby ich spokoju, aż do chwili, w której „odkryłby je” po powrocie do 1983 roku. Schliemann i Troja, pomyślał arogancko, George Smith i Gilgamesz, Doyle i dokumenty Ashblessa.

– No cóż, życzę ci powodzenia – powiedziała Jacky. – Może za miesiąc o tej porze będziesz miał pracę na Giełdzie i wynajmował luksusowe mieszkanie przy St. James. I ledwie będziesz pamiętał te dni, gdy byłeś żebrakiem i chłopcem stajennym... – Uśmiechnęła się. – Aha, i ten poranek, gdy ze znacznie mniejszym powodzeniem pracowałeś jako kramarz... Co jeszcze robiłeś?

W tym momencie przyniesiono kawę z rumem; uśmiech dziewczyny i jej zapewnienia, że kąpiel jest prawie gotowa dowodziły, że Kusiak uznał wiarygodność kredytową Jacky. Doyle sączył z wdzięcznością swoją kawę.

– Niewiele więcej – odparł.

Budowla znana powszechnie w okolicy St.Giles jako Szczerzy Zamek została wzniesiona na fundamentach i wokół pozostałości po szpitalu zbudowanym w dwunastym wieku. Dzwonnica szpitala przetrwała, lecz w ciągu wieków różni właściciele tej posesji, by zyskać na powierzchni, stopniowo dostawali nowe piętra i ściany, aż w końcu przez łukowe, normańskie okna widać było nie miasto, lecz niewielkie pokoje, które dobudowano do starodawnych, kamiennych murów; kopuła dzwonnicy była jedyną, widoczną częścią dawnej budowli, którą jednak z trudem dało się odszukać pośród gąszczu kominów, wietrzników i dzikiej zabudowy.

Liny dzwonów sparcały przed wiekami, a bloki runęły na podłogę i zostały wywiezione na złom, lecz starodawne belki wciąż spinały sklepienie wieży. Przywiązano do nich nowe liny, którymi Horrabin i doktor Romany byli wciągani na wysokość jakichś piętnastu metrów, czyli około trzech czwartych wieży. Ponieważ mogli dzięki temu rozmawiać swobodnie w znacznej odległości od ziemi, była to ich ulubiona izba narad. Na parapetach starych, kamiennych okien, u samego szczytu dzwonnicy, ustawiono lampy olejne. Trochę niżej siedział uczestniczący tego wieczoru w naradzie Niecny Ryszard,

dzięki czemu znajdował się jakieś pół metra nad głowami kołyszących się na linach szefów.

– Nie mam pojęcia, kim byli ci ludzie, wasza Wielmożność – mówił Horrabin, a jego już i tak niesamowity głos brzmiał w tej kamienniej studni jak przerażające zawodzenie. – Z pewnością nie należeli do mego zgromadzenia.

– I naprawdę zamierzali go zabić?

– O, tak. Dennessen mówi, że gdy strącił z Amerykanina tego drugiego, ten zdążył już dźgnąć go nożem i zamierzał się do następnego pchnięcia.

Doktor Romany huśtał się zamyślony przez kilka chwil, odpychając się delikatnie nogą od kamiennych, wklęsłych ścian.

– Nie pojmuję, kto to może być. Ktoś działał najwyraźniej przeciwko mnie. Ten ktoś albo wie, co Amerykanin ma do powiedzenia... albo po prostu nie chce, bym się czegokolwiek dowiedział. To nie mogą być ludzie, z którymi Amerykanin tu przybył, gdyż widziałem, jak wszyscy zniknęli, gdy wrota przestały istnieć, a obserwuję od tego czasu wszystkie i wiem, że nikt przez nie nie przechodził. A Bractwo Anteusza nie stanowi dla nas zagrożenia już od ponad wieku, jak sądzę.

– To garstka starych ludzi – zgodził się Horrabin – którzy zapomnieli już o pierwotnym celu swej organizacji.

– No cóż, powiedz temu Dennessenowi, że jeśli zdoła rozpoznać człowieka, który próbował zabić Amerykanina, i przyprowadzi mi go żywego, to otrzyma nagrodę jak w przypadku Joego Psiej Twarzy. – Zamachał ramionami, by zatrzymać swą huśtawkę. – Ten brodaty człowiek, który strzelał do Amerykanina, a potem go wyciągnął z wody, może do nich należeć. Powiadasz, że rozpoznałeś tego odważnego wiosłarza?

– Tak mi się wydaje, wasza Wielmożność. Nie miał na głowie swojego tradycyjnego turbanu, ale przypominał żebraka zwanego Ahmedem, który kręci się tu czasem. To fałszywy Hindus. Wydałem już rozkaz, by go złapano, i wyznaczyłem nagrodę.

– Dobrze. Wydusimy prawdę z tych ptaszków, oby Set pozwolił, nawet jeśli musielibyśmy obedrzeć ich ze skóry, zostawiając jedynie płuca, mózg i język.

Nieczny Ryszard sięgnął ostrożnie po swoją małpkę, którą posadził na kamiennym występie, by mogła widzieć to niezwykle zjawisko, jakim byli ci dwaj czarnoksiężnicy zawieszani na linach niczym szynki w wędzarni, po czym zakrył jej uszy kciukiem i palcem wska-

zującym, gdyż brutalne słowa niepokoiły ją. Ryszard też nie odczuwał zadowolenia. Był w mieście już od tygodnia, nie mogąc się ruszyć poza mury Szczurzego Zamku albo poza granice sieni pod Bainbridge Street, podczas gdy doktor Romany podróżował sobie do woli. Zjawiał się przy każdych wrotach, które powstawały, co wymagało częstego opuszczania miasta.

– Nie mogę oprzeć się przekonaniu, czy też wrażeniu, że owa ingerencja może być rezultatem wysiłków... mego partnera w Turcji – powiedział doktor Romany.

– Ale nikt nie wie, jaka jest ich natura – zauważył Horrabin. – Nawet ja wiem tylko tyle, że twój brat bliźniak znalazł pewnego młodego lorda brytyjskiego, podróżującego samotnie za granicą, którego, jak wam obu się wydaje, będziecie mogli wykorzystać. Mam wrażenie, że powinienem być dokładnie zaznajomiony z twymi planami.

Romany zdawał się nie słuchać. Powiedział zamyślony:

– Nie wierzę, by nastąpiło z tamtej strony jakiegokolwiek naruszenie tajemnicy, a to dlatego, że jestem jedyną osobą, która wie to, co istotne. Ale nie jestem zbyt zorientowany, jak mają się sprawy u doktora Romanello, w Turcji; pojmuję, że ów młody lord bardzo lubi pisywać listy. Mam nadzieję, że mój... brat nie dopuścił do tego, by jakaś nie rzucająca się w oczy, lecz ważna informacja została przekazana na kartach jednego z tych listów pewnym ludziom na wyspie brytyjskiej.

Horrabin sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Gdzie, według ciebie, ów kłopotliwy arystokrata przebywa?

– Znajduje się o kilka dni drogi od Aten, zmierzając wzdłuż Zatoki Korynckiej z powrotem do Patras; z jakichś powodów ów milord staje się niezwykle wrażliwy psychicznie, gdy tylko znajdzie się w granicach tego niewielkiego obszaru: Patras, Zatoka Patras, Mis-soloungi. Więc, gdy był tam ostatnim razem, w lipcu, Romanelli nakłonił konsula, naszego człowieka, by ten uspił milorda, koncentrując jego uwagę na grającym zegarze, a gdy młodzieniec zasnął, mój brat wprowadził do mrocznych zakątków jego umysłu rozkaz powrotu do Patras w połowie września. Do tego czasu powinny dojrzeć pewne tutejsze sprawy, tak by wszystko „spadło z drzewa” jednocześnie. A jego lordowska mość nosi w świadomości ów rozkaz, święcie przekonany, że sam podjął decyzję powrotu do Patras.

Horrabin przytakiwał zniecierpliwiony.

– Pytałem dlatego, że, no cóż, gdyby to jego list miał być przyczyną tutejszego zamieszania, to musiałby być wysłany... kiedy?

Przed miesiącami, jak sądzę. Czyż nie toczy się po drodze z tuzin wojen? Więc nawet gdyby od razu do kogoś napisał, jeszcze w lipcu, to i tak list nie dotarłby na tyle szybko, by ktoś tutaj mógł się dowiedzieć, kim jesteś i co zamierzasz.

Romany uniósł brwi i przytaknął.

– Masz rację, nie wziąłem pod uwagę żółwiego tempa poczty w dzisiejszych czasach. – Zmarszczył czoło. – Więc kim, u licha, są ci ludzie, dlaczego wchodzą mi w drogę?

– Nie umiem powiedzieć – odparł kłown, przeciągając się powoli i wyginając kończyny jak wielki, kolorowy pajak.

Niecny Ryszard zakrył małpce oczy.

– Mnie też wchodzą w drogę – wyjaśnił Horrabin. – Ten diabelny Hindus utopił dzisiejszego wieczoru cztery tuziny moich homunkulusów. Musisz nakazać twemu Mistrzowi w Kairze, by przysłał więcej tego materiału – jak to się nazywa?

– Paut – odparł doktor Romany. – Diabelnie trudno to dziś wyprodukować, biorąc pod uwagę, jak mizernie prezentuje się magia.

Potrząsnął z powątpiewaniem głową.

Pomalowaną twarz Horrabina skrzył gniewny grymas, ale nie przewał swej powolnej gimnastyki.

– Żeby pracować dla ciebie, potrzebuję więcej homunkulusów – powiedział bezbarwnym głosem. – Karły umiem sam stworzyć, deformując ludzi, ale nie Tycich Chłopców, którzy potrafią podsłuchać rozmowę schowani w filiżance do herbaty, śledzić człowieka, przycupnąwszy w fałdach jego kapelusza – kłown mówił teraz podniesionym głosem – wślizgnąć się do banku przez ścieki i zamienić złote suwereny na cygańskie, fałszywe monety. – Przechylił się w ten sposób, że jego głowa przybliżyła się do rozmówcy, a nogi sterczały w drugą stronę, po czym dodał szeptem: – Albo jeśli potrzebujesz kilku chłopaków, którzy mogliby wejść do sypialni króla ukryci w sukni pielęgniarki i wrzucić do zupy tumaniące umysł specyfiki, a potem, przebrani za karaluchy albo dwunastu apostołów, zatańczyliby na stole, poza zasięgiem królewskich rąk, by uatrakcyjnić jego majaki, to muszą być właśnie oni – Tyci Chłopcy.

– Nie będziemy musieli robić tego dłużej, jeśli wszystko w Patras przebiegnie tak, jak zaplanowano – stwierdził cicho Romany. – Ale twoje stworki przydają się często, nie mogę zaprzeczyć. Wyjaśnię sytuację memu Mistrzowi i dam ci jutro znać, co powiedział.

– Ty zaś wykorzystujesz szybszy środek porozumiewania się niż poczta – zauważył Horrabin, unosząc pomarańczowe brwi niemal do samego kapelusza.

– O, tak – odparł Romany, wzruszając niedbale ramionami. – Dzięki czarnoksięskim sztuczkom ja i moi koledzy możemy konwersować bezpośrednio w dowolnym czasie, na dowolną odległość, a nawet przysyłać sobie przedmioty, nie przejmując się przestrzenią. Tak doskonała komunikacja jest gwarancją, że nasze uderzenie będzie bezbłędnie wymierzone, zgrane w czasie i skoordynowane, i nie spotka się z odwetem. – Pozwolił sobie na uśmiech. – Mamy w ręku Króla Czarnoksiężników, a on bije każdą kartę, którą może mieć John Bull.

Niecny Ryszard spojrział na swoją małpkę, przewrócił oczami i potrząsnął głową. Ale staruch, co, małpko, pomyślał, nie chce, by ten straszny kłown dowiedział się, jak bardzo jest mu potrzebny. Ileż to razy, małpko, widzieliśmy go, jak wrzeszczał na tę swoją głupią świecę z egipskimi znaczkami, a po kilku godzinach wydobywał z płomienia słaby głos, który tylko powtarzał: Co? Co?... A te wszystkie przypadki, kiedy próbował wysyłać albo otrzymywać różne przedmioty od swoich przyjaciół z odległych lądów? A pamiętasz, jak jego Mistrz starał się przysłać mu tę małą figurkę, a wszystko, co się w końcu pokazało, to gorący, czerwony żwir? Ha, ha! I to ma być czarnoksięstwo!

Splunął z obrzydzeniem, na co doktor Romany zareagował gniewnym krzykiem.

– Przepraszam, *rya* – rzekł pospiesznie Ryszard. Skrzywił się patrząc na małpkę i pomyślał: Nie próbuj wciągać mnie w pogawędkę. Widzisz, co narobiłaś? Mam przez ciebie kłopoty.

– W każdym razie – ciągnął doktor Romany, pocierając łysą głowę – wykurzyliśmy Amerykanina z ukrycia i chcę, by dopóki jest wystraszony, przeprowadzono dzisiejszej nocy dokładne poszukiwania. A teraz, co się tyczy naszej trójki – czy słuchasz, Ryszardzie? Bardzo dobrze – my trzej znamy go z widzenia, a zatem każdy z nas powinien kierować grupą poszukiwawczą. Ty, Horrabinie, zmobilizujesz swoich nędzarzy i przetrząsniesz obszar od St.Martin Lane do katedry św. Pawła, przy okazji sprawdzisz wszystkie kwatery do wynajęcia; zaglądamy do pubów; obserwuj uważnie żebraków. Ty, Ryszardzie, wyruszysz z południowego nabrzeża, począwszy od Blackfriar's Bridge aż po spichlerze poniżej Wapping. Ja zaś poprowadzę moich chłopców z doków na południowy wschód od katedry św. Pawła, przez Clare Market, Tower, Doki i okolice Whitechapel. Praw-

dę mówiąc, tam właśnie spodziewam się go znaleźć; ma przyjaciół po północnej stronie rzeki, a gdy go ostatnim razem widzieliśmy, zmierzał na wschód, oddalając się od obszaru, który przypadł tobie w udziale, Horrabinie.

Dwie godziny po brzasku Niecny Ryszard, stąpając ostrożnie, znów wchodził na schody; wierzył bowiem, że drewniana małpka w jego kieszeni jest pogrążona we śnie. Gdy wyczerpany zajął swe miejsce w niszy okiennej, dwaj czarnoksiężnicy wisieli już na swoich linach, choć doktor Romany kołysał się tam i z powrotem, jakby dopiero co go wciągnięto.

– Przypuszczam – odezwał się szef Cyganów, odwracając ku niemu wymizerowaną ze zmęczenia twarz – że miałeś niewiele więcej szczęścia po stronie Surrey niż my na północy.

– *Kek, rya.*

– Oznacza: „nie” – poinformował Horrabin Romany.

W kopule wieży była dziura po wielkim kamieniu, który kiedyś wypadł. Gdy jasny blask słońca ześlizgiwał się w dół po rozświetlonej ścianie, a przekupnie przy Holborn Street zachwalali głośno wazywa, dwaj czarnoksiężnicy omawiali strategię na najbliższe dni, Niecny Ryszard zaś wetknął przebudzoną małpkę za kołnierz koszuli, po czym wdał się z nią w rozmowę, mówiąc najcichszym szepem.

Rozdział 6

*Gdym wchodził na schody razu pewnego
spotkałem człeka – lecz nieobecnego.*

Stara rymowanka

W wtorek rano, dwa dni później, niebo był zasnuwane chmurami i zanosilo się na deszcz, lecz w kawiarniach wokół Królewskiej Giełdy brokerzy i akcjonariusze prowadzili, jak zwykle, ożywioną działalność handlową. Doyle, ogłupiały z głodu i niewyspania, siedział w kącie Jamaica Coffee House i patrzył, jak kilkunastu kupców bierze udział w licytacji ładunku tytoniu ocalonego ze statku, który zatonął na Tamizie. Aukcja odbywała się wedle Ogarka Świcy, co znaczyło, że zostanie przyjęta ostatnia oferta przed zgaśnięciem krótkiej świecy, która się właśnie dopalała, więc licytacja przebiegała szybko i hałaśliwie. Doyle ledwie łyknął ciepłej kawy, starając się pić jak najmniej, gdyby bowiem ją skończył, musiałby zamówić następną filiżankę, by zatrzymać stolik; zakup ubrania, które miał na sobie: brązowych spodni, marynarki, białej koszuli i czarnych, wysokich butów, używanych co prawda, ale czystych i w dobrym stanie, pozostawił mu w kieszeni jedynie szylinga, a zamierzał zaproponować Ashblessowi filiżankę kawy, gdy się zjawi.

Doyle czuł palący ból w ramieniu i lękał się, że brandy, którą nasączył bandaż nie zdoła zapobiec infekcji rany. Szkoda, że nie wypiliem tej brandy, pomyślał. Oczy mu łzawiły i wierciło go w nosie, ale miał wrażenie, że zapomniał, jak się kicha. Pospiesz się, William, myślał. Twój biograf najwyraźniej umiera. Przygarbił się, by rzucić okiem na zegar ścienny – było dwadzieścia po dziesiątej. Ashbless miał zjawić się za dziesięć minut.

Przynajmniej zdołałem przeżyć do tej pory, pocieszył się. A wyglądało chwilami, że mi się nie uda. W niedzielę wieczorem dźgali mnie nożem, strzelali do mnie, omal nie utonąłem, a potem, tego samego dnia, złapał mnie ten Cygan.

Uśmiechnął się nieco zdziwiony do swojej kawy, przypominając sobie to spotkanie. Podziękował Jacky'emu i pożegnał go, umawiając się z chłopcem na piątkowe południe, na środku London Bridge, i właśnie zaczął rozmawiać z Kusiakiem, gdy wpadł Cygan, domagając się wymiany trzech zmęczonych koni na trzy świeże. Kusiak początkowo odmówił, ale zmienił zdanie, gdy Cygan wyciągnął z kieszy garść złotych suwerenów. Umiarkowane zainteresowanie Doyle'a zmieniło się w skręcający wewnątrzności strach, gdy rozpoznał tego człowieka. Był to ten sam Cygan, który przed tygodniem przyglądał się bez szczególnego współczucia, jak doktor Romany go torturuje; Doyle wyszedł po cichu z kręgu światła stajennej lampy i odwrócił się, by uciec, ale nim zdołał dotrzeć do bocznych drzwi, tamten też go rozpoznał. Doyle pobiegł jakąś uliczką, a potem popędził trotuarem w stronę London Bridge, ale stary Cygan był szybszy; Doyle słyszał za plecami coraz głośniejszy tupot, aż w końcu poczuł, jak za kołnierz chwyta go jakaś dłoń, i upadł na ziemię.

„Wypowiedz choć jedno słowo jakiegoś zaklęcia, ty psi pomocie *Benga*, a rozwalę ci głowę o trotuar”, powiedział Cygan, klęcząc nad nim okrakiem i ledwie dysząc. „No, dalej – wysapał Doyle. – Chryste, dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju? – Powoli odzyskiwał oddech. – A gdybym znał jakieś zaklęcia, to myślisz, że uciekałbym przed tobą na własnych nogach? Do diabła, nie, wyczarowałbym jakiś... skrzydlaty rydwan czy coś takiego. A ciebie zamienił w kupę końskiego nawozu, żeby mieć przyjemność, jaką dałoby mi zgarnięcie cię łopata i wrzucenie na wóz z nieczystościami”.

Ku zdziwieniu Doyle'a Cygan uśmiechnął się szeroko. „Słyszysz, małpko? Ten człowiek chce nas zmienić w koński nawóz. Większość tych *chalów*-magów próbuje zamienić różne rzeczy w złoto, ale ten biedaczysko nie mierzy tak wysoko. – Postawił Doyle'a jednym szarpnięciem na nogi. – No chodź, *Bengo*, pewien człowiek chce z tobą pogadać”.

Kilku ludzi wychylało się przez boczne drzwi, którymi uciekł Doyle, i jeden z nich wykrzyknął coś gniewnie, więc stary Cygan poprowadził swego więźnia ulicą, oddalając się od rzeki, a potem znów skręcił w prawo. Zbliżali się teraz do tawerny Kusiaka od frontu. Doyle szedł przodem.

Kiedy mijali otwarte drzwi jakiejś gospody, którą od tawerny dzieliły dwa domy, Doyle przystanął. „Jeśli chcesz mnie zaprowadzić do tego szaleńca, który próbował wypalić mi oko ostatnim razem – powiedział Doyle trochę łamiącym się głosem – to w pierw muszę wypić dwa piwa. Przynajmniej dwa. A że masz złoto, przyjacielu, ty stawiasz”.

Przez chwilę za jego plecami trwała cisza, a potem Cygan odparł: „To *kuszo* pomysł. *Andree* wchodzimy do środka”.

Przemaszerowali przez wysoko sklepioną izbę z kontuarem i skierowali się do mniejszej salki, która znajdowała się dwa schodki wyżej. Cygan obrócił ciemne oczy na stół w kącie. Doyle skinął głową i ruszył we wskazanym kierunku. Usiadł i zaczął ogrzewać sobie dłonie nad płomieniem świecy, która stała na blacie.

Kiedy podeszła do nich dziewczyna i przyjęła zamówienie – piwo dla Doyle’a, wino dla Cygana – strażnik Doyle’a powiedział: „Nazywają mnie Niecnym Ryszardem”. – „Ach tak? No cóż, miło mi... prawdę mówiąc, nie bardzo. Hmm, jestem Brendan Doyle”, przedstawił się Doyle. „A to mój partner – dodał Cygan, wyciągając z kieszeni drewnianą małpkę, którą Doyle pamiętał z niedzielnej nocy. – Małpko, to jest Doyle. Doyle to ten *gorgio*, którego *rya* tak bardzo pragnął znaleźć i teraz będzie z nas bardzo zadowolony, żeśmy go przydybali. – Uśmiechnął się radośnie do Doyle’a. – A tym razem zabierzemy cię gdzieś, gdzie nie będzie *prastamengros*, którzy mogliby usłyszeć twoje wołanie”.

„Posłuchaj, Niecny – zwrócił się do niego Doyle, kryjąc rozgorączkowanie – jeśli udasz, że mnie nie złapałeś, uczynię cię bogatym człowiekiem. Daję ci moje słowo...” – odchylił się gwałtownie do tyłu, gdyż Cygan wysunął błyskawicznie pięść i stuknął Doyle’a kłykiem w grzbiet nosa. „Wy, *gorgios*, myślicie, że Cyganie są głupi”, zauważył.

W tym momencie przyniesiono wino i piwo. Doyle nakazał dziewczynie czekać, pochłonął swój napój dwoma długimi, palącymi gardło haustami, po czym, zdyszany, zamówił następne pół litra.

Ryszard przyglądał mu się. „Myślę, że nic się nie stanie, jak przyprowadzę cię pijanego – powiodł za dziewczyną smutnym wzrokiem. – Trochę zimnego piwa po tej pogoni nie zaszkodzi”. Sączył swoje wino bez entuzjazmu.

„Nie jest złe. Napij się trochę”, zaproponował mu Doyle.

„Nie – piwo było ulubionym napojem mojej Bessie, a odkąd *mullered*, nie wypilem nawet kropli”. Opróżnił swój kieliszek jednym, długim haustem, wstrząsnął się, po czym, gdy dziewczyna przyniosła Doyle’owi drugie piwo, zamówił dla siebie wino.

Doyle łyknął trochę piwa i zamyślił się. – „Moja Rebeka – powiedział ostrożnie – kochała niemal każdy napój, a odkąd... *mullered*, piję za nas dwoje. Co najmniej”.

Ryszard zastanawiał się nad tym jakiś czas, marszcząc czoło, po czym skinął głową. „To to samo – oświadczył. – Dzięki temu nie zapomina się o nich”.

Dziewczyna, zbliżywszy się do ich stołu, zażądała tym razem pieniędzy. Dostała je i postawiła na stole dzban i butelkę. Obaj mężczyźni napełnili w zadumie swoje szklanki. „Za martwe panie”, wznosił toast Niecny Ryszard.

Doyle podniósł swoją szklankę. Nastąpiła chwila bezgłośnego picia, po czym obie puste szklanki stuknęły o blat stołu. Natychmiast zostały z całym ceremoniałem napełnione. „Jak dawno temu... *Bessie* zmarła?”, spytał Doyle. Ryszard opróżnił szklankę do połowy, nim odpowiedział cicho: „Siedemnaście lat temu. Zrzucił ją koń niedaleko Crofton Wood. Zawsze była z końmi *kuszo*, ale uciekaliśmy nocą przed *prastamengros*, i jej koń trafił nogą w dziurę. Spadła... i... pękła jej głowa”.

Doyle napełnił swoją szklankę, a potem sięgnął przez stół po butelkę wina i nalał Cyganowi. „Za martwe panie”, powiedział cicho. Znów opróżnili szklanki, po czym je napełnili.

Doyle stwierdził, że jest w stanie mówić wyraźnie, jeśli robi to powoli i dobiera słowa tak ostrożnie jak gracz golfa właściwy kij przed trudnym uderzeniem. „Rebeka też uderzyła się w głowę – zwrócił się do Cygana. – Pomimo kasku – on też pękł – uderzyła czaszką o słupek przydrożny. Ja prowadziłem, ona siedziała z tyłu”. Cygan skinął współczująco głową. „Jechaliśmy starą hondą 450 – ciągnął Doyle – a nawierzchnia była zbyt śliska, by wieźć pasażera. Nawet wiedziałem o tym wówczas, ale spieszyliśmy się i, do diabła, nałożyła hełm, a ja jeździłem na motorze od lat. Zmieniałem pasmo ruchu, bo jak wjeżdża się na Santa Ana Freeway z Beach Boulevard, to ląduje się od razu na pasmie szybkiego ruchu, a ja chciałem dostać się na to wolniejsze; kiedy pochyliłem motor w prawo i przejechałem po wypukłościach linii oddzielającej pasma, poczułem, jak maszyna... zaczyna chwiać się na boki. Straszne wrażenie, jak trzęsienie ziemi, wiesz? Taki... śmiertelnie niebezpieczny i niespodziewany ruch. A stare czterystapięćdziesiątki były wyjątkowo ciężkie, z tym górnym rozrzędem i... po prostu... przewróciliśmy się. – Pociągnął spory łyk piwa. – Rebeka spadła na prawo, a ja sunąłem po jezdni do przodu. Spaliło mi skórzaną

kurtkę, zrobiła się cienka jak papier, gdyby było sucho, zdarłoby mi skórę do samych żeber. Samochody za mną zdążyły wyhamować. Zerwałem się i pobiegłem podskakując – złamałem sobie też kostkę w nodze – tam gdzie leżała. Jej... głowa była...

Ze wspomnień wyrwał go brzęk dzbanka uderzającego o brzeg jego szklanki. „Nie trzeba tego mówić – powiedział Ryszard, napełniając mu szklankę. – Ja też widziałem to, co ty widziałeś. – Podniósł swoją szklankę. – Za Rebeke i Bessie”, rzekł. „Niechaj spoczywają w spokoju”, odparł Doyle.

Kiedy szklanki znów stuknęły o blat stołu, Niecny Ryszard wlepił wzrok w Doyle’a. „Ty nie jesteś czarownikiem, prawda?”, spytał. „Boże, dałbym wiele, by nim być”, odparł Doyle. „Ktoś, z kim byłeś, musiał jednakże nim być, widziałem, jak dwa powozy zniknęły z pola, niczym pchły z wierzchu dłoni”, stwierdził Cygan. Doyle przytaknął ze smutkiem. „Tak. Odjechali beze mnie”, powiedział.

Cygan podniósł się i rzucił na stół suwerena. „Weź to – powiedział. – Powiem im, że zacząłem gonić jakiegoś *chala*, którego wziąłem za ciebie, i przewróciłem go na ziemię, ale to nie był ten, co trzeba, więc musiałem postawić mu w gospodzie, by nie poszedł do *prastamengros*”. Odwrócił się do wyjścia.

„Ty mnie... – bełkotał Doyle. Cygan przystanął i obdarzył go nieodgadnionym spojrzeniem. – Ty mnie puszczasz wolno? Wystarczyło, że wypiliśmy razem? – Wiedział, że powinien się przymknąć, ale czuł, że nie będzie mógł żyć z tą tajemnicą. – Sądziłeś, że moja propozycja, by uczynić cię bogatym była blefem?”. „To nie my, Cyganie, to wy, *gorgios*, jesteście głupi”, rzekł Niecny Ryszard. Uśmiechnął się, odwrócił i wyszedł z gospody.

Knot świecy zamigotał w maleńkiej kałuży roztopionego wosku – aukcja dobiegła końca. Zwycięzca wstał, by zająć się dokumentami, bardziej zdziwiony niż zadowolony, że jego oferta była ostatnia.

Doyle zerknął na zegar i poczuł chłód w piersi, była za dwadzieścia pięć jedenasta. Błądził spojrzeniem po sali, ale nigdzie nie dostrzegł olbrzymiego mężczyzny o blond włosach z dziko rozrośniętą brodą, której Ashbless nigdy nie golił. Do licha, pomyślał Doyle. Ten sukinsyn się spóźnia. Czy mogłem go nie zauważyć w ciągu ostatnich pięciu minut? To nie tak, że on ma tu zajrzeć i od razu zniknąć;

on ma usiąść i napisać przekłętą *Dwanaście godzin nocy*. Ile tego jest, kilkaset linijek?

Twarz go paliła, a w ustach czuł smak gorączki. Wiedząc, że nie wolno mu pod żadnym pozorem stracić przytomności, zamówił mocnego portera za dwa cenne pensy. Kiedy przyniesiono piwo, zegar wskazywał za dwadzieścia jedenastą, i choć Doyle starał się wypić trunek powoli, jak przystało na lekarstwo, wraz z wybicciem trzeciego kwadransa jego szklanka była już pusta. Poczuł, jak alkohol uderza mu do głowy, ponieważ nie jadł od dwudziestu czterech godzin, a Ashbless wciąż się nie zjawiał.

Weź się za siebie, pomyślał. Kawa, żadnego więcej piwa. A zatem spóźnia się trochę; relacje z jego wizyty w tej gospodzie miały już ponad sto lat, gdy je czytałeś, i były oparte na wspomnieniach Ashblessa, spisanych w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Mała nieścisłość nie jest niczym zaskakującym. Równie dobrze mogła to być jedenasta trzydzieści. Musi to być jedenasta trzydzieści.

Czekał. Gdy wypił trzy kawy, którymi delektował się ostrożnie, zegar wybił jedenastą trzydzieści, a Ashblessa wciąż nie było.

Wokół panował ruch i w pewnej chwili jakiś tęgi dżentelmen, który sprzedał z niebywałym zyskiem plantację na Bahamach, zafundował po szklance rumu dla każdego z obecnych. Doyle pełen wdzięczności przepłukał trunkiem rozgrzające gardło.

I zaczął się złościć. Uważał, że zachowanie poety dowodziło beznamiętności i braku szacunku wobec jego czytelników. Co za arogant, twierdzić, że był tu o dziesiątej trzydzieści, gdy w rzeczywistości nie raczył zjawić się aż do... której? Zbliżało się południe. Co go obchodzi, że każe ludziom czekać? – myślał Doyle w zamroczeniu. Jest sławnym poetą, przyjacielem Coleridge'a i Byrona. Doyle odtworzył go sobie w wyobraźni, a gorączka i wyczerpanie przydały temu obrazowi niemal halucynacyjnej klarowności – szerokie bary, jak w kamieniu ciosana twarz o lwiej grzywie i brodzie godnej wikinga. Przedtem ta twarz przypominała twarz Hemingwaya, pełną humoru i szorstko przyjazną, ale teraz sugerowała jedynie okrucieństwo i nieprzystępność. Jest pewnie na zewnątrz, pomyślał Doyle, i czeka, aż padnę martwy, nim zniży się do tego, by wejść tu i napisać ten przekłętą poemat.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Zatrzymał jakiegoś usługującego chłopca i poprosił go o ołówek i kilka kartek papieru. Gdy prośba została spełniona, zaczął spisywać z pamięci cały tekst *Dwunastu godzin nocy*. Pisząc dla prasy uniwersyteckiej artykuł o Ashblessie, i póź-

niej, pracując nad jego autobiografią, przeczytał ten poemat kilkaset razy, więc teraz, pomimo mdłości i zawrotów głowy, bez trudu przypominał sobie każde jego słowo. Nim wybiła dwunasta trzydzieści, nabazgrał osiem ostatnich, nieco kulawych, linijek:

*A wtedy on wyszeptał cicho: rzeka ta płynie,
Między zmrokiem a świtem, w głębokiej dolinie.
Godziny są tam dystansem – wyznacznikiem dali
Mierzonej wzdłuż transnokturnowej fali–
Na strach obojętni, na wszelkie żądze
W ciemności nikną owi wędrowce,
Gdzie mrok lśni blaskiem wielkiej mocy
Przez długich dwanaście godzin nocy.*

No, pomyślał, wypuszczając z palców ołówek, który potoczył się po stole. Kiedy ten drań nauczy się w końcu przychodzić na historyczne spotkania o właściwej porze, wręczę mu to i powiem: jeśli to pana zainteresuje, panie wspomniały Williamie Ashblesie, to będę osiągalny w tawernie Kusiaka, Fickling Lane, Southwark. Ho, ho”.

Złożył kartki papieru i rozsiadł się zadowolony, gotów czekać dalej.

Gdy rozległy się chrapliwe krzyki, Jacky ruszyła biegiem wąską uliczką ku Kenyon Court. Czowała, jak stary pistolet skałkowy schowany w torbie na ramieniu obija się boleśnie o jej łopatkę. Zaklęła, gdyż wydawało się, że jest za późno. Gdy wpadła na zaśmiecone podwórko, spomiędzy obdrapanych domów dobiegło echo strzału.

– Do diabła – wysapała. Spod niesfornej grzywki rzucała spojrzeń na wszystkie strony, chcąc się zorientować, kto z obecnych zamierza opuścić podwórze, zwłaszcza jeśli ten ktoś zachowywał się z przesadną nonszalancją; lecz wszyscy spieszyli w stronę domu, w którym padł strzał, wykrzykiwali pytania do jego mieszkańców i przystawiali do zakurzonych okien twarze.

Jacky ruszyła biegiem, przecisnęła się z wprawą przez hałaśliwą cizbę i stanęła na progu domu. Nacisnęła klamkę i weszła do środka. Potem zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła na zasuwkę.

– A kim ty, u licha, jesteś? – odezwał się głos, w którym pobrzmiwała nutka hysterii. Po drugiej stronie izby, na najniższym podeście schodów, stał potężnie zbudowany mężczyzna. Zdawało się, że nie dostrzega jeszcze dymiącego pistoletu w swej dłoni, i teraz broń ta

stanowiła jedynie ciężar, z powodu którego nie mógł wodzić w bezradnym geście prawą ręką wkoło, jak czynił to lewą.

– Wiem, co przed chwilą zabiłeś – powiedziała zdyszana Jacky. W jej głosie słychać było zniecierpliwienie. – Sam kiedyś zabiłem coś takiego. Ale mniejsza o to. Czy są tu jeszcze jacyś ludzie, ktoś z twojej rodziny? Czy ktokolwiek opuścił ten dom w ciągu kilku ostatnich minut?

– Co?! Na górze jest jakaś przeklęta małpa! Właśnie ją zabiłem! Mój Boże! Nikogo z mojej rodziny nie ma w domu, Bogu niech będą dzięki! Moja żona oszaleje. Mnie też niewiele brakuje.

– No dobrze, co ta małpa... robiła? Kiedy ją zabiłeś?

– Czy należała do ciebie? Ty sukinsynu, wtrącając cię do więzienia, za to, żeś pozwolił tej bestii uciec!

Zaczął schodzić w dół, stąpając ciężko.

– Nie, nie należała do mnie – odparła głośno Jacky – ale widziałem kiedyś taką samą. Co ona robiła?

Mężczyzna zamachał obiema rękami, uderzając pistoletem o ścianę.

– Ona – Jezu! – wrzeszczała jak ktoś, kto się pali, pluła krwią z pyska i próbowała wleźć do łóżka mojego syna, Kenny’ego. Do diabła, wciąż tam jest – posłanie będzie...

– Gdzie jest w tej chwili Kenny? – przerwała mu Jacky.

– Och, teraz nie pokaże się w domu przez całe godziny. Będę musiał...

– Niech cię diabli, gdzie jest Kenny? – wydarła się Jacky. – Jest w strasliwym niebezpieczeństwie!

Mężczyzna gapił się na nią.

– Czy Kenny’ego ścigają małpy? Czuję, że coś takiego się stanie. – Widząc, że Jacky otwiera usta, by znów wybuchnąć, dodał pospiesznie: – Jest u Szczekającego Ahaba, za rogiem.

Wypadając przez drzwi i biegnąc z powrotem w stronę alejki, Jacky myślała: Ty biedny głupcze, dzięki Bogu nigdy się nie dowiesz, że prawdopodobnie zastrześliłeś własnego syna, kiedy ten, siłą wtłoczony do nieznanego i pokrytego futrem ciała, próbował wpełznąć do swojego łóżka.

Ulica była zablokowana szeregiem wozów uginających się pod belami materiałów z giełdy staroci przy Cutler Street i zmierzających w stronę Doków. Jacky podbiegła do jednego z nich, wspięła się na boczną klapę i z tego podwyższenia powiodła wzrokiem wzdłuż ulicy. Dostrzegła to, o co jej chodziło – kołyszący się szyld z wymalowaną na nim postacią ze Starego Testamentu o odchylonej głowie i ustach

w kształcie litery O. Zeskoczyła z wozu w chwili, gdy woźnica zaczął krzyczeć coś o złodziejach, i ruszyła biegiem w stronę gospody.

Choć drzwi były otwarte, a wiatr targał pożółkłymi od dymu zasłonami w oknach, miejsce cuchnęło tanim dżinem i piwem słodowym. Właściciel spojrzał poirytowany zza kontuaru, kiedy Jacky wpadła do środka zdyszana, lecz uśmiechną się niepewnie, gdy rzuciła na wypolerowany blat półkoronówkę.

– Czy jest tu człowiek o imieniu Kenny? Mieszka przy Kenyon Court – wysapała Jacky i pomyślała: Bądź tutaj, Joe. Obyś jeszcze nie wyszedł.

Zza jej pleców, od strony jednego ze stolików dobiegł jakiś głos:

– Jesteś gliną, chłopie?

Odwróciła się i spojrzała na czterech biednie odzianych młodych mężczyzn, którzy siedzieli przy stoliku.

– A wyglądam jak glina, przyjacielu? Tu nie chodzi o prawo, jego ojciec ma kłopoty i przysłał mnie tu po niego.

– Aha. Może i Kenny coś słyszał o tym; wstał i wypadł stąd pięć minut temu, jakby sobie przypomniał, że zostawił coś na ogniu.

– Tak – potwierdził inny. – Właśnie wchodziłem, a on minął mnie i nawet nie spojrzał, ani nie powiedział „cześć”, jak powinien przywitać się z gościem, którego zna prawie od dziesięciu lat.

Jacky jakby przygasała.

– Pięć minut temu?

Teraz może być nawet kilometr stąd, myślała. Poza tym nie wiadomo, w jakim kierunku się udał. I nie zdobędę na tyle dokładnego rysopisu Kenny’ego, żeby go bezbłędnie rozpoznać. A nawet gdybym była pewna, że to on, to i tak nie mogłabym go zabić, bo nie jestem w pełni przekonana, że to Kenny został zastrzelony w swoim łóżku i że w jego ciele przebywa teraz stary Joe Psia Twarz. Musiałabym go przepyttać, podejść, sprawić, żeby się zdradził. Może dawniej, mając pewność, że to on, zabiłabym go, ale nie teraz, nie po tym, jak o mało nie przestrzeliłam biednemu Doyle’owi czaszki.

Mimo wszystko zdobyła całkiem przyzwoity rysopis Kenny’ego: niski, gruby, rudowłosy, po czym wyszła na ulicę. No cóż, myślała, tak będzie wyglądał przez następny tydzień czy dwa. Sądząc po miejscach, w których zwykły pojawiać się małpy, lubi East End, pewnie dlatego, że znikający ludzie nie są tam niczym niezwykłym. Poza tym łatwiej zgubić pogoń w labiryncie uliczek, podwórek i mostków biegnących nad dachami ruder, a niezwykle opowieści na temat tej okolicy są zawsze traktowane z przymrużeniem oka, jako efekt pi-

jaństwa, opium i szaleństwa. Tak więc przez następne dwa tygodnie będę przetrząsała tanie pensjonaty w Whitechapel, Shoreditch i Goodman's Fields, szukając niskiego, grubego, rudowłosego młodzieńca, pozbawionego bliższych przyjaciół, o nieco prymitywnym umyśle, rozprawiającego o nieśmiertelności z każdym, kto zechce słuchać, o owłosionych dłoniach i czole, ponieważ najwidoczniej gęste futro zaczyna porastać całe ciało, gdy tylko w nie wchodzi. Zastanawiam się, co to za istota i skąd się wzięła.

Wzdrygnęła się, po czym ruszyła na wschód, kierując się do pewnej znanej sobie gospody na Crutchedfriars Road, gdzie mogła posiedzieć w spokoju nad podwójną brandy. Nigdy jeszcze nie była tak bliska schwywania tej zwierzyny, a majaczenia ojca nieszczęsnego Kenny'ego przywołały wspomnienie jej własnego spotkania z odrzuconym ciałem Joego Psiej Twarzy. Zauważyła, że i ten krwawił z ust. Zastanawiam się, czy z wszystkimi się tak dzieje, a jeśli tak, to dlaczego, pomyślała.

Przystanąła i nagle zbladła na twarzy. Oczywiście, stary Joe nie chciałby przecież, by osoba, którą wtlacza w swe odrzucone ciało, była w stanie zdradzić cokolwiek, nim trucizna zniszczy je do reszty. Przed... opuszczeniem ciała musi, prócz wypicia śmiertelnej dawki trucizny, zmiażdżyć zębami język, by jego nowy właściciel nie mógł się nim posługiwać...

Jacky, która czytywała i uwielbiała Mary Wollstonecraft i która pogardzała egzaltowanymi kobietami, poczuła, ku swej irytacji, że sama za chwilę zemdleje.

* * *

Jamaica Coffee House zamykał swe podwoje o piątej. Doyle'a wyproszono zatem na ulicę, i to niezbyt grzecznie. Powłókł się bez celu przed siebie, a potem stał przez chwilę na Threadneedle Street, patrząc niewidzącym wzrokiem na fronton Banku Anglii, który znajdował się po przeciwnej stronie gwarnej ulicy, podczas gdy stronicę rękopisu trzepotały na wietrze w jego rękę, zupełnie zapomniane.

Ashbless się nie pojawił.

W ciągu tego długiego dnia Doyle chyba ze sto razy przeglądał w myślach historyczne źródła, na których oparł swą pewność, iż Ashbless przyjdzie: biografia Baileya wyraźnie stwierdzała, że zjawi się w Jamaica Coffee House o dziesiątej trzydzieści rano, we wtorek, dwunastego września 1810 roku, lecz oczywiście biografia Baileya

oparta była na liczących całe lata wspomnieniach Ashblessa. Poeta przekazał jednak poemat *Courierowi* na początku października, a Doyle nie tylko czytał, ale i opracowywał list do wydawcy. „Napisałem *Dwanaście godzin nocy* we wtorek, jedenastego dnia miniego miesiąca – pisał Ashbless – w Jamaica Coffee House naprzeciwko Exchange Alley, a motyw poematu podyktowała mi dopiero co zakończona, długa podróż”... Doyle pomyślał: Do diabła, mógł po dziesięciu czy dwudziestu latach już nie pamiętać tej daty dokładnie, ale po miesiącu nie mógł się mylić! Zwłaszcza że był tak dokładny, jeśli chodzi o dzień!

Jakiś krępy i mały człowiek o rudych włosach przypatrywał mu się z rogu ulicy przy Giełdzie Królewskiej, więc Doyle, już uczulony na obcych, którzy przejawiali zbytne zainteresowanie jego osobą, ruszył rozmyślnie na wschód, w stronę Gracechurch Street i London Bridge, a dalej na drugi brzeg rzeki, do gospody Kusiaka.

Czy Ashbless mógł celowo kłamać? Ale dlaczego, na Boga, miałby to robić? Doyle zerknął ukradkiem za siebie, ale nie dostrzegł już rudowłosego. Lepiej się odpręż, powiedział sobie. Ilekroć ktoś na ciebie spojrzy, uważasz, że to jeden z żebraków Horrabina. No cóż, myślał dalej, powracając do tamtej zagadki; następny, chronologicznie biorąc, fakt z życia Ashblessa, którego jestem pewien, to zastrzeżenie jednej z Tańczących Małp w którejś kawiarni przy Exchange Alley, w sobotę, dwudziestego szóstego tegoż miesiąca. Widzieli to wiarygodni świadkowie. Lecz nie mogę czekać półtora tygodnia. Moje zapalenie płuc rozwinie się tak bardzo, że pewnie i dwudziestowieczna medycyna mi nie pomoże. Będę musiał – Boże, dopomóż! – udać się do doktora Romany. – Na tę myśl zrobiło mu się niedobrze. – Może, no nie wiem, gdybym przywiązał sobie pistolet do szyi i trzymał palec na spuście, i powiedział mu: ubijamy interes albo odstrzelę sobie głowę, a ty niczego się wtedy nie dowiesz... Czy odważy się zaryzykować i mnie sprawdzić? Czy ja odważę się zaryzykować?”

Mijał właśnie wąską uliczkę odchodzącą od Aldgate, gdy posłyszał, jak ktoś przechodzący górą gwizdże sobie. Doyle zwolnił kroku i zaczął nasłuchiwać. Była to znana mu melodia, tak melancholijna i tęskna, że zdawała się doskonale pasować do jego samotnej wieczornej przechadzki. Co to u licha jest, zastanawiał się bezwiednie, idąc przed siebie. Nie *Greensleeves*, nie *Londonderry air*...

Stanął jak wryty, otwierając szeroko oczy. To było *Yesterday*, piosenka Beatlesów, skomponowana przez Johna Lennona i Paula McCartneya.

Stał tak przez chwilę, ogłuszony, jak Robinson Crusoe, który ujrzał ślady stóp na piasku.

Zawrócił biegiem.

– Hej! – wrzasnął, gdy tylko znalazł się pod niewielkim mostkiem nad ulicą, choć nikogo na nim nie było. – Hej, wróć tu! Ja też jestem z dwudziestego wieku!

Kilku przechodniów obrzuciło go spojrzeniem pełnym skrywanego rozbawienia, jakim ludzie obdarzają ulicznych wariatów, lecz nikt nie wyjrzał z góry.

– Do diabła! – wołał Doyle rozpaczliwie – coca-cola, Clint Eastwood, cadillac!

Wbiegł do budynku i wgramolił się po schodach na górę, po czym otworzył drzwi prowadzące na dach, ale nikogo tam nie znalazł. Przeszedł po niewielkim mostku, a potem ruszył w dół, przez sąsiedni dom, śpiewając pomimo zadyszki możliwie głośno i wykrzykując słowa piosenki w każdym korytarzu, przez który przechodził. Sprowokował mnóstwo skarg, ale nie znalazł nikogo, kto znałby tę piosenkę.

– Ja ci pośpiewam! – wrzeszczał jakiś rozwścieczony starzec, który uważał, jak się zdawało, że Doyle swoim zachowaniem chce zdernerwować właśnie jego. – Jeśli nie wyniesiesz się stąd w tej minucie!

Pogroził Doyle'owi pięściami.

Doyle zbiegł z ostatniej kondygnacji schodów i otworzył drzwi prowadzące na ulicę. Zaczął już wątpić, że w ogóle słyszał cokolwiek. Prawdopodobnie usłyszałem coś, co brzmiało podobnie, myślał, zamykając za sobą drzwi. Chciałem wierzyć, że ktoś inny też znalazł drogę do 1810, więc wmówiłem sobie, że to melodia Beatlesów.

Niebo nad dachami domów wciąż pokrywała szara poświata, ale już się ściemniało. Ruszył czym prędzej w stronę London Bridge. – Nie chcę się spóźnić na wieczorną zmianę w stajni Kusiaka, pomyślał znużony: – Potrzebuję tej pracy.

Liście, które pozostały jeszcze na drzewach rosnących przy Bloomsbury Square, świeciły w to czwartkowe popołudnie złotym i czerwonym blaskiem. Hindus Ahmed wyszedł z gospody Paddy Corvana, spoglądał przez chwilę tęsknie na drzewa i trawę, po czym wytarł starannie swoją sztuczną brodę i wąsy z piany po piwie, i skręcił zdecydowanie w lewo, ruszając wzdłuż Buckeridge ku Maynard Street i Szczurzemu Zamkowi. Wiatr wiał w oczy, wprost ze skupiska ruder przy St.Giles, a woń ścieków, ognia i gotowa-

nych potraw, zamiast znikać gnana powiewami, psuła delikatny, wiejski czar okolicy.

Jacky nie była w Szczurzym Zamku od czasu tamtej nocy sprzed pięciu dni, kiedy to zbiegła do podziemnego doku, depcząc po piętach doktorowi Romany, z zamiarem zabicia Joego Psiej Twarzy; teraz wracała, by dowiedzieć się, czy ktoś nie znalazł włochatego złodzieja ciał.

Kiedy skręciła w prawo, w Maynard Street, która przypominała ciemną czeluść, wąską na poziomie trotuaru i zwięzającą się jeszcze bardziej ku górze, z kiepsko oszalowanego występu do wciągania towarów, znajdującego się na trzecim piętrze opuszczonego magazynu, który stał na rogu, wychylił się mały chłopiec. Widoczne pod zbyt dużym, trójgraniastym pirackim kapeluszem puste jak u ryby oczy podążały za sylwetką powłóczącego nogami Hindusa Ahmeda, a ostrą linię niemal bezzębnych ust wykrzywił uśmiech.

– Ahmed – szepnął chłopiec – jesteś mój.

Z zardzewiałego kołowrotu przymocowanego do sufitu trzy piętra wyżej wciąż zwisała lina; zachowała się tylko dlatego, że wisiała zbyt daleko od ściany, by można było jej sięgnąć z budynku, koniec zaś kołysał się zbyt wysoko nad trotwarem, by zdołał go dotknąć człowiek stojący nawet na ramionach innego człowieka. Skuszony wielkością nagrody oferowanej przez Horrabina, chłopiec wszedł na podest, o który opierał się dłońmi, po czym, pokonując skokiem dwa metry przestrzeni, złapał się starej liny.

Rdza niemal unieruchomiła kołowrót i na szczęście dla chłopca lina przesuwiała się po nim z oporami, więc choć zjeżdżając w dół uderzał mocno o ścianę, nie połamał sobie nóg, gdy wylądował na pośladkach trzy piętra niżej. Zwoje sztywnej, poczerniałej od deszczu i wiatru liny spadły na bruk, a przy okazji i na jego kapelusz, który osunął mu się na oczy. Dzieciak zerwał się na nogi i podążył chyłkiem za Ahmedem, podczas gdy z pobliskiej piwnicy wynurzyły się trzy stare kobiety i zaczęły walczyć o linę. Ahmed szedł pod niskim murem, więc chłopak wspiał się na kamienne zwieńczenie, pokonał biegiem dzielący ich dystans i wskoczył Hindusowi na plecy, drąc się jak małpa.

– Jo mom Ahmida! – krzyczał przeraźliwie. – Wołoń Orabina!

Kilku mężczyzn, zwabionych hałasem, stanęło w wejściu prowadzącym do Szczurzego Zamku. Przyglądali się przez kilka chwil niezwykłej scenie – przygarbiony, miotający się Hinduś z dzieckiem na plecach, wczepionym w jego gardło – po czym rzucili się do przodu i złapali Ahmeda za ramiona.

– Ahmed! – powiedział jeden z nich zadowolony. – Kłown ma wielką ochotę uciąć sobie z tobą pogawędkę.

Próbowali oderwać chłopca, ale wpił się jeszcze mocniej w Jacky i kąsał każdą dłoń, której mógł sięgnąć.

– Do diabła, Sam – powiedział w końcu któryś – weź ich, tak jak są. Horrabin nigdy w życiu nie da nagrody dzieciakowi.

Jacky starała się nie wpadać w panikę. Pomyślała: Gdybym mogła sięgnąć ręką do turbana, to – może – udałoby mi się wydobyć pistolet i zabić jednego, strącając przy okazji tego koszmarnego dziecka. Gdy dzieliło ich od budynku zaledwie kilka kroków, sięgnęła pod turban, namacała kolbę pistoletu i wyszarpnęła go zsuwając równocześnie nakrycie głowy, którego zwoje oplotły lufę – po czym wcisnęła broń w żebra mężczyzny po prawej stronie i pociągnęła za spust.

Pomiędzy opadający kurek a spłonkę dostał się materiał, osłona spłonki otworzyła się wprawdzie, ale nie było iskier. Wyciągnęła szybko materiał i gdy mężczyzna zaczął krzyczeć: „Chryste, ma broń, trzymajcie go!”, odciągnęła kurek jedną ręką i znów pociągnęła za spust. Tym razem zaiskrzyło się, ale proch na spłonce zdążył się już rozsypać i pistolet nie wystrzelił. W sekundę później na żołądku Jacky wylądowała twarda pięść, a uniesiona noga wytrąciła jej broń z ręki.

Pistolet upadł z brzękiem na bruk ulicy, a chłopiec siedzący okrajkami na plecach dziewczyny, najwyraźniej zdecydowany wziąć zapłatę od razu i machnąć ręką na resztę, zeskoczył na ziemię, chwycił pistolet i uciekł. Mężczyźni podnieśli zgietego wpół, ciężko oddychającego Hindusa. „Jakiś lekki ten drań, no nie?” – i wprowadzili do środka.

Horrabin wrócił do Zamku zaledwie przed pięcioma minutami i właśnie odpoczywał na swojej huśtawce. Dungy odprowadzał wózek ze złożoną budą Puncha, gdy wniesiono Ahmeda do sali.

– Ach! – wykrzyknął kłown. – Dobra robota, moi drodzy! Pojawił się wreszcie nasz uciekinier Hindus.

Posadzili Jacky na podłodze przed huśtawką, a Horrabin nachylił się z szerokim uśmiechem.

– Dokąd to zabrałeś zeszłej nocy Amerykanina?

Jacky wciąż była zdyszana.

– Wyciągnął na nas pistolet, wasza Miłość – wyjaśnił jeden z mężczyzn. – Musiałem go walnąć w bebechy.

– Rozumiem. W takim razie... Dungy! Przynieś mi szczudła!... Zamknijmy go w lochu. Doktor Romany będzie miał do niego naj-

więcej pytań, z zastosowaniem niezwykle motywacyjnych technik przesłuchania – zachichotał kłown..

Dziwaczny korowód zszedł po czterech kondygnacjach schodów, następnie ruszył podziemnym korytarzem, który prawdopodobnie pochodził jeszcze z czasów rzymskich. Na czele kuśtykał garbaty karzeł Dungy, niosąc nad głową płonąca pochodnię, za nim maszerowali dwaj mężczyźni, trzymając między sobą odzianego w szatę z perkalu Ahmeda; jego twarz pod maską sztucznej brody, wąsów i orzechowego mazidła była szara ze strachu; pochód zamykał idący na swoich szczudłach Horrabin, który pochylał się nisko, by nie zawadzić kapeluszem o kamienne sklepienie.

W końcu przeszli pod łukiem i znaleźli się w rozległej komnacie; pochodnia Dungy'ego oświetlała mokre kamienie starożytnego sklepienia i najbliższej ściany, lecz koniec pomieszczenia ginał w nieprzeniknionej ciemności. Sądząc po echu, komnata była ogromna. Gdy procesja po kilku krokach przystanąła, Jacky usłyszała kapanie wody i, o czym była przekonana, słabe lecz pełne podniecenia szepty.

– Dungy – zwrócił się do karła Horrabin – najbliższy pokój gościnny – podnieś wieko. I pospiesz się.

Nawet w głosie kłowna wyczuwało się lekki niepokój.

Karzeł pokuśtykał do przodu, pozostawiając ich w ciemności. Jakieś siedem metrów dalej przystanął i podniósł niewielką, metalową klapkę, która zakrywała otwór w podłodze, po czym przystawił do niego oko, uważając przy tym, by nie zapalić sobie od pochodni nasmarowanych tłuszczem włosów.

– Pusto – stwierdził.

Wetknął pochodnię w szczelinę między kamieniami, wsunął palce obu rąk pod pręt wpuszczony w podłogę, zaparł się ostrożnie nogami, po czym szarpnął. Kamienny właz, umocowany najwidoczniej na zawiasach, odchylił się i odsłonił otwór o średnicy około metra. Gdy właz odchylił się do końca i znieruchomiał pod kątem nieco większym niż dziewięćdziesiąt stopni, Dungy cofnął się, ocierając czoło.

– Twoja komnata już czeka, Ahmedzie – powiedział Horrabin. – Jeśli uchwycisz się krawędzi otworu, a potem zawisniesz na rękach, to od podłogi będą cię dzieliły niecałe dwa metry. Możesz zeskończyć, albo sami cię zepchniemy.

Strażnicy doprowadzili Jacky do otworu i gdy już stanęła nad nim, cofnęli się. Zmusiła się do uśmiechu.

– Kiedy kolacja? Czy mam się przebrać?

– Przygotuj się do niej wedle uznania – stwierdził zimno Horrabin – Dungy przyniesie ci posiłek o szóstej. A teraz włącz.

Jacky rzuciła okiem na dwóch eskortujących ją mężczyzn, kalkulując w myślach, czy zdoła przedrzeć się między nimi, ale uchwycili jej spojrzenie i cofnęli się, odsuwając ręce od boków. Jej wzrok powędrował bezradnie ku otworowi w podłodze, który miała pod stopami, i poczuła ze wstydem, że jest bliska łez.

– Czy... – zacięła się – są tam... szczury? Albo węże?

Jestem dziewczyną! – chciała krzyknąć, ale wiedziała, że to wyznanie może narazić ją na jeszcze większe cierpienia.

– Nie, nie – zapewnił ją Horrabin. – Jeśli jakimś szczurom i węzom uda się tam dotrzeć, to i tak są pożerane przez inne stworzenia. Posłuchaj, Sam, on nie chce zrobić tego po dobroci; zrzuć go na dół.

– Czekaj. – Jacky przykucnęła ostrożnie, po czym usiadła na krawędzi otworu. Stopy w sandałach kołysały się nad nieprzenikloną czeluścią. Miała nadzieję, że nie zauważą, jak trzęsą się jej nogi schowane pod burnusem. – Schodzę sam, nie potrzebuję waszej... bezinteresownej pomocy.

Nachyliła się i oparła dłońmi o przeciwległą krawędź. Znieruchomiała na chwilę, by odetchnąć głęboko, po czym zsunęła się w dół i zawisała na rękach. Spojrzała w głąb lochu, ale niczego nie mogła dojrzeć; rozciągała się pod nią najbardziej gęsta ciemność, jaką kiedykolwiek widziała. Podłoga mogła być metr niżej albo sto.

– Kopnij jego dłonie – nakazał Horrabin.

Puściła się, nim ktokolwiek zdołał to zrobić.

Długo, bardzo długo spadała w dół, aż w końcu wylądowała na zgiętych nogach w błotnistej ziemi. Usiadła gwałtownie, nie uderzając na szczęście kolanami o brodę. Coś pomknęło po klepisku. Spojrzała w górę i zobaczyła wewnętrzną stronę kamiennego włazu, który ukazał się na chwilę w świetle czerwonej pochodni, po czym, z przerażającym, ogłuszającym hukiem zatrzaskał się; jeszcze jakiś czas widziała nad sobą maleńki kwadracik przyćmionego, czerwonego światła, lecz w chwilę później ktoś zakrył otwór metalową klapką i Jacky znalazła się w pozbawionej jakichkolwiek kształtów ciemności.

Choć była napięta, nie poruszyła się; po prostu oddychała bezgłośnie przez otwarte usta i nasłuchiwała. Kiedy wpadła do środka, wyraźne echo uderzenia przekonało ją, że pomieszczenie nie może mieć więcej niż pięć metrów szerokości, ale teraz, gdy już zdążyła kilka

razy odetchnąć, była pewna, że jest większe, i że w rzeczywistości nie jest to wcale izba, lecz rozległa, podziemna przestrzeń. Zdawało się jej, że słyszy wiatr w odległych drzewach, a od czasu do czasu słabe echo dalekiego śpiewu, smutny chór niosących się gdzieś głosów... Zaczęła już wątpić w istnienie kamiennego sklepienia nad głową; z pewnością zastępowało je bezkresne czarne niebo, którego gwiazdy były od zawsze jedynie nic nie znaczącymi błyskami światła na siatkówce ludzkiego oka...

Zaczęła się zastanawiać, czy odgłos szemrzącej fali jest naprawdę tylko cichym pomrukiem jej własnego oddechu, który w wyobraźni przypisywała jakiejś wodzie, i wiedziała, że dozna tu jeszcze wielu zdumiewających wątpliwości i odkryć. Nagle jakiś rzeczywisty hałas wyrwał ją z zadumy. Dźwięk, choć ograniczający się tylko do skrobania i stukania, wydawał się straszliwie głośny w tej dotychczas cichej otchłani, która na powrót przybrała rozmiary pierwotnej celi o szerokości pięciu metrów.

Odgłosy przypominały szmer odsuwanej klapki, która zakrywała wizjer u góry, ale kiedy podniosła głowę, niczego nie dostrzegła, nawet kwadratu mniej intensywnej ciemności. Jednak po chwili usłyszała oddech, a potem brzmiące jak szelest, niezrozumiałe szept.

– Kto tam? – spytała ostrożnie Jacky. To może być tylko Dungy z moją kolacją, wmawiała sobie.

Szept przeszedł w ciche, gorączkowe chichoty.

– Wpuść nas, kochanie – rozległo się wyraźnie. – Wpuść mnie i moją siostrę.

Po policzkach Jacky popłynęły łzy. Podczołgała się do ściany i oparła się o nią plecami.

– Nie – łkała. – Odejdźcie stąd.

– Mamy dla ciebie podarki, kochanie: złoto i diamenty, które w zamierzchłych czasach powpadały ludziom do ścieków. Teraz ty je dostaniesz w zamian za dwie rzeczy, które nie będą ci już potrzebne, jak twoje lalki, kiedy już wyrosłaś na młodą damę.

– Twoje oczy! – rozległ się nowy, bardziej chrapliwy szept.

– O, tak – zasyczał pierwszy głos. – Tylko twoje oczy, bym mogła wraz z siostrą wziąć sobie po jednym, a później wspiąć się po wszystkich możliwych schodach i wsiąść na statek płynący do teatru Haymarket, a potem tańczyć pod słońcem.

– Niebawem – zaskrzeczał drugi głos.

– O, tak, niebawem, kochanie, gdyż ciemność gęstnieje jak błoto, a gdy stanie się twarda jak kamień, my chcemy być stąd daleko.

– Nie chcemy tu zostać – wtrącił chrapliwy głos.

– Nie, nie chcemy, nie wolno nam zastygnąć na zawsze w kamieniach, które są stwardniałą nocą! Więc otwórz drzwi.

Jacky przycupnęła w kącie, łkając niemal bezgłośnie i mając nadzieję, że kamienne wieko, raz opuszczone, będzie tkwiło w swoim miejscu solidnie, i że nigdy nie zostanie podniesione.

Potem dobiegło z daleka słabe szuranie, a dwa głosy zaczęły mruzczyć skonsternowane.

– Nadchodzi jeden z twych braci – odezwał się pierwszy. – Ale wrócimy... niebawem.

– Niebawem – potwierdził grobowym szeptem ten drugi. Rozległo się szuranie, jakby liści sunących po trotuarze, a po chwili Jacky dostrzegła przez odkryty wizjer nasilający się, czerwony blask i usłyszała Dungy'ego, gwizdzącego tę idiotyczną piosenkę, którą zawsze kazał mu śpiewać Horrabin.

Po kilku chwilach w małym otworze ukazała się pochodnia i niezkształcona twarz karła.

– Jak udało ci się odsłonić wizjer? – spytał.

– Och, Dungy – odparła Jacky, podnosząc się z ziemi i stając tuż pod nim, ponieważ w tej chwili z ulgą przyjmowała obecność jakiegokolwiek człowieka. – To nie ja. Dwie istoty, które twierdziły, że są siostrami, weszły tu i zaoferowały mi skarby za moje oczy.

Zobaczyła, że karzeł wyprostował się i rozejrzał wkoło niespokojnie; a przypominając sobie ogrom górnej komnaty pojmowała, jak bezsensowna jest taka inspekcja.

– Tak – powiedział w końcu – zdarzają się tam na dole takie rzeczy. Nieudane eksperymenty Horrabina – do diabła, może nawet jeszcze moje. – Znów spojrzął w czeluść lochu. – Doktor Romany i Horrabin uważają, że należysz do jakiejś grupy, która występuje przeciwko nim. Czy to prawda?

– Nie.

– Tak myślałem. Mimo to, Horrabin uważa inaczej. – Karzeł zawahał się. – Jeśli... wypuszczę cię, pomożesz mi go zabić?

– Z przyjemnością, Dungy – odparła szczerze Jacky.

– Obiecujesz?

Karzeł mógł równie dobrze zażądać każdej ceny, a Jacky przystałaby na nią.

– Tak, obiecuję.

– Dobrze. Ale jeśli mamy pracować razem, to nie możesz nazywać mnie Dungy. Na imię mam Teobaldo. Zwracaj się do mnie „Tay”.

Twarz karła zniknęła i Jacky usłyszała stęknienie świadczące o wielkim wysiłku, po czym ujrzała, jak kamienny wąż podniósł się. Teobaldo spojrział przez większy otwór, a wtedy Jacky zauważyła, że trzyma gruby kij obwiązany pośrodku liną, której koniec ginął w ciemności.

– Mam nadzieję, że potrafisz się po tym wspiąć – powiedział Teobaldo.

– Oczywiście – odparła Jacky i pomyślała: Zaraz się dowiemy, czy potrafie.

Karzeł położył kij na skos wjazdu i zrzucił na dół linę. U stóp Jacky, na błotnistej ziemi, urósł spory zwój. Odetchnęła głęboko, podszła do rozkołysanego sznura, zacisnęła na nim dłonie, jak najwyżej, po czym zaczęła się wspinać, przesuwając na przemian ręce. Po chwili oparła na kiju najpierw jedną, a potem drugą dłoń.

– Chwyć się krawędzi wjazdu – doradził Teobaldo. – Zabiorę kij, a ty będziesz mogła się podciągnąć.

Jacky odkryła, że może też oprzeć się na brodzie i wydostać z otworu bez oparcia dla stóp. Kiedy wstała, zaczęła przyglądać się uważnie swemu wybawcy, gdyż przypomniła sobie teraz, gdzie już słyszała imię Teobaldo.

– Byłeś tu kiedyś szefem – rzekła cicho.

Stary karzeł zerknął na nią przelotnie, wciągając linę i zwijając ją szybko wokół dłoni i łokcia.

– To prawda.

– Słyszałam też, że byłeś... wysoki.

Karzeł położył zwój liny na ziemi i stanął na krawędzi wjazdu, naprzeciwko kamiennej pokrywy. Rozluźnił ramiona i powiedział:

– Pchnij to, dobrze? Spróbuję to złapać i położyć na miejsce, nie robiąc hałasu. Miałem przynieść ci kolację i właśnie spuszczałbym ją przez mały otwór, więc jeśli usłyszą łomot wjazdu, przybiegną tu.

Jacky ujęła pokrywę, oparła się stopami w sandałach o rowek między dwoma kamieniami podłogi i dźwignęła ciężar.

Karzeł przytrzymał kamienną płytę i kucnął wraz z nią. Odetchnął kilka razy głęboko, a potem dźwignął nieco płytę, wysuwając spod spodu dłonie i jednocześnie przytrzymując jej krawędź. Pod wpływem ogromnego wysiłku wyszczerzył zęby. Kiedy opuszczał kamienną płytę, Jacky dostrzegła, jak drżą mu ramiona, a na jego czole pojawiają się krople potu; potem upuścił ją i odskoczył do tyłu. Ciężar osunął się na swoje miejsce z głuchym dźwiękiem, jakby zamykały się wielkie wrota.

Usiedli zdyszani na ziemi.

– Dobrze... – wysapał. – Oni... niczego nie usłyszeli. – Podniósł się z bolesnym wysiłkiem na nogi. – Byłem kiedyś wysoki. – Wziął do ręki pochodnię i spojrzął znad włazu na Jacky. – Umiesz robić magiczne sztuczki?

– Obawiam się, że nie.

– No cóż, przechrzemy go. Wrócę teraz na górę i powiem mu, że chcesz z nim rozmawiać, ale nie z doktorem Romany, bo ten by cię zabił. Powiem, że chcesz kupić sobie wolność, zdradzając Horrabinowi tak dużo, że dorówna szefowi – do diabła, będzie nawet od niego silniejszy. Powiem, że posiadasz Słowa Mocy. Horrabin, w ciągu ośmiu lat, kiedy to był prawą ręką doktora, stał się sprawnym czarnoksiężnikiem, ale zawsze próbował nakłonić starego człowieka, by ten wyposażył go w Słowa Mocy. Romany nigdy tego nie zrobił. Powiem jeszcze, że twoja banda zna dokładnie plany doktora w Turcji; to następna sprawa, która zirytuje Horrabina – że Romany nie chce mu nic mówić prócz tego, co kłown musi wiedzieć, by zajmować się wszystkim tu, w Londynie. Tak – dodał ponuro stary człowiek – on połknie ten haczyk. Spyta, dlaczego dałeś się złapać, jeśli jesteś takim czarnoksiężnikiem, ale powiem mu, że według ciebie... bo ja wiem... że układ gwiazd jest teraz niekorzystny. Czy to brzmi wiarygodnie?

– Chyba tak, ale po co cała ta skomplikowana historia? – spytała nerwowo Jacky, już żałując, że obiecała pomóc mu w tym niebezpiecznym zadaniu.

– By zwabić go tu samego – rzucił szybko Tay – bez strażników. Nie chciałby z pewnością, żeby usłyszeli Słowa Mocy, czy nawet dowiedzieli się, że zawierasz układy z wrogami doktora Romany.

– I co zrobimy, kiedy tu zejdziesz? Po prostu go zabijemy? – Choć szczęśliwa, że nie siedzi już w lochu, Jacky czuła się spięta i chora. – Masz broń?

– Nie, ale i tak by mu nie zaszkodziła. Jeden z czarów, w jaki wyposażył go doktor Romany, chroni go przed kulami. Widziałem, jak strzelono mu prosto w pierś z pistoletu, lecz kula nigdy go nie dosięgła, tylko wybiła okno, które było obok. I widziałem dwukrotnie, jak próbowano go pchnąć sztyletem, ale oba ostrza zatrzymały się raptownie tuż przed nim i pękły, jakby miał na sobie zbroję z grubego szkła. Widziałem go rannego tylko jeden raz, kiedy pojechał do Hampstead Heath, by wytłumaczyć Cyganom, co należy robić w mieście; wydawało się bowiem w owym czasie, że Cyganie mogą się

przydać przy włamaniach, a jeden Cygan, który nie zrozumiał, o co chodzi, powiedział, że Horrabin to *Beng*, to znaczy diabeł, potem podskoczył, wyrwał z ziemi kołek od namiotu i wbił go w udo kłowna. Kołek nie skręcił w bok, ani nie zatrzymał się w powietrzu, wszedł jak w masło. Kłown krwawił jak przekłuty bukłak i omal nie spadł ze swoich szczudeł, i gdyby Cygan miał okazję zadać jeszcze jedno pchnięcie, to Horrabin zniknąłby z tego świata.

Jacky przytaknęła z powątpiewaniem.

– No więc co jest takiego niezwykłego w drewnianym kołku?

– Brud na jego końcu, człowieku! – wyjaśnił zniecierpliwiony Tay. – Nim doktor Romany uczynił Horrabina magiem, kłown nie musiał chodzić na szczudłach. Ale kiedy wiąże się swój los z magią, traci się związek z ziemią, z gruntem, z glebą. Dotykając ziemi staje się dla tych czarnoksięskich chłopców potwornie bolesne i właśnie dlatego Romany nosi te sprężynowane buty, a Horrabin chodzi na szczudłach. Ich magia nie działa na ziemi, więc ten zabłocony kołek przedarł się przez jego czar jak przez pajęczynę. – Karzeł wyciągnął spod bezkształtnego płaszcza sztylet i podał go Jacky. – Jest mnóstwo błota między kamieniami podłogi – wysmaruj nim ostrze, a potem kucnij gdzieś w cieniu. Kiedy schyli się, żeby zajrzeć do lochu, ja go ogłuszę, a wtedy ty nadbiegniesz i zadasz mu cios. Podziemny dok jest zaraz za tamtym łukiem, uciekniemy rzeką. Zrozumiałeś wszystko?

– Dlaczego po prostu nie uciekniemy? – spytała Jacky ze słabym uśmiechem. – Ryzykujemy, próbując go zabić.

Tay zmarszczył gniewnie brwi.

– Po pierwsze dlatego, że przyrzekłeś – lecz dam ci lepszy powód. Od Tamizy dzieli nas dobre dwadzieścia minut drogi podziemnym tunelem i jeśli nie wrócę prędko na górę, Horrabin przyśle na dół ludzi, żeby sprawdzili, co się tu dzieje, a gdy się dowie, że uciekliśmy, każe im pobiec czym prędzej na południe, gdzie zejda do ścieków, by przeciąć nam drogę i złapać nas. Jeśli go jednak zabijemy, zwłaszcza gdy rozkaże, by mu nie przeszkadzać tu na dole, i jeżeli ukryjemy ciało, nikt nie zainteresuje się nim przez długie godziny.

Jacky przytaknęła niezadowolona, po czym uklękła, wygrzebała grudę błota pomiędzy kamieniami i nasmarowała nim ostrze noża z obu stron.

– Dobrze. Stań tam.

Jacky ruszyła z wielką niechęcią po nierównych kamieniach, jakieś dwadzieścia metrów dalej w stronę miejsca, które wskazał.

– Nie, wciąż cię widzę. Dalej! Tak, odrobinę dalej. Teraz powinno być dobrze.

Jacky drżała i rozglądała się lękliwie po otaczających ją z wszystkich stron cieniach. Krzyknęła, gdy karzeł odwrócił się w stronę zwieńczonego łukiem wyjścia.

– Poczekaj! Nie zostawisz pochodni?

Karzeł potrząsnął głową.

– To by wyglądało podejrzanie. Przykro mi – to potrwa tylko kilka minut, poza tym masz nóż.

Zniknął pod łukiem. Jacky, sparaliżowana ze strachu, słyszała jego cichnące w dali kroki, wpatrując się w zarys łuku, jedyne jaśniejsze miejsce, które powoli zanurzało się w ciemnościach. Po kilku sekundach, gdy wszystko pogrążyło się w absolutnej czerni, Jacky usłyszała dochodzący z bliska, chrapliwy szept: „Kiedy będzie sama”. A zaraz potem jakiś dźwięk, przypominający szelest długiej, wykrochmalonej spódnicy, zamiatającej podłogę i sunącej w jej stronę.

Tłumiąc krzyk, Jacky pobiegła w kierunku, gdzie, jak jej się wydawało, znajdował się łuk prowadzący do doku. Po dziesięciu krokach, zdyszana, odbiła się od ściany – wpierw uderzyła w nią kolanem i ramieniem, potem głową i w końcu usiadła na podłodze, niemal ogłuszona. Potrząsnęła głową, próbując odzyskać jasność myśli i pozbyć się dzwonięcia w uszach. Wiedziała, że źle obrała kierunek, ale czy łuk znajdował się na lewo czy na prawo od niej? Czy zrobiła pół obrotu czy też cały, gdy odbiła się od muru? Czy ściana była teraz metr przed nią, za nią, czy z boku?

Nagle coś dźgnęło ją w oko, więc Jacky, łkając, wykonała gwałtowny ruch nożem i poczuła, jak jego koniec przeciął coś sprężystego niczym balon, po czym to coś pękło i zalało jej dłoń i ramię zimną ciecżą; dały się słyszeć przeraźliwe, ciche jak szept krzyki, a wilgotne powietrze zaczęło wibrować, jakby w pobliżu przeleciał jakiś gigantyczny owad o ogromnych skrzydłach, bzycząc hałaśliwie. Jacky zerwała się na równe nogi i znów pobiegła, potykając się o nierówności kamiennej posadzki, nie upadła jednak, tylko łkała bezradnie i machała przed sobą sztyletem w ciemności. Nagle podłoga biegnąc skosem w dół, umknęła jej spod stóp, i choć Jacky zdołała utrzymać przez jakiś czas równowagę, robiąc na czubkach palców kilka chwiejnych kroków, w końcu potknęła się, upadła i wylądowała bez tchu na obtartych dłoniach i kolanach, ale wciąż ściskając w dłoni sztylet. No dobra, chodź tu, pomyślała zdesperowana. – Przynajmniej wiem, że można cię zranić. Chyba wy dostałam się z tamtej komnaty i teraz

jestem w jakimś tunelu, w którym nigdy nie było i nie będzie nawet najsłabszego promyka światła, ale będę cię dźgała, potworze, dopóki mnie nie zabijesz.

Gdzieś z bliska dobiegł cichy szelest. Jakiś głos powiedział coś niewyraźnie szeptem, z czego Jacky zrozumiała tylko słowa: „Zabiłem ją...”

Jakiś inny głos odpowiedział mu cicho:

– Wciąż ma oczy – czuję powiew wywołany ruchem jej powiek.
– Zabierz sobie jej oczy – zajęczał jakiś głos, jak u starej kobiety. – Ale moje dzieci potrzebują jej krwi.

Jacky nagle uświadomiła sobie, że czuje zapach rzeki i posłyszała cichy plusk wody uderzającej o kamienie. Zdawało się, że dobiega zza jej pleców, więc odwróciła się i stwierdziła ze zdumieniem, że widzi.

Niezupełnie, gdyż aby widzieć, potrzeba było światła; w tej ciemności jej oczy odnalazły plamę jeszcze głębszej ciemności, czerni, która promieniowała nieobecnością i zaprzeczeniem światła. Jacky wiedziała, że gdyby ów obiekt płynący ku niej rzeką pojawił się kiedykolwiek nad ziemią, jego czarne promienie pochłonęłyby i przyćmiły nawet najjaśniejszy blask słońca. Kiedy przybliżył się jeszcze bardziej, zobaczyła, że to łódź.

Za nią wyłoniła się następna ciemność, przeciwny brzeg; zdawała się mieć kształt długiego węża i Jacky słyszała echo metalicznego szumu, gdy się z wolna rozwijał.

Wokół Jacky odezwały się pełne przerażenia szeptu.

– Apofis! – rozległ się jeden z nich. – Apofis powstaje!

Jacky usłyszała szelest i tupot uciekających prześladowców.

Ruszyła w ślad za nimi.

Kiedy podłoga znów podniosła się do poziomu głównej komnaty, Jacky dostrzegła światło, prawdziwe, czerwonopomarańczowe światło. Wtedy dojrzała karła i kłowna na szrudłach, którzy trzydzieści metrów dalej przechodzili pod łukiem. Obie postaci, jedna dziwacznie wysoka, druga niezwykle niska, zatrzymały się i spojrzały w jej stronę. Przykucnęła, choć wiedziała, że nie mogą widzieć jej z tej odległości.

– Zastanawiam się, co je tak zaniepokoiło – powiedział Horrabin.

– Twoje poronione sztuczki – odparł niepewnie Tay. – Hindus się skarżył, że przemawiały do niego przez wizjer.

Horrabin roześmiał się, ale jego rozbawienie było wymuszone.

– Nie odpowiada ci towarzystwo, Ahmedzie? Dziękuj Bogu, że nie uczyniliśmy cię nieświadomym jego obecności.

Horrabin i Tay zrobili kilka kroków po krzywej podłodze, po czym zatrzymali się. Jacky wiedziała, że dotarli do lochu, w którym była uwięziona. Zaciskając palce na sztylcie, ruszyła ostrożnie do przodu; zgubiła sandały podczas szamotaniny przed Szczurzym Zamkiem, więc jej bosa stopy nie wydawały na kamiennej posadzce żadnego dźwięku.

Kiedy dzieliło ją od nich około piętnastu metrów, a kamienie, po których stapała, zaczęły odbijać półkole czerwonego światła pochodni, Horrabin nachylił się – przedziwny widok, gdyż jego szczudła wysunęły się jednocześnie do tyłu – i powiedział:

– Wejdz w krąg światła, Ahmedzie, i przedstaw swoją ofertę!

Karzeł przeżegnał się, nim położył obie dłonie na szczudłach Horrabina i szarpnął.

Ze świdrującym, pełnym przerażenia krzykiem kłown runął do przodu, starając się oprzeć na szczudłach, lecz nie zdołał i uderzył o kamienną podłogę. Jacky pokonała ostatnie kilka metrów biegiem; kłown przekreślił się na plecy, wyginając kark i ukazując wyszczerzone z bólu żółte zęby. Jacky wskoczyła na wygięty niczym łuk brzuch Horrabina i pchnęła sztyletem w odsłonięte, pomalowane na białą gardło.

Ostrze zjechało na bok, jakby próbowała dźgnąć kamień bruku; gdy sztylet potoczył się z brzękiem po podłodze, poznaczone czerwonymi żyłkami oczy zwróciły się ku niej i choć odsłonięte zęby splamione były krwią, która wyciekała także z uszu kłowna, usta wykrzywił grymas, który nie mógł być niczym innym jak tylko uśmiechem.

– Cóż tam dzierzysz w dłoni, waszmość? – wyszeptał Horrabin.

Jacky poczuła w swej wciąż uniesionej dłoni silne mrowienie i odrzuciła konwulsyjnie coś, co jak jej się zdawało, było rękojeścią pozbawionego ostrza sztyletu, a co w rzeczywistości okazało się małym rojem czarnych pszczoł, tak ciemnych i tłustych jak śliwki. Jedna z nich użądliła ją w rękę, nim zdołała nią cisnąć, inne zaś bzycały wokół jej głowy, gdy zsunęła się z kłowna i zaczęła się od niego oddalać, pełznąć po kamiennej podłodze.

Tay stał pod łukiem prowadzącym do doku, wciąż trzymając pochodnię.

– Możemy tylko uciekać! – krzyczał do Jacky. – Prędej, zanim się podniesie!

Jacky pobiegła w stronę łuku, ścigana przez pszczoły, i gdy po chwili przyłączyła się do Taya, usłyszeli za plecami krzyk Horrabina:

– Dopadnę cię, ojcze! I zamienię w stwora, który będzie musiał żyć w wodzie!

Uciekinierzy znaleźli tratwę, wczłógali się na nią i odcumowali.

– Co stało się z błotem na ostrzu sztyletu? – spytał Tay tonem umiarkowanego jedynie zainteresowania.

– Musiałem dźgnąć jedną z tych istot w lochu – wysapała Jacky, rozgniatając o tratwę wyjątkowo dokuczliwą pszczołę. – Zamiast krwi miała chyba zimną wodę. Myślę, że zmyła brud z ostrza.

– Ach tak. Ale i tak dzielnie się spisałeś.

Karzeł otworzył kiesę przy swoim pasku i wyciągnął pigułkę, którą następnie połknął. Wstrząsnął się i podał taką samą Jacky.

– Co to jest?

– Trucizna – odparł Tay. – Weź ją – to łatwiejsza śmierć od tej, którą ci zada, gdy pochwyci cię żywcem.

Jacky była wstrząśnięta.

– Nie! I ty też nie powinieneś jej połykać! Mój Boże, spróbuj to zwymiotować. Myślę...

– Nie, nie. – Tay wetknął pochodnię między deski tratwy i położył się na chropowatym drewnie, wpatrując się w sunące górą sklepienie. – Postanowiłem dziś rano, że umrę. Powiedział mi, bym przygotował się do wieczornego przedstawienia: spódniczka, peruka, polakierowane paznokcie, a ja zdecydowałem, że... nie. Nie byłem już w stanie tego robić. Postanowiłem go zabić. Widzisz, i tak bym umarł; cztery lata temu ustanowił, jak on to nazwał, jednostronne ogniwo życia. To taka czarnoksiężska gadanina. Oznaczało to, że kiedy umrze, ja też umrę. Uważał, że w ten sposób się zabezpieczy przede mną. Może by i tak było, gdyby nie zmuszał mnie bezustannie do wykonywania tych przeklętych piosenek i tańców. Boże, jestem śpiący. – Uśmiechnął się błogo. – Trudno sobie wyobrazić... bym przyjemniej spędził ostatnie minuty życia, niż podczas przejażdżki łodzią w towarzystwie młodej damy.

Jacky otworzyła szeroko oczy.

– Ty... wiedziałeś?

– Och, od początku, dziewczyno. Wiem też, że jesteś tym Jackym. Ze sztucznymi wąsami. O, tak.

Zamknął oczy.

Jacky przyglądała się milczącemu karłowi, przerażona i jednocześnie zafascynowana. Ich tratwa obracała się i obijała o ściany, niesiona nurtem kanału. Kiedy już zdawało jej się, że umarł, spytała cicho:

– Naprawdę jesteś jego ojcem?

Przestraszyła się, gdy odpowiedział słabym głosem:

– Tak, dziewczyno. I szczerze mówiąc nie mogę winić go za to, jak mnie traktował. Nie zasłużyłem na nic lepszego. Każdy człowiek, który... zmienia swego własnego syna, tylko po to, by chłopak stał się lepszym żebrakiem... Och, wszystko obróciło się przeciwko mnie. – Na ustach Taya pojawił się słaby uśmiech. – Muszę przyznać, że chłopak odplacił mi z nawiązką! Przejął moją armię żebraczy... a potem wysłał mnie do szpitala w podziemiach... Robił to wiele, wiele razy... Tak, byłem niegdyś wysoki... – westchnął, a jego lewa pięta uderzyła kilkakrotnie o drewno. Już po raz drugi w swym życiu patrzyła na śmierć człowieka.

Przypominając sobie słowa Taya, że do kanału zostaną wysłani ludzie, by przechwycić ich gdzieś po drodze, Jacky nie czekała, aż dopłynie do jednego z dalszych doków, tylko zsunęła się do wody. Zrobiło się jej zimno, jednak nie tak bardzo jak podczas niedzielnej kąpieli, gdyż podziemna rzeka, zwalniając swój bieg i zwężając się, traciła też swój przenikliwy chłód. Przez chwilę Jacky trzymała się tratwy.

– Spoczywaj w pokoju, Teobaldo – powiedziała, po czym odepchnęła się.

Kiedy już zrzuciła z siebie brudną szatę Ahmeda, bez trudu popłynęła pod prąd i niebawem zostawiła tratwę – i pochodnię – daleko w tyle, posuwając się w górę strumienia. Otaczająca ją ciemność nie była jednak groźna i Jacky wyczuwała instynktownie, że głębsza rzeka, ta, na której zdawało się, że „widziała” łódź, nie miała połączenia z tym kanałem, a może i nawet z Tamizą.

Zza jej pleców dobiegło echo jakichś głosów – „Kto to, u diabła, miał być?”, spytał ktoś. „Stary Dungy i ten Hindus”, odpowiedział ktoś inny. „No dobra, chłopaki Pete’a zatrzymają ich w doku pod Covent Garden” – na powierzchni wody, a także na ścianach i sklepieniu połyskiwało żółte światło. Zawróciła, przebierając bezgłośnie dłońmi i nogami, i zobaczyła w oddali dok, z którego wypłynęli. Stało kilku mężczyzn z pochodniami, choć nie dostrzegła wśród nich Horrabina.

– Muszą być szaleni – komentował jeden, a jego głos niósł się wyraźnie po wodzie. – A może uważali, że Hindus zna lepsze zakłęcia. Ciekawie byłoby je usłyszeć... Au! Do diabła, jak się tu dostała osa?

– Jezu, jeszcze jedna! Chodźcie, nie mamy tu nic do roboty. Wracajmy na górę, popatrzymy sobie, jak ich przyprowadzą. Będzie niezła zabawa, kłown kazał otworzyć szpital.

Mężczyźni oddalili się pospiesznie i w tunelu zapanowała ciemność; jeszcze przez jakiś czas łuk jarzył się pomarańczowym blaskiem, lecz potem, gdy pochodnie zniknęły, prowadzący na górę korytarz pograżył się w nieprzeniknionym mroku. Jacky płynęła wytrwale w stronę obrazu, jaki utrwalił jej się pod powiekami, pilnując się, by nie odwrócić głowy, choć czuła, że sztuczna broda odkleiła się i ślizga się po jej ramieniu. Po kilku minutach uderzyła głową w drewniane bale przystani. Podciągnęła się i usiadła zdyszana na pomoście. Miała na sobie tylko krótkie spodenki, gdy zaś sięgnęła ręką do włosów, by zaczesać je do tyłu, zauważyła, że jej wąsy odkleiły się razem z brodą.

Pomyślała, że nie jest to strój, w którym uda jej się wymknąć niepostrzeżenie ze Szczurzego Zamku.

Przemknęła pełna lęku pod łukiem, żałując, że nie ma już sztyletu. Słyszała w ciszy bzyącą gdzieś pszczołę. Długi korytarz był najwyraźniej pusty; więc ruszyła przed siebie, przystając często, by nadśłuchiwać odgłosów pogoni.

Weszła po schodach na szeroki podest i szukając po omacku następnej kondygnacji otarła się o drewniane drzwi. W szparach między drzwiami a framugą ani też między deskami nie widać było najmniejszej nawet smużki światła, więc albo izba za tymi drzwiami była ciemna jak same schody, albo też drzwi były wyjątkowo solidne.

Nacisnęła klamkę – nie były zamknięte – i uchyliła je troszeczkę. Na schody nie przedostało się żadne światło, weszła więc czym prędzej do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Nie miała jak skrzesać światła, nawet gdyby się na to odważyła, przeprowadziła więc rekonesans dotykiem dłoni, obchodząc pokój dookoła, aż dotarła z powrotem do drzwi, po czym przeszła ostrożnie na skos, przez środek podłogi. Natknęła się na wąskie, starannie zaślane łóżko, komódkę z kilkoma książkami, stół, na którym wymacała dłońmi butelkę i kubek – powąchała go i poczuła ostrą woń dżinu – i wreszcie, w kącie, krzesło ze złożonym ubraniem. Jacky dziękowała Bogu, gdyż wymacała krótką sukienkę, perukę, zestaw do makijażu i parę bardzo starych, skórzanych pantofli damskich.

To istny cud, że znalazłam coś takiego, pomyślała. Po chwili przypomniała sobie, że stary Teobaldo mówił coś o występie, jaki miał dać tego wieczoru; musiał to być jego pokój, a kostium przygotował sobie już wcześniej, nim zdecydował się umrzeć. Choć niczego nie

widziała, rozejrzała się ciekawie wokół. Żałowała, że nie może zobaczyć, jakie książki leżą na komódce.

Len Carrington usiadł w pokoju frontowym i napił się z płaskiej flaszki, nie dbając o to, że ktoś może go zobaczyć. Zastanawiał się, jak to się stało, że z nie wiadomej przyczyny właśnie on został mianowany zastępcą klowna. Dlatego musiał łagodzić gniew doktora Romany, oceniać niezadowolające raporty nadsyłane co parę minut przez grupę ścigającą dwóch uciekinierów i w końcu zapewniać wściekłego Horrabina, który jęczał leżąc w hamaku, najwidoczniej cały poparzony, że robi się wszystko, by naprawić sytuację. Carrington nie wiedział nawet, co się właściwie stało. Słyszał, że tańczący karzeł próbował zabić Horrabina i że później umknął podziemną rzeką z Hindusem; ale jeśli tak było, to dlaczego, na Boga, doktor Romany chciał rozmawiać jedynie z Hindusem?

Ktoś wchodził po schodach, wracając z piwnicy. Carrington przez chwilę zastanawiał się, czy nie wstać, ale po chwili dał sobie spokój.

Okazało się, zupełnie niespodziewanie, że to kobieta. Jej nastrożone włosy przypominały gniazdo jakiegoś gryzonia, strój zaś, który miała na sobie, leżał fatalnie, ale twarz pod grubą warstwą pudru i różu była ładna.

– Powiedzieli mi, że znajdę Horrabina na dole – stwierdziła spokojnie, jakby obecność kobiety w Szczurzym Zamku nie była czymś równie niezwykłym jak wizyta konia w katedrze Westminsterskiej. – Ale go nie widziałam.

– Nie – odparł Carrington, podnosząc się z miejsca. – On jest... w nie najlepszym stanie. Co, u diabła, tu robisz?

– Jestem od Katie Dunningan, która prowadzi pensjonaty przy Piccadilly. Mam umówić spotkanie; pewnie ten gość Horrabin chce wykupić udziały.

Carrington zamrugał zdziwiony. O ile się orientował, klown nie zajmował się dotychczas prostytutką, ale teraz widocznie miało się to zmienić. Było poza tym nie do pomyślenia, by młoda dziewczyna zjawiła się w tym miejscu bez konkretnego powodu. Odprężył się – z pewnością nie miała nic wspólnego z dwoma uciekinierami.

– Obawiam się, że nie możesz się teraz z nim spotkać. Lepiej stąd wyjdź i powiedz tej Dunningan, żeby następnym razem przysłała mężczyznę! Będziesz miała szczęście, jak cię zgwałcą mniej niż z tuzin razy, nim opuścisz ten budynek.

– No to mi pożycz nóż.

– Co, niby dlaczego?

Jacky mrugnęła do niego.

– Bywasz na Piccadilly?

Twarz Carringtona rozjaśnił z wolna uśmiech. Objął ją ramieniem.

– Nie, nie, nie chodzi o mnie – dodała pospiesznie. – Ja, hmm... jestem chora. Ale mamy na Piccadilly czyste dziewczyny. Chcesz, żebym podała ci hasło, dzięki któremu będziesz miał jedną za darmo, czy nie?

Carrington odsunął się od niej, ale sięgnął z niechęcią pod płaszcz i wyciągnął nóż w skórzaną pochwie.

– Masz – powiedział. – Co to za hasło?

Jacky wymówiła najbardziej obrzydliwy zwrot, jaki kiedykolwiek słyszała.

– Wiem, że to brzmi głupio, ale tak jest. Wejdź do jednego z domów, podejź do wykidajły, który stoi przy drzwiach, i szepnij mu to na ucho.

Jacky wyszła niespiesznie ze Szczurzego Zamku, czyszcząc sobie ostentacyjnie nożem paznokcie.

Rozdział 7

*Młodość, Natura i Jowisz łagodny
Płomień mej lampy sycą dorodny,
Lecz Romanelli tak krzepki był.
Pokonał ową trójkę, a lampę rozbił w pył.*

Lord Byron, w liście z Patras,
3 października, 1810

Doyle ocknął się w sobotni poranek na legowisku ze słomy i uświadomił sobie, że dojrzał do podjęcia pewnej decyzji; perspektywa tego, co zamierzał uczynić, sprawiła, że zaschło mu w ustach, a dłonie drżały, lecz był to jednak objaw zdrowego podniecenia, jakie odczuwa się przed trudnym zadaniem, które człowiek sobie postawił, i przynosiła ulgę po tygodniu ponurego zmagania się z samym sobą.

Zdał sobie sprawę, że wiązanie wszelkich nadziei z interwencją Ashblessa było błędem. Nawet gdyby zdołał odszukać poetę, to i tak było czystą fantazją przypuszczać, że Ashbless zechciałby, czy też mógł, zrobić cokolwiek, by mu pomóc. Konflikt dotyczył jego i doktora Romany, a konfrontacja była jedyną drogą rozwiązania owego konfliktu. Wiedział, że im prędzej się to stanie, tym lepiej; gdyż jego zdrowie zdecydowanie się pogarszało.

Poprosił Kusiaka o wolny dzień, a stary człowiek udzielił mu go z radością, gdyż rozdzierający kaszel Doyle'a odstraszał klientów. Doyle zebrał swe skromne oszczędności i kupił to, co uznał za środek zabezpieczający: porysowany i zardzewiały pistolet skałkowy, z którego, jak dowodził właściciel sklepu z przyborami marynarskimi, naprawdę można strzelić, i którego Doyle chciał użyć, grożąc doktorowi samobójstwem, gdyby ten chciał go pochwycić. Poprzed-

niego wieczoru, na moście Londyńskim, Jacky opowiedział mu o niedanym zamachu na życie Horrabina, i teraz Doyle żałował, że nie ma pigułki, którą karzeł zaoferował Jacky'emu; łatwiej byłoby trzymać ją w zębach niż taszczyć ze sobą pistolet przystawiony do głowy.

Uświadamiając sobie, że zmęczyłoby mu się ramię, gdyby przypadkiem musiał długo trzymać broń wymierzoną w siebie, zdjął pasek, przeciągnął jeden koniec przez osłonę spustu, a następnie zawiesił sobie pistolet na szyi. Dzięki zapiętemu szczelnie płaszczowi i szalikowi, który zakrywał wylot lufy pistoletu wciskającej się w miękką skórę podbródka, nic nie było widać, a broń znajdowała się w takiej pozycji, że wystarczył jeden ruch kciuka, między drugim a trzecim guzikiem płaszcza, by kula przeszła mu usta, podniebienie, przegrodę nosową, mózg, po czym wyszła tuż przy ciemieniu.

Na Bishopsgate Street spotkał żebraka z domu kapitana Jacka i po krótkim powitaniu stary człowiek powiedział mu, że obóz doktora Romany znajduje się obecnie na polu przy północnym końcu Goswell Road, a Cyganie przepowiadają przyszłość arystokratom z West Endu i sprzedają eliksiry miłosne i trucizny mieszkańcom ruder przy Golden Lane.

Doyle podziękował mu, kazał pozdrowić znajomych i skręcił na wschód, w London Wall Street. Gdy przechodził przez Coleman Street – jak sobie uświadomił, zaledwie jedną przecznicę od domu, w którym urodził się Keats – posłyszał, jak ktoś gwizdże po północnej stronie ulicy.

Były to trzy pierwsze takty – wysoki-niski-niski – *Yesterday*.

Z drugiej strony Coleman Street odpowiedziano dziewięcioma kolejnymi taktami.

Tym razem nie miał żadnych wątpliwości. Nie był jedynym człowiekiem z dwudziestego wieku w 1810 roku. Czując, jak mocno bije mu serce, przebiegł na drugą stronę ulicy i przystanął, rozglądając się gorączkowo wokół. Wielu ludzi patrzyło na niego, on zaś zaglądał w każdą rozbawioną czy niezadowoloną twarz, mając nadzieję, że w jakiś sposób rozpozna coś znajomego ze swego stulecia; ale wszyscy sprawiali wrażenie miejscowych obywateli.

Zrobił kilka niepewnych kroków po Coleman Street, nim dostrzegł powóz stojący przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Jego boczne okno było otwarte i Doyle widział niewyraźną sylwetkę pasażera siedzącego w środku. Nagle stracił grunt pod nogami, ale sekundę wcześniej dojrzał w powozie błysk wystrzału, lecz to, co usłyszał, było detonacją jego własnego pistoletu ukrytego pod płaszczem, gdy kula

strzaskała mechanizm kurka i zapaliła proch; odwrócił się szybko, kiedy więc broń wypaliła, jej lufa znajdowała się tuż przy jego brodzie, nie pod nią, i rozpalona do czerwoności kula jedynie rozorała mu policzek i oderwała prawe ucho, zamiast rozwalić głowę.

Leżał skulony w kłębek, nie słysząc turkotania oddalającego się powozu. Uświadamiał sobie mgliście, że doszło do eksplozji i że jest ranny i zalany krwią. Bolała go strasznie klatka piersiowa, lecz gdy rozchylił zdrętwiałymi dłońmi spalone prochem strzepy koszuli i odsunął na bok dymiący, roztrzaskany pistolet, stwierdził, że nie odniósł chyba śmiertelnej rany; wyczuwał tylko mnóstwo oparzeń i zadraśnięć. Dzwoniło mu w uszach, w prawym bardziej niż w lewym; był właściwie pozbawiony czucia po jednej stronie głowy, jakby dostał zastrzyk z nowokainy. Pomacał tam i wyczuł gorącą strugę krwi i brak kawałka ucha. Co na Boga się wydarzyło?

Przekręcił się na bok, próbując się podnieść, gdy podeszło kilku ludzi i ze współczuciem, lecz niezbyt delikatnie, pomogło mu wstać. Doyle jak przez mgłę słyszał, co mówią.

– Żyjesz, człowieku?

– Po co pytasz, spójrz, dostał w samą głowę.

– Ten w powozie do niego strzelił.

– Bzdura, wszystko widziałem, to jego pierś eksplodowała. Miał tam bombę. To jeden z tych francuskich szpiegów z Leicester Square.

– Ej, spójrzcie – zawołał ktoś. – Ma przywiązany do szyi pistolet, całkiem roztrzaskany. – Obrócił twarz Doyle’a ku sobie. – Po co go, u diabła, nosisz w ten sposób?

Doyle chciał jak najszybciej oddalić się stamtąd.

– Ja... właśnie go kupiłem – wymamrotał. – Myślałem, że to dobry sposób, żeby go zanieść do domu. Hmm... chyba sam wystrzelił.

– Ten człowiek to idiota – oświadczył któryś, zwracając się zaś do Doyle’a powiedział: – I tak się już na nic nie przyda. Sam widziałeś, że rozpadł się na kawałki po pierwszym strzale. No dobra, chodź ze mną, zaprowadzimy cię do doktora, który załata ci głowę.

– Nie! – zaprotestował Doyle, nie mogąc sobie przypomnieć, czy w 1810 roku środki dezynfekujące były już w powszechnym użyciu, i choć nie był w stanie myśleć jasno, wiedział, że nie ma ochoty złać jakiejś paskudnej infekcji od nie mytych rąk i nici chirurgicznych. – Dajcie mi tylko... trochę brandy. Mocnej brandy. Albo whisky – wszystko jedno co, byle z alkoholem.

– Wiedziałem! – zawołał cienkim głosikiem starszy mężczyzna, który nie widział dokładnie, co się wydarzyło. – To podstęp. Pewnie stracił ucho dawno temu i teraz chodzi po Londynie udając, że ktoś mu je odstrzelił, a naiwni stawiają mu drinka.

– Akurat – zaprotestował ktoś inny. – Patrz, tam leży kawałek jego ucha. Ocho! Uważajcie! Będzie rzygał!

Doyle rzeczywiście zwymiotował. Po chwili pozbierał się i ruszył przez coraz obojętniejszy tłum. Nieświadomy ciekawskich spojrzeń, zrzucił z ramion płaszcz, podarł resztki koszuli i obwiązał nimi głowę, by zatamować krew, która kapłała na trotuar i ściekała mu po rękach; znowu założył płaszcz, po czym, osłabiony szokiem i wpływem krwi, oddalił się chwiejnym krokiem, by poszukać jakiejś knajpy. Chociaż nie był w tej chwili niczego pewien, czerpał pociechę z myśli, że kupno pistoletu, który zwieszał mu się teraz z szyi, nie pozbawiło go do końca gotówki, której starczyłoby jeszcze na dwie brandy; jedną zamierzał nasączyć bandaż, drugą zaś wlać, i to szybko, do gardła.

Dwa dni później znów usłyszał melodię Beatlesów.

Kiedy wrócił w niedzielne popołudnie do Kusiaka i pchnął drzwi frontowe, po czym wszedł chwiejnym krokiem do sieni, stary szynkarz podniósł wzrok znad jakiejś książki z wyrazem przerażenia na twarzy, które szybko przerodziło się w gniew. Przerwał nieskładne wyjaśnienia Doyle'a, wydając zwięzłe polecenie, by położono go do łóżka w wolnej izbie i pilnowano, dopóki „dusza nie uleci przez sufit albo przeklęte nogi nie wyjdą wraz z nim przez tylne drzwi”. Podstawił pięć pod brodę Doyle'a i zmusił go do uniesienia bladej twarzy. „Nie obchodzi mnie, którądy, Doyle, ale wyniesiesz się stąd tak szybko jak będzie to tylko możliwe – rozumiesz mnie, co?”.

Doyle wyprostował się i zdobył się na jakąś pełną godności odpowiedź, której później nie mógł sobie przypomnieć, po czym nagle runął do tyłu jak podcięte drzewo; kiedy uderzył o podłogę całą długością ciała, ta zadudniła niczym bęben.

Kusiak, z pewną ulgą, uznał go za zmarłego i kazał wynieść na podwórko, skąd miał go zabrać posterunkowy, lecz gdy dwóch kuchcików dowlokło bezwładne ciało do tylnego wyjścia, Doyle usiadł, rozejrział się nieprzytomnie i stwierdził: „Lot 801 do Londynu – ma pan dla mnie bilet. Jest opłacony – przez Darrowa z IBID. W czym problem?” – po czym znów stracił przytomność.

Kusiak, znużony, przeklął Doyle'a i nieobecną Jacky, a następnie kazał chłopcom zanieść nieprzytomnego i niepożądanego gościa do najmniejszej wolnej izby i zaglądać do niego od czasu do czasu, dopóki nie zechce wreszcie łaskawie umrzeć.

Przez dwa dni Doyle leżał bezwładnie na wąskim łóżku w pozbawionej okien izdebce o dziwnym kształcie, znajdującej się pod schodami, żywiony znakomitą zupą rybną Kusiaka i ciemnym piwem, śpiąc przez większość czasu; we wtorek wieczorem wstał i wyszedł do sieni, gdzie dojrzał go przepasany fartuchem Kusiak, który stwierdził, że skoro Doyle wyzdrowiał na tyle, by opuścić swoją izdebkę, to jest też dość zdrowy, by opuścić gospodę.

Kiedy Doyle włożył płaszcz i zszedł po kilku wypaczonych stopniach na ulicę, usłyszał, jak coś brzęknęło za jego plecami o trotuar. Odwrócił się i zobaczył, że Kusiak wyrzucił w ślad za nim jego pistolet. Cofnął się i podniósł go, gdyż mógł dostać za niego kilka pensów w jednym z licznych lombardów handlujących wszelką starzyzną, a w obecnej sytuacji zdobycie trzech pensów podwoiłoby jego fortunę.

Z pewnością jest całkowicie zniszczony, pomyślał, podnosząc go z ziemi. Mechanizmu kurka nie było w ogóle, łożysko było rozłupane, a głęboko w drewnie tkwił zniekształcony korpus pocisku, który go ugodził. Doyle wstrząsnął się, uświadamiając sobie, że kula przeszłaby mu pierś, gdyby nie natrafiła na pistolet.

Przyjrzał się pociskowi dokładniej; miał płaskie dno jak pociski wystrzeliwane z łusek. To nie była wcale kula.

No tak, to tylko potwierdza moje przypuszczenia, pomyślał. Takie pociski nie pojawiły się przed 1850. A zatem są tu, to znaczy teraz, ludzie z dwudziestego wieku, którzy z jakichś powodów pałają do mnie wrogością. Co oni, u licha, mają przeciwko mnie? I pomyślał jeszcze: Zastanawiam się, kto to, u diabła, jest?

Dotarł do Borough High Street. Po prawej stronie widać było ponurą bryłę szpitala św. Tomasza, a po lewej wynurzał się ze zmięzchu most Londyński, spinający oba brzegi szerokiej Tamizy, której zmarszczone, szaroolowiane oblicze zaczęło już migotać pierwszym światłem wieczoru. Zdawało się, że druga strona rzeki jest bardziej przyjazna, więc Doyle skręcił w lewo. Ale dlaczego, pytał samego siebie idąc w stronę mostu, podróżujący w czasie mieliby włączyć się po Londynie 1810 roku? I dlaczego, na litość boską, próbują mnie zabić? Dlaczego mnie po prostu nie zabrają z powrotem? Czy uważają, że chcę być tu... teraz?

Uderzyła go pewna myśl. Czy to dlatego, że szukam Ashblessa? Może miał jednak pojawić się w Jamaica Coffee House, ale go wprowadzili; a ponieważ sam przybyłem z przyszłości, zauważyłbym jego nieobecność, więc nie chcę, bym komukolwiek o tym mówił.

Gdy dotarł do łagodnie wygiętego wierzchołka mostu, przystanął i opierając się o zwieńczenie kamiennej balustrady powiódł wzrokiem wzdłuż rzeki, ku ciemniejącemu zachodowi słońca, które wydobywało z mroku pięć łuków Blackfriar's Bridge oddalonego o blisko kilometr, w górę Tamizy.

Spróbuję jeszcze raz spotkać się z doktorem Romany, pomyślał. Sprawa jest pewnie przegrana, ale muszę zrobić wszystko, by wrócić do roku 1983. – Westchnął, użalając się przez chwilę nad sobą. – Gdyby tylko chodziło o ten bronchit czy zapalenie płuc, to mógłbym tu pozostać i próbować się leczyć, a potem jakoś ułożyć sobie tu i teraz życie; ale nie w sytuacji, gdy dwie niewątpliwie potężne grupy walczą o człowieka, z których jedna próbuje go zabić, a druga chce poddać torturom.

Odsunął się od balustrady i ruszył w dół północnego przęsła mostu. Oczywiście, mógłbym po prostu opuścić miasto, mówił sobie. Zejść od razu na brzeg, ukraść jakąś łódź i odpłynąć; prąd zaniósłby mnie do Gravesend czy gdziekolwiek. Zacząć nowe życie.

Kiedy otrząsnął się ze swych myśli, był już poza mostem i przechodził właśnie Thames Street. Powiódł wzrokiem wzdłuż oświetlonej latarniami ulicy, przypominając sobie dzień sprzed dwóch i pół tygodnia, kiedy to niemal pozwolił się temu żebrakowi udającemu ślepotę zaprowadzić do Horrabina, a potem został uratowany przez Skate'a Benjamina.

Na ulicach było w ten wtorkowy wieczór niewielu ludzi, a z pubów i jadalni przy Gracechurch Street nie dochodził gwar, jedynie blask świateł. Doyle usłyszał z daleka gwizdaną melodię. Znowu *Yesterday*.

Kiedy minął pierwszy moment ślepej paniki, Doyle uśmiechnął się rozbawiony ponuro, że ta melodia wywołuje w nim odruchy Pawłowa i natychmiast schował się we wnęce wejściowej jakiegoś domu, wyszarpnął z kieszeni płaszcz zepsuty pistolet i uniosł nad głowę jak maczugę. Teraz, gdy uświadomił sobie, że dźwięk dociera z miejsca oddalonego o co najmniej przecznice, opuścił broń i odetchnął, chociaż serce biło mu jak oszalałe. Wyjrzał ostrożnie ze swojej niszki, nie chcąc, by go zauważono. Po kilku chwilach gwizdający wyszedł z za rogu Eastcheap i zaczął iść w dół Gracechurch, w stronę Doyle'a, ale po drugiej stronie ulicy.

Mężczyzna był wysoki i wyglądał na pijanego. Miał na głowie zakrywający twarz kapelusz o szerokim rondzie i zataczał się na boki, choć raz przystanął, by wykonać niezgrabną parodię stepowania, akompaniując sobie szybkim gwizdaniem. Gdy miał już minąć kryjówkę Doyle'a, uniósł gwałtownie głowę i zauważył po prawej stronie wąski, źle oświetlony budynek, w którym mieścił się pub o nazwie Czujny Rowsby. Mężczyzna przestał gwizdać, poklepał się po kieszeni, po czym, uspokojony brzękiem monet, pchnął drzwi z okrągłymi okienkami i zniknął w środku.

Doyle ruszył czym prędzej na południe, w stronę rzeki i Gravesend, lecz po kilku krokach przystanął i zerknął na pub.

Czy naprawdę możesz przed tym uciec? Ten facet z pewnością jest sam, poza tym nie wydaje się w tej chwili szczególnie niebezpieczny, pomyślał. Nie bądź idiotą – protestował jakiś bojaźliwy głos w jego umyśle. Wynoś się stąd do wszystkich diabłów!

Zmagał się przez chwilę ze sobą, po czym z wahaniem, niemal na palcach, przeszedł na drugą stronę ulicy i zbliżył się do drewnianych drzwi pubu. Sztyd ze starą nazwą kołysał się z jękiem na łańcuchach, podczas gdy Doyle starał się zapanować nad nerwami i nacisnąć w końcu żelazną klamkę w kształcie litery S.

Uwolniono go od konieczności podjęcia decyzji, gdy drzwi się gwałtownie otworzyły i na trotuar wytoczył się wysoki, tęgi mężczyzna, niemal pchany prądem ciepłego powietrza płynącego z pubu. Cuchnął wołowiną, piwem i łojem świec.

– Masz problem, przyjacielu? – zawołał głośno mężczyzna. – Brak ci pensa na piwo? Masz. Kiedy Morningstar pije, wszyscy piją. – Wrzucił Doyle'owi do kieszeni garść miedzianych monet. – Właź do środka.

Morningstar położył swą potężną łapę między łopatkami Doyle'a i wepchnął go do pubu.

Chowając twarz przed siedzącymi przy stolikach i w boksach, Doyle ruszył czym prędzej w stronę długiego kontuaru przy końcu sali i zamówił u znudzonego szynkarza piwo. Spuścił sobie włosy na czoło i zasłaniając się podniesioną do ust ciężką szklanką odwrócił się bokiem do kontuaru i zaczął powoli penetrować salę, łykając przy okazji piwa.

Nagle znieruchomiał, niemal się dławiąc. Mężczyzna, który gwizdał na ulicy, siedział w boksie pod przeciwległą ścianą; kapelusz leżał obok szklanki z piwem, a świeczka na stole dobywała z mroku jego zmizerowaną twarz o mętnych oczach. Był to Steerforth Benner.

Kiedy Doyle upewnił się, że się nie myli ani nie ulega halucynacji, łyknął piwa. Dlaczego Benner nie wrócił z pozostałymi? Czy ktoś jeszcze nie zdążył na odjazd? Doyle odsunął się od kontuaru i podszedł ze swoim piwem do stolika Bennera. Wsunął drugą rękę do kieszeni płaszcza i ujął rękojeść rozbitego pistoletu.

Wielki mężczyzna o piaskowych włosach nie podniósł wzroku, więc Doyle przesuwając pod płaszczem pistolet, aż w końcu lufa wypchnęła materiał, i potrząsnął siedzącego za ramię.

Benner spojrzał poirytowany w górę, marszcząc brwi.

– Tak? – spytał, po czym dodał już ostrożniej: – O co chodzi?

Doyle stracił cierpliwość. Czy ten człowiek musiał być akurat pijany?

– To ja, Steerforth. Ja – Doyle. – Usiadł po drugiej stronie stołu, celowo uderzając lufą pistoletu o blat. – Mam tu broń – powiedział – i jest ona wymierzona, jak widzisz, prosto w twoje serce. A teraz chciałbym, żebyś odpowiedział na kilka pytań.

Benner gapił się na niego szeroko otwartymi oczami, w których malowało się przerażenie. Opadła mu szczęka. Po chwili zaczął szybko mówić, wyrzucając z siebie bełkotliwie słowa:

– Chryste, Brendan, nie zdręczaj mnie, jesteś prawdziwy, to znaczy tam, dobry Boże, nie jesteś duchem albo to delirium tremens, prawda? Powiedz coś, do diabła!

Doyle potrząsnął z obrzydzeniem głową.

– Powiniennem udawać ducha, żeby zobaczyć jak pękasz. Weź się w garść. Jestem rzeczywisty. Czy duchy piją piwo? – Doyle przechylił szklankę do ust, nie spuszczać wzroku z Bennera. – Wiesz oczywiście, że zostałem postrzelony w niedzielę. Powiedz mi, kto to zrobił i dlaczego oraz kto jeszcze kręci się po okolicy, gwizdząc *Yesterday*.

– Wszyscy, Brendan – odparł szczerze Benner. – Wszyscy chłopcy, z którymi Darrow tu wrócił. Ta melodia to ich znak rozpoznawczy, jak te trzy takty, którymi w West Side Story nawołują się ci z bandy Portorykańczyków.

– Darrow? On tu jest? Myślałem, że podróż powrotna odbyła się bez przeszkód.

– Ta, w której ty uczestniczyłeś? Pewnie. Wszyscy prócz ciebie wrócili bez żadnych problemów. – Benner potrząsnął w zamyśleniu głową. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że chcesz tu zostać, Brendan.

– Wcale nie chciałem. Porwał mnie jeden zwariowany Cygan. Ale co się właściwie stało? Darrow powtórnie tu wrócił? Jakim cudem? Znalazł nowe szczeliny?

– Nie. A po cóż miałyby ich szukać? Posłuchaj, cały ten wykład Coleridge’a był po prostu szczęśliwym trafem, dzięki któremu Darrow mógł sfinansować swój prawdziwy zamiar, to znaczy przeniesienie się do cholernego 1810 na stałe. Zatrudnił biegłych w historii chłopaków o szerokich horyzontach, którzy mieli stanowić jego świętę; to było właśnie moje zadanie, o którym nie chciałem ci mówić, pamiętasz? I wtedy dowiedział się, że stary Coleridge wygłasza wykład w Londynie w czasie trwania szczeliny. Miał już problemy finansowe, a to było rozwiązaniem; wziąć po milionie od bogatych dziwaków, zajmujących się kulturą, za wysłuchanie Coleridge’a. Zdecydował, że jest mu do tego potrzebny ekspert, no i zatrudnił ciebie. Ale jego głównym... celem... było wrócić tu znowu, tylko on i starannie dobrany personel, i zacząć nowe życie. Więc kiedy grupa od Coleridge’a wróciła do 1810, wsadził ją czym prędzej do samochodów i odesłał, a sam przygotował następny skok do tej samej szczeliny z pierwszego sierpnia, no i skoczyliśmy. Ale tym razem wylądowaliśmy w samym środku szczeliny, w jakąś godzinę po tym, jak wy wszyscy, my wszyscy, odjechaliśmy na wykład Coleridge’a, i uprzątnęliśmy wszelkie ślady naszego przybycia, a potem oddaliliśmy się, zanim oba powozy zdążyły powrócić, minus jeden ekspert od Coleridge’a, by poczekać na zamknięcie szczeliny. – Benner wyszczerzył w uśmiechu zęby. – Byłoby zabawne pojechać do Korony i Kotwicy i popatrzeć na siebie samych. Dwóch Bennerów i dwóch Darrowów! Darrow nawet o tym myślał, chciał też się przekonać, czy naprawdę zwiąłeś, ale uważał, że grzebanie nawet w maleńkiej części historii byłoby zbyt ryzykowne.

– Więc dlaczego Darrow chce mnie zabić? – dopytywał się niecierpliwie Doyle. – I jeśli się tak cholernie troszczy o nienaruszalność historii, to dlaczego porwał Williama Ashblessa?

– Ashblessa? Tego zwariowanego poeetę, o którym pisałeś? Nie natknęliśmy się na niego. A bo co, kręci się gdzieś w pobliżu?

Wyglądało na to, że Benner mówi szczerze.

– Nie – odparł Doyle. – Przestań unikać pytań. Dlaczego Darrow chce, żebym był martwy?

– Sądzę, że chce, byśmy wszyscy byli martwi – mruknął Benner do swojej szklanki z piwem. – Obiecywał, że personelowi będzie wolno wrócić do 1810 przez szczelinę w 1814, ale jestem raczej pewien, że chce nas pozabijać, po kolei, gdyż nie jesteśmy mu już potrzebni. Ma nasze mobilne haczyki. Zdążył już zabić Baina i Kaggasa – to ci, którzy mieli cię wykończyć tydzień temu. A dzisiejszego

ranka podsłuchałem, jak wydał rozkaz, by zastrzelić przy pierwszej sposobności również mnie. Zdołałem zgarnąć sporo gotówki i zwiać, ale teraz boję się do niego zbliżyć. – Benner podniósł pełen smutku wzrok. – Widzisz, Brendan, on nie chce tu nikogo, kto znałby osiągnięcia dwudziestego wieku: radio, penicylinę, fotografię, tego typu rzeczy. Martwił się, że opatentujesz maszynę latającą, cięższą od powietrza albo opublikujesz *Wybrzeże w Dover* Arnolda pod swoim nazwiskiem, czy coś w tym rodzaju. Naprawdę mu ulżyło, gdy poinformowałem go...

Nastąpiła chwila ciszy, która przedłużała się nieprzyjemnie. Doyle uśmiechał się coraz szerzej.

– Poinformowałeś go, że trafiłeś mnie w samo serce.

– Chryste – wyszeptał Benner, zamykając oczy – nie strzelaj do mnie, Brendan. Musiałem to zrobić, działałem w obronie własnej; każałby z kolei mnie zabić, gdybym go nie usłyszał. I tak nic ci się nie stało. – Otworzył oczy. – Gdzie cię trafiło? Przecież nie chybiłem.

– Nie, to był dobry strzał, w sam środek klatki piersiowej. Ale miałem coś pod płaszczem i to zatrzymało twój pocisk.

– Aha, no cóż, cieszę się. – Benner uśmiechnął się szeroko i przechylił do tyłu. – Powiadasz, że nie urwałeś się dobrowolnie z tej naszej wyprawy na wykład Coleridge’a? A zatem obaj możemy sobie pomóc, i to bardzo.

– Jak? – spytał Doyle sceptycznie.

– Chcesz wrócić? Do 1983?

– No... tak.

– Dobrze. Ja też. Człowieku, nikt nie wie, co ma, dopóki tego nie straci, no nie? Wiesz, czego mi najbardziej brakuje? Mojego stereo. Chryste, jak byłem w domu, to mogłem sobie w ciągu jednego dnia puścić wszystkie dziewięć symfonii Beethovena, jeśli chciałem, a na jutro Czajkowskiego dla odmiany. I Wagnera! I Gershwin! Janis Joplin! Do diabła, to było nawet zabawne, jechać do sali koncertowej i tam słuchać tego wszystkiego, ale to do niczego, jeśli nie ma innego sposobu.

– A więc jaki masz plan, Benner?

– No cóż – masz, Brendan, zapal sobie cygaro – skinął na dziewczynę – pozwól postawić sobie jeszcze jedną kolejkę, to ci powiem.

Doyle wziął długi cylinder z rodzaju tych, jakie palił Churchill, bez banderoli i celofanu, po czym odgryzł koniuszek; następnie, nie odrywając oczu od człowieka siedzącego naprzeciwko, podniósł świecę i odpalił od niej cygaro. Nie było złe.

– No cóż – zaczął Benner, też zapalając, gdy Doyle odstawił świecę – zacznę od tego, że stary zwariował. Oszalał. Mądry, jak trzeba, bardzo sprytny facet, ale już nie panuje nad sytuacją. Wiesz, co kazał nam wszystkim robić, od kiedy tu postawiliśmy stopę? Podczas gdy moglibyśmy, czy ja wiem co, rezerwować bilety do Klondike? Kupił jakiś cholerny sklep na Leadenhall Street i urządził go, i to kompletnie, jako, Chryste Panie, salon fryzjersko-depilacyjny – pojmujesz? Taki, do jakiego się chodzi, jak chce się usunąć zbędne owłosienie. Każe tam siedzieć na okrągło dwóm ludziom, od dziewiątej rano do dziewiątej trzydzięci wieczorem!

Doyle zmarszczył w zamyśleniu czoło.

– Czy powiedział... dlaczego?

– Pewnie, że powiedział. – Przyniesiono właśnie trunki i Benner łyknął zdrowo. – Powiedział nam, żebyśmy wypatrywali człowieka, który cały jest pokryty lekkim zarostem i który poprosi o golenie ciała. Darrow kazał nam go postrzelić ładunkiem usypiającym, związać i zanieść na górę, ale nie robić mu żadnej krzywdy, tylko go uspić, i lepiej dla nas, żebyśmy go nie trafili w twarz albo szyję. I posłuchaj, Brendan, spytałem go: „Szefie, jak wygląda ten facet?”. To znaczy, prócz tego, że ma wszędzie włosy. Wiesz, co mi Darrow odpowiedział? „Nie wiem, a nawet gdybym wiedział, opis byłby aktualny tylko przez tydzień czy coś koło tego”. Czy tak zachowuje się i mówi normalny człowiek?

– Może tak, może nie – odparł wolno Doyle, unosząc brwi. Przyszło mu do głowy, że wie teraz o zamiarach Darrowa więcej niż Benner. – Jaki to ma związek z twoim planem powrotu do domu?

– No cóż – słuchaj, masz jeszcze swój mobilny haczyk? – Dobrze – Darrow zna czas i lokalizację wszystkich szczelin. A występują teraz często, ta w 1814 wcale nie jest najbliższa. Więc dobijemy z nim targu, nakłonimy go, żeby podał nam lokalizację następnej, a wtedy pójdziemy i staniemy sobie na jej polu, kiedy będzie dobiegała końca, i hop! – znajdziemy się z powrotem na tej pustej posesji we współczesnym Londynie.

Doyle zaciągnął się głęboko doskonałym – musiał to przyznać – cygarem i popił łykiem piwa.

– A co jest naszą kartą przetargową?

– Hę? Och, nie powiedziałem ci? Znalazłem tego włochacza. Zjawił się wczoraj, tak jak przewidywał stary. Niski, gruby facet o rudych włosach, cały porośnięty krótkim zarostem. Kiedy sięgnąłem po broń z ładunkiem usypiającym, przestraszył się i uciekł, ale –

Benner uśmiechnął się z dumą – podążyłem za nim do jego mieszkania. No więc dziś rano podśluchiwałem pod drzwiami pokoju Darrowa – próbowałem się zorientować, czy jest w odpowiednim nastroju, by przedstawić mu ofertę: ty mi dajesz haczyk i mówisz mi, gdzie jest szczelina, a ja ci powiem, gdzie mieszka owłosiony człowiek, ale niech Bóg ma mnie w swojej opiece, słyszę, jak Darrow mówi do Clitheroe, żeby ten powiedział wszystkim chłopakom, że mają zastrzelić Bennera, jak tylko go zobaczą! Coś mi się wydaje, że mi nie ufa. Więc opróżniłem jedną z kasetek i zwałem. Potem poszedłem i sam pogadałem z owłosionym człowiekiem. Zjadłem z nim lunch przed paroma godzinami.

– Naprawdę? – Doyle pomyślał sobie, że wolałby zjeść lunch z samym Kubą Rozpruwaczem niż z Joem Psią Twarzą.

– Pewnie. To nie jest zły facet, tak naprawdę. Ma trochę dziki wzrok i w kółko gada o nieśmiertelności i egipskich bogach, ale jest cholernie wykształcony. Powiedziałem mu, że Darrow może wyleczyć go z jego nadmiernego owłosienia, ale ma przy okazji do niego kilka pytań. Nadmieniałem, że stary zamierza poddać go torturom – co, o ile się orientuję, może być prawdą – i że on, ten włochaty, potrzebuje pośrednika, rzecznika, który pertraktowałby z Darrowem. Powiedziałem, że byłem jednym z chłopców Darrowa, ale zerwałem z nim, kiedy usłyszałem, jak zamierza potraktować tego biednego sukinsyna. Rozumiesz? Ale wciąż mam problem – myślę o tym rozkazie, jaki Darrow wydał swoim ludziom, żeby mnie zastrzelić na miejscu. – Benner uśmiechnął się szeroko. – No więc jesteś od teraz moim współnikiem. Gadasz z Darrowem, omawiasz warunki układu, a potem dzielimy się zyskiem i wracamy razem do domu. Wyobrażam sobie, że zaczniesz w ten sposób. – Benner rozsiadł się wygodnie i podniósł brwi, przypatrując się Doyle’owi. – „Powiedzmy temu King Kongowi, żeby do ciebie nie przychodził, Darrow, dopóki nie dostanie od nas listu”. A my damy ten list pewnej przyjaciółce – znam jedną dziewczynę, która świetnie się do tego nadaje – z instrukcją, by wysłała go tylko wówczas, kiedy zobaczy, jak znikamy w szczelinie. No więc informujesz Darrowa: „Ty nam dasz haczyk i lokalizację szczeliny, i jeśli nasza dziewczyna zobaczy, jak zostają po nas tylko ubrania, a rozumiesz, że będzie obserwować wszystko z odległości stu metrów, z jakiegoś drzewa albo okna, więc nie licz na to, że ją znajdziesz, to twój włochacz dostanie polecenie, żeby pójść do ciebie”.

Doyle próbował cały czas mu przerwać.

– Ależ, Benner – powiedział w końcu – zapomniałeś, że Darrow wydał też rozkaz, by i mnie zabić. Nie mogę się do niego zbliżyć.

– Nikt cię nie ściga, Brendan – tłumaczył cierpliwie Benner. – Po pierwsze, wszyscy myślą, że cię zabiłem, a po drugie, pamiętają cię jako tęgiego, zdrowo wyglądającego faceta, który wygłosił wykład o Coleridge’u. Patrzyłeś ostatnio w lustro? Jesteś wychudzony i bładny jak gość z drzeworytów Dürera, a na twojej twarzy pojawiło się ze sto nowych zmarszczek – mam mówić dalej? OK – jesteś poza tym całkowicie łysy i wydaje się, że nie masz na dodatek ucha. Zauważyłem też, że śmiesznie utykasz. Mówiąc szczerze, wyglądasz o dwadzieścia lat starzej. Nikt na ciebie nie spojrzy i nie powie: „Aha, to jest Brendan Doyle”. Więc się nie martw. Wejdiesz po prostu do salonu fryzjerskiego i powiesz coś w tym rodzaju: „Cześć, pewien mój przyjaciel porasta na całym ciele futrem, pozwólcie, że porozmawiam z waszym szefem”. A wtedy, jak zobaczysz Darrowa, dobijesz z nim targu. W tym momencie będziesz mógł już się ujawnić jako Doyle. Darrow nie ośmieli się niszczyć jedyne go ogniwka z Potężnym Joe Młodzieniaszkiem.

Doyle przytaknął zamyślony.

– To niezłe, Benner.

Był przekonany, że wie, co Darrow zamierza zrobić... i, tak przy okazji, dlaczego stary człowiek przechowywał kopię *Dziennika* lorda Robba. Pomyślał: To ten jego rak. Darrow jest śmiertelnie chory, ale jak tylko uzyskał możliwość podróży w czasie, to uzyskał też dostęp do faceta, który potrafi zamieniać się z innymi na ciała. A zatem zdobył kopię tej książki, gdyż znajduje się w niej jedyna wzmianka o czasie, miejscu i okolicznościach egzekucji Joego Psiej Twarzy, opisanej przez naocznego świadka. To jest informacja!

– Do diabła, słuchasz mnie, Brendan?

– Przepraszam. O co chodzi?

– Posłuchaj, to ważne. Dziś jest wtorek. Co byś powiedział, jakbyśmy spotkali się w sobotę; znasz gospodę Jonathena przy Exchange Alley, obok banku? Spotkajmy się tam około południa. Do tego czasu załatwię z dziewczyną sprawę listu i rozmówię się z włochatym, żebyś mógł spotkać się z Darrowem. OK?

– Jak mam przeżyć do soboty? Strzelając do mnie, pozbawiłeś mnie pracy.

– Och, przepraszam. Masz. – Benner wsadził rękę do kieszeni i rzucił na stół pięć zmiętoszonych banknotów pięćofuntowych. – Tyle wystarczy?

– Powinno. – Doyle wetknął pieniądze do kieszeni, po czym wstał. Uśmiechnął się tylko, kiedy Benner wyciągnął dłoń. – Nie, Benner. Będę z tobą współpracował, ale nie uścisknę ręki facetowi, który próbował zabić starego przyjaciela, żeby ratować własny tyłek.

Benner zamknął dłoń i uśmiechnął się.

– Będziesz mógł tak gadać, jak się znajdziesz w mojej sytuacji i zachowasz się inaczej niż ja, stary kumplu. Może wtedy się zawstydzę. Do zobaczenia w sobotę.

– Dobra. – Doyle zbierał się już do wyjścia, ale po chwili odwrócił się do Bennera. – Dobre cygaro. Gdzie je zdobyłeś? Zastanawiałem się zawsze, jak smakują cygara w 1810, a teraz stać mnie na nie.

– Przykro mi, Brendan. To upmann, rocznik 1983. Ukradłem pudełko Darrowowi, kiedy wiałem od niego.

– Och.

Doyle ruszył w stronę drzwi i wyszedł z pubu. Na niebie widać było księżyc, a cień szybko przesuwających się chmur omiatała ulice i frontony domów niczym duchy podążające ku rzece. Jakiś stary człowiek szukał czegoś w rynsztoku. Po chwili schylił się i podniósł rozdeptany niedopałek cygara.

Doyle zbliżył się do niego.

– Masz – podsunął tamtemu swoje zapalone cygaro. – Daj sobie spokój z tym śmieciem. Zapal sobie upmanna.

Stary człowiek spojrział na niego gniewnie.

– Up mah co?

Zbyt znużony, by cokolwiek wyjaśniać, Doyle oddalił się pospiesznie.

Doyle, którego stać było teraz na pewien luksus, wynajął pokój w Hospitable Squires przy Pancras Lane, gdyż wszelkie źródła potwierdzały zgodnie, że właśnie tu zatrzymał się William Ashbles podczas pierwszych tygodni pobytu w Londynie; i choć stwierdził ze zdziwieniem, że właściciel nigdy nie słyszał o żadnym Ashblesie, ani nawet nie wynajął pokoju wysokiemu i postawnemu blondynowi, z brodą czy bez, nieobecność poety zaprzętała uwagę Doyle'a w znacznie mniejszym stopniu niż umowa z Bennerem.

Spędził kolejne trzy dni na odpoczynku. Kaszel nie nasilał się, zdawał się wręcz zanikać, a gorączkę, z którą Doyle żył od dwóch tygodni, najwidoczniej przepędziła ostra zupa rybna Kusiaka i jego piwo. Z obawy przed ludźmi Horrabiną czy Darrowa nie oddalał się zbyt od gospody. Za oknem jego pokoju znajdował się niewielki

balkonik, z którego, jak odkrył, mógł wspiąć się po okapie na dach budynku; na płaskim kawałku między dwoma kominami znalazł krzesło, które, narażone przez lata na kaprysy londyńskiej aury, było zbiełałe i popękane. Siadywał tu podczas długich zmierzchów i patrzył na domy przy Fish Street i Thames Street, schodzące aż do zamglonej rzeki, po której, wraz z prądem, sunęły majestatycznie łodzie; po lewej ręce, na szerokim obramowaniu komina leżał tytoń i hubka z krzesiwem, które zawsze ze sobą zabierał, po prawej zaś, przy jego stopach, stało wiaderko zimnego piwa; pykając na przemian z fajki i łykając z porcelanowego kubka, wodził wzrokiem po bizantyjskiej płataninie dachów, wieżyczek i dymiących kominów, nad którymi górowała, widoczna gdzieś daleko, kopuła katedry św. Pawła. Myślał czasem, pogrążony w wygodnym lenistwie człowieka, który nie musi od razu podejmować decyzji, by po prostu nie pójść na spotkanie z Bennerem, tylko przeżyć swe życie w tej połowie wieku, na której odcisnęli piętno Napoleon, Wellington, Goethe i Byron.

Ten trzydniowy odpoczynek zakłócił tylko jeden nieprzyjemny incydent. W czwartek rano, gdy Doyle wracał do domu z księgarni przy Cheapside, podczołgał się do niego jakiś szokująco zniekształcony starzec, który zdawał się poruszać nie tylko dzięki ruchom nóg, ale i patykowatych rąk, jakby płynął. Łysa głowa, która wychylała się z płataniny wiekowych szmat, niczym grzyb rosnący na kupie kompostu, musiała niegdyś odnieść straszliwie obrażenia, gdyż nos, lewe oko i lewa połowa szczęki zniknęły, a na ich miejscu pojawiła się głęboko pobrużdżona, gruzłowata tkanka zabliznionej skóry. Kiedy stary kaleka zatrzymał się przed Doyle'em, ten zdążył już pogrzebać w kieszeni i wyjąć z niej szylinga.

Lecz ta nieszczęsna istota nie żebrała.

– Ty, panie – zaskrzeczał starzec – wyglądasz jak człowiek, który chciałby wrócić do domu. I myślę – mrugnął jednym okiem – że twój dom znajduje się w miejscu, którego nie moglibyśmy wskazać palcem, co?

Doyle, ogarnięty nagłą paniką, rozejrzał się wkoło, ale nie dostrzegł nikogo, kto wyglądałby na współnika tego ludzkiego wraka. Pewnie był to jeden z wielu ulicznych pomyleńców, a jego paplanina miała przypadkiem związek z sytuacją Doyle'a. Chodziło mu pewnie o Niebo czy coś takiego.

– W czym rzecz? – spytał ostrożnie Doyle.

– Ha, ha! Pewnie sobie myślisz, że doktor Romany jest jedynym, który wie, gdzie i kiedy otworzą się wrota Anubisa? Pomyśl jeno,

Beno! Ja też wiem i mógłbym cię do nich zaprowadzić w te pędy, Walenty. – Zachichotał. Był to przerażający dźwięk, jakby kamienie marmuru toczyły się po stalowych schodach. – To jest po drugiej stronie rzeki. Chcesz zobaczyć?

Doyle był zdumiony. Czy ten człowiek naprawdę mógł znać lokalizację szczeliny? Przynajmniej wiedział o czymś takim, nie ulegało to wątpliwości. Pomyślał: A szczeliny występują teraz dość często; niewykluczone, że jedna z nich otworzy się po stronie Surrey. Boże, gdybym tak mógł wrócić do domu jeszcze dzisiaj! Zrobiłbym co prawda Bennera w konia... ale ten drań nie ma żadnego prawa żądać ode mnie lojalności. A jeśli jest to jakaś pułapka przygotowana przez Horrabiną czy Darrowa? Wątpię, to nazbyt skomplikowany podstęp.

– Ale kim właściwie jesteś? – zwrócił się do kaleki. – I co zyskasz, pokazując mi drogę do domu?

– Ja? Jestem tylko starym człowiekiem, który przypadkowo zna się na magii. A dlaczego wyświadczam ci tę przysługę? – zachichotał znowu – Powiedzmy, że nie jestem przyjacielem doktora Romana, zgoda? I niewykluczone, że to jemu powinienem za to podziękować. – Pokazał dłonią pokiereszowaną część twarzy. – No dobra. Zainteresowany moją propozycją? Chce pójść i zobaczyć wrota, przez które wróci – albo już wraca – do domu?

– Tak – odparł bez zastanowienia Doyle.

– No to chodźmy.

Zniszczony przez życie przewodnik Doyle'a ruszył energicznie. Znow się wydawało, że bardziej płynie niż idzie. Doyle podreptał za nim, ale przystanął, gdy zauważył coś zastanawiającego.

Na chodniku zalegały kupki suchych liści. Nie szeleściły jednak pod stopami starca.

Kaleka zorientował się, że Doyle przystanął, i obrócił ku niemu swą straszną twarz.

– Wyciągaj nogi, drogi – powiedział.

Doyle wzruszył ramionami, zwalczył nagłą chęć przeżegnania się i ruszył w ślad za przewodnikiem.

Przeszli przez Blackfriar's Bridge, niewiele się odzywając, choć starzec był równie zadowolony co dziecko w Wigilię Bożego Narodzenia, któremu wolno już rozpakować prezenty. Poprowadził Doyle'a w dół Great Surrey Street, a potem w lewo, jedną z węższych uliczek. Dotarli w końcu do wysokiego muru z cegły, otaczającego na pierwszy rzut oka ogromną posesję. Doyle zauważył masywne

drzwi. Starzec, szczerząc zęby i unosząc w koszmarnym grymasie brwi, pokazał mosiężny klucz.

– Klucz do królestwa – stwierdził.

Doyle zawahał się.

– Te dzisiejsze wrota znajdują się akurat za tymi drzwiami, a ty masz do nich klucz?

– Wiem... od jakiegoś czasu... co tu jest – oświadczył niemal uroczyście starzec. – I kupiłem ten kawałek ziemi, gdyż wiedziałem, że się zjawisz.

– No więc, co to jest? – spytał Doyle nerwowo. – Długotrwała szczelina, to chcesz mi powiedzieć? Ale dopóki się nie zamknie, jest bezużyteczna.

– To będą wrota, kiedy do nich dotrzesz, Doyle, nie ma co do tego wątpliwości.

– To brzmi tak, jakbym miał tam umrzeć.

– Nie umrzesz dzisiaj – rzekł przewodnik. – Ani w ciągu najbliższych dni.

Starzec przekręcał klucz w zamku. Doyle cofnął się, ale patrzył niespokojnie.

– Sądzisz, że nie umrę,

– Ja wiem, że nie umrzesz.

Starzec przekręcił klucz do końca i pchnął drzwi.

Cokolwiek Doyle spodziewał się ujrzeć, z pewnością nie był to porośnięty trawą kawałek ziemi. Słabe promienie wrześnieowego słońca lśniły na wygładzonych przez czas kamiennych resztkach jakiejś budowli, która runęła dawno temu. Starzec wpełzł do środka, po czym ruszył przed siebie, krocząc po zielonych wzgórkach; Doyle zebrał całą swą odwagę, zacisnął pięści i przeskoczył próg drzwi.

Oprócz starego człowieka, Doyle'a i resztek starożytnych murów, które sterczały pośród trawy, otoczona murem posesja była całkowicie pusta. Starzec, zaskoczony nagłym wejściem Doyle'a, zamrugał do niego jednym okiem.

– Zamknij drzwi – powiedział w końcu i zaczął grzebać w ziemi.

Doyle przymknął drzwi, by się nie zatrzasnęły, i podszedł do dziwnego przewodnika.

– Gdzie wrota? – spytał niecierpliwie.

– Spójrz na to. – Starzec ściągnął kawałek szmaty ze stosu bardzo starych kości. Niektóre były poczerwiałe, jakby od ognia. – Oto czaszka – powiedział, podnosząc popękana kulę o barwie kości słoniowej, której uparcie trzymały się kości policzka i szczęki.

– Mój Boże – stwierdził z lekkim obrzydzeniem Doyle. – Kogo to obchodzi? Gdzie te przekłete wrota?

– Kupiłem to miejsce przed laty – powiedział w zadumie starzec, zwracając się do czaszki. – Żeby pokazać ci te szczątki.

Doyle odetchnął głęboko. Przypominało to przeciągły świst.

– Nie ma tu żadnych wrót, prawda? – spytał znużony.

Starzec spojrział na niego z dołu. Jego poznaczona bliznami twarz przybrała nieodgadniony wyraz.

– Znajdziesz tu kiedyś wrota. Mam nadzieję, że będziesz wtedy pragnął przejść przez nie równie żarliwie jak teraz. Chcesz zabrać ze sobą tę czaszkę?

Doyle pomyślał, że to tylko uliczny pomyleniec, który odznacza się pewną znajomością londyńskiej hierarchii czarnoksięskiej.

– Nie, dziękuję.

Odwrócił się i ruszył przez dziko rosnącą trawę.

– Do zobaczenia w innych okolicznościach! – zawołał za nim starzec.

Kiedy Steerforth Benner wszedł w sobotę do kawiarni Jonathena, punktualnie o dwunastej, Doyle pomachał do niego i wskazał puste krzesło po drugiej stronie stołu, przy którym siedział od pół godziny. Benner zbliżył się, stukając głośno obcasami o drewnianą podłogę. Odsunął krzesło i usiadł.

Popatrzył na Doyle'a wojowniczym wzrokiem, jakby chciał ukryć niepewność.

– Przyszedłeś wcześniej, Doyle, czy też źle zapamiętałem godzinę naszego spotkania?

Doyle uchwycił wzrok kelnera i wskazał na swoją kawę, a potem na Bennera; kelner skinął głową i udał się do kuchni.

– Przyszedłem wcześniej, Benner. Nie pomyliłeś się, mieliśmy spotkać się w południe. – Przyjrzał się dokładniej swemu towarzyszowi – oczy Bennera wydawały się zamglone. – Dobrze się czujesz? Wyglądasz na... skacowanego, czy coś w tym rodzaju.

Benner spojrział na niego podejrzliwie.

– Skacowanego, powiadasz?

– Owszem. Piłeś zeszłego wieczoru, co?

– Ach, o to ci chodzi. Owszem!

Gdy zjawił się kelner z filiżanką parującej kawy, Benner zamówił czym prędzej dwie potrawy z cynaderek.

– Pofolgowawszy sobie, najlepsze remedium można znaleźć w odrobinie strawy, nieprawdaż?

– Pewnie – zgodził się bez entuzjazmu Doyle. – Wiesz, kiedy już wrócimy do przyszłości, przyda nam się mała aklimatyzacja – nie tylko zmienił ci się akcent, stosujesz też archaiczne zwroty.

Benner wybuchnął śmiechem, który wydawał się wymuszony.

– No cóż, oczywiście. Chodzi mi o to, by dopasować się... do tych zamierzchłych czasów.

– Uważam, że przesadzasz, ale mniejsza z tym. Przygotowałeś wszystko?

– O, tak, pewnie, żadnych problemów.

Doyle pomyślał, że Benner musi być bardzo głodny, gdyż rozglądał się niecierpliwie za kelnerem.

– Dziewczyna się zgodziła? – spytał.

– Zrobi to. Jestem pewien, że spisie się doskonale. Gdzie, u diabła, jest ten facet z naszymi potrawkami?

– Chrzanić cholerne potrawki – rzucił zniecierpliwiony Doyle. – Jak wyglądają sprawy? Pojawiła się jakaś trudność? Dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

– Nie, nie, żadnych trudności – odparł Benner. – Jestem po prostu głodny.

– No więc kiedy mam się spotkać z Darrowem? – spytał Doyle. – Dzisiaj? Jutro?

– Nie tak prędko, trzeba odczekać parę dni. Oto i nasze potrawki! Dziękuję. Zabieraj się za jedzenie, Doyle, bo wystygnie.

– Możesz wziąć sobie moją porcję – powiedział Doyle, który nigdy nie mógł znieść myśli o zjedzeniu nerki. – No więc dlaczego musimy czekać parę dni? Zgubiłeś włochatego?

– Zjedz swoje cholerne cynadry. Zamówiłem je dla ciebie.

Doyle przewrócił zniecierpliwiony oczami.

– Przestań zmieniać temat. Skąd ta zwłoka?

– Darrow zamierza wyjechać z miasta i nie wracać do, hmm, wtorkowego wieczoru. A może wolisz jakąś zupę?

– Nic nie chcę, dziękuję – odparł Doyle bardzo wyraźnie. – No więc powiedzmy, że spotkam się z nim w środę rano.

– Tak. Aha, jeszcze jedno, trochę mnie niepokoi człowiek, który chyba mnie śledzi. Nie mam pojęcia, kto to jest – niski osobnik z czarną brodą. Myślę, że go zgubiłem, kiedy tu wszedłem, ale wołałbym się upewnić. Zechciałbyś wyjrzeć na zewnątrz i zobaczyć, czy się gdzieś nie kręci? Nie powinien się domyślić, że zdaje sobie sprawę z jego obecności.

Doyle westchnął, ale wstał i zbliżył się do drzwi, po czym stanął na trotuarze i rozejrzał się po skąpanej słońcem Threadneedle Street. Na ulicy było sporo ludzi, ale Doyle, przepaszając przechodniów i stając na palcach, nie mógł nigdzie dostrzec niskiego mężczyzny o czarnej brodzie. Z prawej strony dobiegał chrapliwy krzyk i ludzie zwracali w tamtym kierunku głowy, ale Doyle nie był specjalnie ciekaw, co się tam dzieje. Wszedł do środka i wrócił do stołu.

– Nie zauważyłem go. – Usiadł, podczas gdy Benner mieszał herbatę w filiżance, której nie było, gdy Doyle wychodził na ulicę. – Jak długo szedł za tobą? I gdzie go po raz pierwszy zauważyłeś?

– No... – Benner siorbał głośno herbatę. – Do licha, parzą tu świetną herbatę. Spróbuj trochę.

Podsunał Doyle'owi filiżankę.

Krzyk na zewnątrz był coraz głośniejszy i coraz powszechniejszy, więc Doyle musiał nachylić się nad stołem, by Benner go słyszał.

– Nie, dziękuję. Odpowiesz mi wreszcie?

– Tak, odpowiem. Ale wpięrow spróbuj trochę. Jest naprawdę dobra. Bo pomyślę, że uważasz za niegodne siebie spożywanie ze mną posiłku.

– Och, na litość boską, Benner.

Wziął filiżankę i podniósł ją zniecierpliwiony. Gdy już otwierał usta, by się napić, Benner wyciągnął dłoń i przechylił dno filiżanki, tak że Doyle pociągnął naprawdę spory łyk. Niewiele brakowało, by się udławił.

– Niech cię diabli – wykrztusił. – Oszalałeś?

– Chciałem tylko, żebyś się napił – odparł wesoło Benner. – Czyż nie jest aromatyczna?

Doyle obliznął spękane wargi. Herbata była gorzka, gęsta od listków i, podobnie jak czerwone wino z mnóstwem taniny, tak wytrawna, że cierpły mu zęby.

– Jest okropna – powiedział, a wtedy przysłała mu do głowy niepokojąca myśl. – Ty sukinsynu, wypij trochę na moich oczach.

Benner przysunął dłoń do ucha.

– Słucham? Zdaje się, że...

– Wypij natychmiast! – Doyle niemal krzyknął, by zagłuszyć wrzawę, którą słychać było tuż obok.

– Myślisz, że chcę cię otruć? Ha, ha. Spójrz. – Ku wielkiej uldze Doyle'a Benner opróżnił filiżankę bez wahania. – Nie jesteś smakoszem herbaty, Doyle, to jasne.

– Chyba nie. Co się tam, u diabła, dzieje? Ale powiedz mi o tym brodatym...

Zza pleców Doyle'a, od strony wejścia, dobiegły pełne przerażenia krzyki. Nim zdążył się odwrócić, rozległ się trzask przypominający eksplozję i przeraźliwy metaliczny grzechot – pękła witryna, a na podłogę posypały się kawałki szkła. Wrzawa na ulicy nasiliła się. Doyle, zrywając się z krzesła, dostrzegł kątem oka, że Benner podnosi się spokojnie z miejsca i wyciąga spod płaszcza mały pistolet skałkowy.

– Mój Boże – ktoś krzyczał – zabijcie to, biegnie w stronę kuchni!

Doyle widział na ulicy dziko falujący tłum, a nad nim nogi od krzeseł, którymi wymachiwano jak maczugami, ale przez kilka pierwszych, pełnych napięcia sekund nie był w stanie dojrzeć, co, czy też kto znajduje się w środku tej ciżby; po chwili ponad tłumem zobaczył kelnera, który spadając na ziemię przewrócił z pół tuzina ludzi; wtedy Doyle dostrzegł, w niewielkim, pustym kręgu, jaki się wytworzył, przykucniętą małpę, której futro miało barwę sierści setera. Choć niższa od swych przeciwników, zdołała przedrzeć się przez wyłom, jaki powstał po upadku kelnera, i dwoma susami pokonała połowę dystansu dzielącego ją od stolika Doyle'a i Bennera. Nim huknął mu tuż nad uchem strzał, Doyle zdołał dojrzeć, że małpa ma poplamione czerwienią futro i że krwawi obficie z pyska.

Poczuł na policzku smagnięcie nagłego powiewu i zobaczył, jak z piersi małpy tryska krew, gdy kula zwała ją z nóg. Potoczyła się dobre trzy metry do tyłu i uderzyła barkami o podłogę. Przez mgnienie oka, nim runęła bezwładnie, stała przez moment niemal na głowie.

W przeraźliwej ciszy, która nastąpiła, Benner ujął Doyle'a za łokieć, po czym wyprowadził go szybko do kuchni, a stamtąd tylnym wyjściem na wąską, zacienioną alejkę.

– Idź – powiedział Benner. – Ta uliczka łączy się z Cornhill.

– Poczekaj chwilę! – Doyle niemal się przewrócił przez stare połamane kółko od wózka, które jakimś cudem zostało przeoczone przez zbieraczy wszelkiego śmiecia. – To była jedna z ofiar Joego Psiej... to znaczy, odrzucone ciało włochacza! Dlaczego zjawił się...

– Nieważne. Czy wreszcie...

– Ale to oznacza, że jest teraz w nowym ciele! Czy nie pojmujesz...

– Pojmuję lepiej niż ty, Doyle, wierz mi. Wszystko jest pod kontrolą, wyjaśnię ci to później.

– Ale... och, dobra. Hej, poczekaj! Do diabła, kiedy znów się spotkamy? Powiedzmy, we wtorek?

– Doskonale – odparł niecierpliwie Benner. – Zjeżdżaj!

– Ale gdzie we wtorek?

– Nie martw się o to, znajdę cię. No dobra, tutaj o dziesiątej rano. Czujesz się teraz lepiej?

– OK. A możesz mi pożyczyć trochę pieniędzy? Nie mam...

– No dobra, nie mogę pozwolić, żebyś się zagłodził. Masz. Nie wiem, ile tego jest dokładnie, ale to mnóstwo pieniędzy. Pójdiesz wreszcie?

Siwowłosy kelner zebrał pełną szuflę potłuczonego szkła. Obwiązawszy głowę ścierką niczym turbanem wyglądał jak wielki wezyr, który pragnie swemu sułtanowi zaprezentować kolekcję diamentów.

– Przykro mi, synu, ale wszystko działa się tak szybko, że trudno mi było robić notatki.

Wsywał szkło do beczki na śmieci i schylił się, by zebrać następną szuflkę.

– Ale ruszył w stronę dwóch mężczyzn przy stoliku?

Kelner westchnął.

– Ruszył albo raczej skoczył w tamtą stronę.

– Co pan może jeszcze powiedzieć o mężczyźnie, który go zastrzelił?

– Jak już mówiłem, był wysoki i miał jasne włosy. A facet, który z nim siedział, był niski, ciemnowłosy, chudy i wyglądał na chorego. A teraz może byś już sobie poszedł, co?

Wyglądało na to, że niczego więcej nie będzie można się tutaj dowiedzieć, więc Jacky podziękowała mężczyźnie, wyszła i przystanąła niepokieszona na Exchange Alley, gdzie kilku ludzi ładowało ostrożnie na wóz poplamione krwią zwłoki jakiegoś tam Kenny'ego, opuszczone przez tegoż Kenny'ego tydzień wcześniej, ale zaledwie dzisiaj przez Joego Psią Twarz.

Do diabła – pomyślała Jacky. – Ruszył dalej, a ja nie mam pojęcia, w którym ciele może teraz być.

Wetknęła dłonie w kieszenie zbyt obszernego płaszcza, po czym omijając wóz i gapiów ruszyła spokojnym krokiem w dół Threadneedle Street.

W połowie drogi do domu Doyle poczuł dreszcze. Kiedy znalazł się w swoim punkcie obserwacyjnym na dachu i opróżnił pierwsze piwo, ukrył twarz w dłoniach i odetchnął kilka razy głęboko. W końcu się uspokoił. Mój Boże, pomyślał, a więc tak to jest, kiedy poja-

wiają się te stwory. Nic dziwnego, że biedny Jacky trochę sfiksował, gdy zabił jednego, i uwierzył, że zobaczył duszę Colina Lepovre'a wyzierającą z oczu zdychającej bestii. Może, do diabła, rzeczywiście ją ujrzał. – Doyle nalał sobie i wypił następny kubek piwa. – Mam nadzieję, że Benner wie, co robi. Mam nadzieję, że jest świadomy, z jakim ogniem igra.

Doyle odstawił kubek i powiódł spojrzeniem w lewo. I gdzie on teraz może być? – zastanawiał się niespokojnie. – Czy jego nowe ciało zaczyna porastać futrem, niczym brudem, i czy zaczął już szukać nowej ofiary?

Na wygładzonym przez czas kamiennym ganku małego, śnieżno-białego domku, jakieś trzy tysiące kilometrów od podniebnego gniazda Doyle'a, siedział stary, łysy człowiek. Palił ze stoickim spokojem długą fajkę o glinianym cybuchu i spoglądał w dół pokrytego żółtawą, zakurzoną trawą zbocza, ku kamienistej plaży i wodzie. Od zachodu napływał ciepły, suchy wiatr, a wraz z nim długie i łagodne fale, marszczące spokojne wody Zatoki Patras. Chwilami, gdy jego powiewy zamierały, starzec słyszał cichy brzęk dzwoneczków zawieszonych na szyjach owiec, pasących się u podnóży wzgórz Morei.

Po raz trzeci w ciągu tego długiego popołudnia Nicolo wybiegł z domu, trącając w ramię doktora, który o mało nie upuścił fajki. Chłopiec nawet nie przeprosił. Doktor uśmiechnął się zimno do niešťczęśliwego młodzieńca, obiecując sobie, że jeszcze jeden taki dowód złego wychowania ze strony greckiego homoseksualisty, a jego ukochany *padrone* umrze niezbyt piękną, bolesną i długą śmiercią.

– Doktorze – wysapał Nicolo. – Prędko! *Padrone* rzuca się na łóżku i woła ludzi, których nie ma w pokoju! On chyba umrze!

Nie umrze, dopóki mu nie pozwolę, pomyślał doktor. Spojrzał w górę; słońce stało już bardzo nisko po zachodniej stronie greckiego bezchmurnego nieba, zdecydował więc, że może teraz zabrać się do pracy. Nie miało większego znaczenia, o której porze dnia to robił, lecz stare, martwe prawa trwały niczym przesady; i tak jak nie śniłoby mu się nawet wypowiedzieć imienia Seta w dwudziestym czwartym dniu miesiąca *pharmuthi*, czy też dobrowolnie zatrzymać wzrok na myszy w dwunastym dniu miesiąca *tybi*, tak nie mógł zmusić się do aktu czarnej magii, gdy Bóg słońca Ra był wciąż w górze i mógł go widzieć.

– Bardzo dobrze – powiedział doktor, odkładając fajkę i podnosząc się ciężko z miejsca. – Pójdę go zobaczyć.

- Ja także – zadeklarował Nicolo.
- Nie. Muszę być z nim sam.
- Pójdę z panem.

Ten zabawny chłopak położył prawą dłoń na rękojeści zakrzywionego sztyletu, który zawsze nosił za czerwonym pasem. Doktor niemal się roześmiał.

- Jeśli nalegasz. Ale będziesz musiał wyjść, gdy zacznę go leczyć.
- Dlaczego?

– Dlatego, że lekarstwo jest magiczne, a obecność w izbie kogoś trzeciego mogłaby zmienić zaklęcie lecznicze w szkodliwe – odparł doktor, wiedząc, że ta wymówka zadowoli chłopca, choć sprawiłaby pewnie, że ów *milord anglais*, który leżał na łóżku, chwyciłby za pistolety.

Chłopiec spojrział ponuro, ale wymamrotał:

- Dobrze.
- A więc chodź ze mną.

Weszli do domu, po czym ruszyli w stronę pozbawionego drzwi pokoju położonego na samym końcu korytarza. Choć kamienne ściany zapewniały wewnątrz chłód, młody człowiek leżący na wąskim, żelaznym łóżku był zlany potem, a jego kręcone, czarne włosy kleiły się do czoła. Tak jak mówił Nicolo, rzucał się niespokojnie, i choć oczy miał przymknięte, marszczył czoło i mamrotał coś niezrozumiale.

- Musisz teraz wyjść – zwrócił się doktor do chłopca.

Nicolo podszedł do drzwi, ale przystanął, mierząc nieufnym wzrokiem dziwaczny zbiór przedmiotów na stoliku obok łóżka: lancet i miseczkę, kolorowe płyny w małych, szklanych buteleczkach, metalową pętlę z drewnianym paciorkiem.

– Jeszcze jedno, nim się oddalę – powiedział. – Wielu ludzi, których leczyłeś na tę chorobę, umarło. W poniedziałek wymknął ci się z rąk Anglik nazwiskiem George Watson. *Padrone* powiada – tu wskazał dłonią człowieka na łóżku – że jesteś większym *periculo*, niebezpieczeństwem, niż sama choroba. A zatem mówię ci, jeśli i on przypadkiem stanie się jedną z twych wielu porażek, podążysz za nim do krainy umarłych jeszcze tego samego dnia. *Capeesh?*

Widoczne na pobrużdżonej i starczej twarzy doktora rozbawienie zmagало się z irytacją.

- Zostaw nas samych, Nicolo.

– Uważaj, doktorze Romanelli – odparł Nicolo, odwrócił się i oddalił korytarzem.

Doktor zanurzył kubek w misce z wodą, która stała na stole, po czym z sakwy przy pasku zaczerpnął szczyptę zmielonych na proszek ziół, wsypał do kubka i zamieszał palcem wskazującym. Następnie wsunął ramię pod plecy nieprzytomnego człowieka, podniósł go do pozycji półsiedzącej i przystawił kubek do jego wciąż mamroczących ust.

– Wypij to, mój lordzie – nakazał cicho, przechylając kubek. Człowiek na łóżku wypił odruchowo, choć się skrzywił, i gdy doktor Romanelli odstawił puste naczynie, mężczyzna zakaszłał i potrząsnął głową. – Tak, to gorzkie, prawda, mój lordzie? Sam musiałem opróżnić taki kubek osiem lat temu i wciąż pamiętam ten smak.

Doktor wyprostował się i podszedł szybko do stołu, gdyż czas bardzo się teraz liczył. Romanelli skrzesał iskry nad małym stosiakiem hubki leżącej w miseczce, rozpalili ogień, przysunął specjalną świecę, aż knot otoczyła korona okrągłego płomienia, po czym wektnął ją z powrotem do lichtarza i zaczął się w nią wpatrywać z powagą. Płomień nie kierował się ku górze, jak w zwykłej świecy, lecz promieniował równo we wszystkich kierunkach, przyjmując kształt kuli, na podobieństwo małego, żółtego słońca, i wysyłał fale ciepła nie tylko w dół, ale i w górę, wskutek czego hieroglify wyryte na powierzchni świecy zdawały się przesuwac i drzeć.

Zeby tylko jego ka w Londynie właściwie wykonał swoją część zadania!

Przemówił do płomienia:

– Romany?

Odpowiedział mu słaby głos.

– Jestem gotowy. Stoję przy kadzi z pautem, świeżym i podgrzanym do właściwej temperatury.

– No cóż, mam nadzieję. Czy przygotowano dla niego drogę?

– Tak. Prośba o audiencję u króla Jerzego została przyjęta i zaakceptowana na początku tygodnia.

– W porządku. Ukształtujemy zatem ten kanał.

Romanelli odwrócił się ku metalowej pętli, która była przyczepiona do bloku twardego drewna, i uderzył ją niewielką, metalową różdżką. Wydała przeciągły, czysty dźwięk, na który po chwili odpowiedział dźwięk dobywający się z płomienia świecy.

Był znacznie wyższy, więc doktor przesunął drewniany paciorek na pętli o centymetr w górę i znów uderzył; zdawało się przez chwilę, że kulisty płomień zniknął, jednakże gdy dźwięk zamarł, znów się pojawił.

– Chyba się udało – powiedział. – Jeszcze raz.

Dwa dźwięki, jeden wywołany w Londynie, drugi w Grecji, znów zabrzmiały, niemal identycznie – płomień przeszedł w niewyraźną, gęstniejącą szarość, i gdy uderzony metal wciąż wydawał śpiewny dźwięk, doktor dotknął ostrożnie paciorka, przesuwając go o włos dalej. Dźwięki były teraz identyczne i tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się płomień, widniał teraz w powietrzu przezroczysty otwór, przez który można było dostrzec fragment zakurzonej podłogi. Gdy podwójne dzwonienie znów rozplynęło się w ciszy, niezwykły, kulisty płomień powrócił.

– Mam – rzekł podniecony Romanelli. – Widzę wyraźnie. Uderz znów, gdy ci powiem, a ja prześlę go tobie.

Podniósł lancet i miseczkę, po czym zwrócił się w stronę nieprzytomnego człowieka na łóżku i podniósł jego bezwładną rękę. Następnie naciął ostrzem palec i podstawił miseczkę pod szybko spadające krople krwi. Kiedy już zebrał kilka tyżeczek, puścił rękę i skalpel, i znów skierował wzrok ku świecy.

– Teraz! – powiedział i uderzył pętlę różdżką. Powtórnie uzyskał odpowiedź na swój dźwięk, i gdy płomień znów przybrał kształt otworu, puścił różdżkę, zanurzył palce w miseczce z krwią i strzepnął kilkanaście kropeł w próżnię po płomieniu.

– Dotarły? – spytał, przygotowując się do następnej próby.

– Tak – odparł głos z drugiej strony, gdy dzwonienie zamarło, a płomień ponownie rozblęsnął jasnością. – Cztery krople, wprost do kadzi.

– Znakomicie. Pozwolę mu umrzeć, gdy tylko się dowiem, że się powiodło. – Romanelli nachylił się i zdmuchnął płomień świecy.

Usiadł ponownie i wlepił zamyślony wzrok w niespokojnego człowieka na łóżku. Znalezienie tego młodzieńca było szczęśliwym trafem. Doskonale się nadawał do ich celów; par w Izbie Lordów, lecz o niejasnym pochodzeniu, bliski nędzy i – być może z powodu utykającej nogi – nieśmiały i zamknięty w sobie, mający niewiele przyjaciół. W czasie pobytu w Harrow bez skrupułów opublikował jednak satyrę, którą zdołał obrazić znaczną liczbę wpływowych ludzi w Anglii, w tym i swego sponsora, lorda Carlisle. Wszyscy oni bez trudu uwierzą, że popełnił tę straszliwą zbrodnię, która, o co postarają się Romanelli i jego angielski ka, zostanie przypisana właśnie jemu.

– Doktor Romany i ja wydobędziemy cię z cienia – powiedział cicho Romanelli. – Uczynimy twe imię sławnym, lordzie Byron.

Stojąc pod umieszczoną wysoko w niszy, odciętą głową Teobalda, na twarzy której malował się niezwykle pogodny uśmiech, kłown Horrabin i doktor Romany wpatrywali się w każd wielkości trumny, pełnej jarzącego się przytłumionym blaskiem pautu, w którym krople krwi już poczerniały, stężały, zanurzyły się głębiej i zaczęły wypuszczać pajęczynę cieniutkich czerwonych nitek, łączących się ze sobą.

– Za dwanaście godzin przybierze kształt człowieka – rzekł cicho Romany, stojąc tak nieruchomo, że nie kołysał się wcale na swoich sprężynowanych podszwach. – A za dwadzieścia cztery będzie zdolny przemówić do nas.

Horrabin poruszył się na swoich szudłach, zmieniając pozycję.

– Czystej krwi brytyjski lord – stwierdził zamyślony. – Szczurzy Zamek gościł wiele znakomitości, lecz młody Byron będzie tu pierwszym parem Anglii.

Nawet pod grubą warstwą farby Romany dostrzegł szyderczy grymas.

Uśmiechnął się.

– Wprowadziłem cię w wysokie kręgi.

Przez kilka chwil trwała cisza.

– Jesteś pewien, że musimy jutrzejszej nocy przystąpić do tego zadania, nie kładąc się spać? – spytał żalonym tonem kłown. – Co dzień muszę spędzić dziesięć godzin w hamaku, w przeciwnym bowiem razie miewam straszliwe bóle pleców, a od kiedy mój przeklęty ojciec – tu machnął ręką w stronę wysuszonej głowy – powalił mnie na ziemię, bóle nasiliły się w dwójnasób.

– Będziemy się zmieniać, śpiąc w ciągu ośmiu godzin po cztery – przypomniał mu zniecierpliwiony Romany. – To powinno utrzymać cię przy życiu. Użalaj się nad nim – dorzucił, wskazując na kądź. – Ten będzie na nogach cały czas, w dodatku strofowany.

Horrabin westchnął.

– Skończymy pojutrze?

– Prawdopodobnie wieczorem. Będziemy go formować na zmianę całą jutrzejszą noc i następny dzień. Do wieczora będzie pozbawiony wszelkiej woli, a po dwóch dniach, w czasie których pokażemy go ludziom, damy mu instrukcje wraz z tym małym pistoletem i wypuścimy na wolność. Wówczas do roboty przystąpią moi Cyganie i twoi żebracy, a w jakąś godzinę po tym, jak mój człowiek w Ministerstwie Skarbu potwierdzi, że jedna piąta znajdujących się w obiegu złotych suwerenów jest sfałszowana, moi kapitanowie ruszą na Bank of England. A nasz chłopak Byron wykona swoje zada-

nie. Wtedy kraj zostanie powalony na kolana. Jeśli Napoleon nie znajdzie się przed świętami Bożego Narodzenia w Londynie, będę bardzo zdziwiony.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Horrabin przesunął się na swoich szcudłach.

– Jesteś... pewien, że to będzie zmiana na lepsze? Nie mam nic przeciwko temu, żeby ten kraj dostał cięgi, ale wciąż zastanawiam się, czy jest słuszne, by tak od razu go niszczyć.

– Francuzami łatwiej kierować – powiedział Romany. – Wiem o tym – miałem z nimi do czynienia w Kairze.

– Aha. – Horrabin ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał się, by zajrzeć do kadzi, gdzie czerwone żyłki już się złączyły, tworząc zarys ludzkiego szkieletu. – Boże, to obrzydliwe – zauważył.

Z kadzi pełnej szlamu wyłania się wizerunek człowieka.

Potrząsając głową przystrojoną w kapelusz, wyszedł na swoich szcudłach.

Doktor Romany także wpatrywał się w świecąca kadh.

– Och – stwierdził cicho – są gorsze rzeczy, Horrabinie. Powiesz mi za miesiąc, czy się przekonałeś, że jednak są gorsze rzeczy.

We wtorek rano, dwudziestego piątego września, Doyle stał nad rzędem słoï z tytoniem w sklepie Wassarda, próbując wyszukać jakąś nadającą się do palenia mieszankę, i przy okazji coraz uważniej wsłuchiwał się w rozmowę, która toczyła się tuż obok.

– Ależ oczywiście, to najprawdziwszy lord – powiedział jeden z kupców w średnim wieku. – Pijany jak świnia, no nie?

Jego towarzysz zachichotał, ale odparł zamyślony:

– Nie wiem. Wyglądał bardziej na chorego albo szalonego, tak, chyba tak.

– Ale ubiera się gustownie.

– Owszem, o to mi właśnie chodzi, to tak jakby jakiś aktor przebierał się za lorda, żeby zagrać w nędznym przedstawieniu. – Potrząsnął głową. – Gdyby nie szastał na lewo i prawo złotymi suwerenami, tobym właśnie pomyślał, że to taka sztuczka, aby wywołać zainteresowanie jakimś cholernym przedstawieniem; i powiadasz, że słyszałeś o tym lordzie... jak on się nazywa? Brian?

– Byron. Tak, napisał małą książeczkę wyśmiewającą współczesnych poetów, nawet Little'a, którego sam bardzo lubię. Ten Byron to jeden z tych uniwersyteckich przemądralców.

– Mali dranie, którzy zadzierają nosa.

– Zgadza się. Widziałeś jego wąsy?

Doyle, zaintrygowany, wtrącił się do tej rozmowy.

– Przepraszam, ale chcecie, panowie, powiedzieć, że naprawdę widzieliście lorda Byrona? Ostatnio?

– Owszem, przyjacielu, my i połowa tutejszych kupców. Jest teraz w The Gimli's Perch na Lombard Street, pijany w sztok albo szalony – skinał głową do swego kompana. – Stawia kolejkę za kolejką całej knajpie.

– Może zdążę tam i skorzystam – powiedział Doyle z uśmiechem. – Ma któryś z was zegarek?

Jeden z mężczyzn wydobyl z kamizelki złotą cebulę i zerknął na tarczę.

– Wpół do dziewiątej.

– Dzięki.

Doyle wypadł ze sklepu. Półtorej godziny do spotkania z Benne-rem – pomyślał. – To mnóstwo czasu, żeby rzucić okiem na tego uzurpatora i spróbować odgadnąć, co on knuje. To sprytne ze strony jakiegoś zdolnego aktora wcielić się w postać Byrona, gdyż prawdziwy poeta jest wciąż nieznanym w 1810; dopiero publikacja *Wędrówek Childe Harolda* za dwa lata uczyni go sławnym, a więc przeciętny człowiek na ulicy nie może wiedzieć, że Byron podróżuje teraz po Grecji i Turcji. Ale jaki to numer wart jest „szastania na lewo i prawo złotymi suwerenami”?

Ruszył na południe, w stronę Lombard Street, bez trudu odnajdując The Gimli's Perch – była to tawerna, przed którą zebrał się tłum ludzi blokujący wejście. Doyle pobiegł tam i starał się spojrzeć ponad głowami zebranych.

– Cofnij się, chłopie – warknął gruby jegomość tuż obok. – Czekaj na swoją kolej, jak każdy.

Doyle przeprosił i przecisnął się do jednego z okien, po czym, przystawiając dłonie do oczu, zajrzał do środka. Panował tam taki tłok, że przez jakieś pół minuty Doyle widział jedynie hałaśliwych pijaków, którzy albo opróżniali pełne kieliszki, albo machali pustymi w stronę zmęczonych kelnerów i barmanów. Po chwili, gdy tłum rozstał się przypadkowo, dojrzał młodego człowieka o kręconych włosach, który utykając podszedł do baru i rzucił z uśmiechem garść monet na wypolerowany kontuar. Rozległy się tak głośne wiwaty, że Doyle słyszał je przez grubą szybę. W tym momencie młodzieńca zakrył las wyciągniętych rąk.

Doyle przecisnął się z powrotem na ulicę i oparł o słup latarni. Choć jego umysł pracował jasno, czuł gdzieś w środku narastające lodowate ciśnienie; wiedział, że gdy już znajdzie ujście i przebije powierzchnię jego świadomości, nie będzie to nic innego jak tylko panika; starał się więc stłumić to uczucie, mówiąc do siebie: Byron jest gdzieś w Grecji czy Turcji, powtarzał twardo, i jest to jedynie zbieg okoliczności, że ten chłopak wygląda tak cholernie dokładnie jak tamten na wszystkich portretach. I albo uzurpator jest jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności też kulawy albo tak starannie przestudiował zachowanie swego wzorca, że naśladowuje utykanie... choć prawie nikt w 1810 nie oczekiwałby tego. A jak wytłumaczyć te wąsy? Byron w czasie pobytu za granicą rzeczywiście zapuścił wąsy, można to zobaczyć na portretach Phillipsa, ale jeśli nawet ten naśladowca mógł jakimś cudem o tym wiedzieć, to wątpliwe, czy wykorzystałby ów fakt, by oszukać ludzi, którzy, gdyby w ogóle kiedykolwiek widzieli Byrona, to bez zarostu, gładko ogolonego. I jeżeli wąsy są rezultatem przeoczenia, to uzurpator mógł nie wiedzieć, że Byron jeszcze ich nie miał podczas ostatniej bytności w Anglii, ale skąd mógł wiedzieć o utykaniu?

Panika, czy cokolwiek to było, wciąż narastała. A jeśli to jest Byron, myślał dalej, i nie ma go w ogóle w Grecji, jak będzie później utrzymywała historia? Co się tu, u diabła, dzieje? Ashbless ma tu być, a go nie ma, Byron natomiast nie powinien tu być, a jest. Czy Darrow wysłał nas do jakiegoś alternatywnego 1810 roku, od którego dzieje potoczą się inaczej?

Kręciło mu się w głowie i był zadowolony z oparcia, jakie dawał mu słup latarni, ale wiedział, że musi wejść do tawerny i dowiedzieć się, czy młody człowiek to rzeczywiście Byron, czy nie. Odsunął się od latarni i zrobił kilka kroków. Nagle uświadomił sobie, że ten narastający w nim strach jest zbyt pierwotny i potężny, by być wynikiem czegoś równie abstrakcyjnego jak zagadnienie strumienia czasu, w którym się akurat znajdował. Coś się z nim działo, coś czego jego umysł nie potrafił określić, a co burzyło jego podświadomość niczym bomba zdetonowana na dnie studni.

Tłum i budynek, które miał przed sobą, straciły nagle swą głębię, barwę i ostrość; zdawało się, że patrzy na impresjonistyczny obraz, oddający jakąś scenę jedynie w odcieniach żółci i brązu. Zdążył jeszcze pomyśleć, że ktoś gwałtownie ściszył dźwięk.

Światło i dźwięk umknęły w tej samej chwili, Doyle zaś, pozbawiony oparcia, zapadł się w nieświadomość, jak człowiek, pod którym

otwiera się zapadnia szubienicy. Zdążył się jeszcze przez ułamek sekundy zastanowić, czy tak się właśnie umiera.

Czasem podskakując, lecz znacznie częściej posuwając się na jednej stopie i obu dłoniach, jak na wpół zdeptany karaluch, z przetąconą lewą nogą, Doyle włókł się, charcząc i dysząc, po śliskim od deszczu asfalcie. Nie dostrzegał nawet, jak maski nadjeżdżających samochodów nurkują gwałtownie, stykając się niemal z nawierzchnią drogi, gdy ich hamulce zaczynały działać, a opony wyć i piszczeć.

Widział skuloną postać, leżącą na poboczu, pośród przypadkowych i bezładnie porzrzucanych rzeczy, i choć zadreślał się, by sprawdzić, czy ten ktoś jeszcze oddycha, wiedział, że jest inaczej, ponieważ już przeżył to wydarzenie na jawie, a kilkanaście razy we śnie; choć odczuwał jednocześnie niepokój, strach i nadzieję, wiedział doskonale, co znalazłby na poboczu.

Lecz tym razem wszystko działo się inaczej. Nie dostrzegł jak dotąd krwi, odprysków kości i kolorowych kawałków hełmu, które znalazły się na asfalcie i słupku stojącym na poboczu; głowa leżącej postaci wciąż była cała i tkwiła na swoim miejscu. I nie była to twarz Rebeki, lecz chłopca, żebraka, Jacky'ego.

Usiadł zdumiony, a po chwili stwierdził, już bez zdziwienia, że to wcale nie jest pobocze szosy, tylko wąski pokój z brudnymi zasłonami, które trzepotały w oknie pozbawionym szyby. Okno wciąż zmieniało kształt; czasem było okrągłe, nabrzmiewając i kurcząc się, chwilami małe jak wizjer w drzwiach albo wielkie jak rozeta w katedrze w Chartres. Czasami falowało, przybierając kształt zbliżony do prostokąta. Podłoga też zachowywała się kapryśnie; to wybrzuszała się tak bardzo, że Doyle musiał kucnąć, by nie uderzyć głową o sufit, to znów zapadała się jak zbyt miękka trampolina, i wtedy lądował w głębokim dole, patrząc na okno, które stale zmieniało kształt i położenie. Była to istna beczka śmiechu.

Jego usta były pozbawione czucia, ale dentysta z maską chirurgiczną na twarzy, przez którą widać było jedynie błyszczące oczy, zakazał mu ich dotykać. Doyle przesunął ukradkiem po wargach dłonią w kosmatej rękawicy i stwierdził z przerażeniem, że dostrzega na złotym futrze plamy jasnej krwi. Też mi dentysta, pomyślał i choć wydobył się siłą woli z tej wizji i powrócił do małego pokoju, wciąż miał na dłoniach kosmate rękawice, a krew nadal kapała mu obficie

z ust. Kiedy przygarbił się, czując kolejny skurcz żołądka, krew zachlapała talerz i sztućce, które ktoś postawił na podłodze.

Był wściekły, że ten ktoś nie pozbiierał po sobie naczyń, ale po chwili przypomniał sobie, że to pozostałości po jego własnym posiłku. Czy to jedzenie wywołało brak czucia i krwawienie? Czy był w nim fragment stłuczonego szkła? Podniósł widelec i zamieszał resztki na talerzu, szukając z niepokojem jakichś twardych, błyszczących kawałków. Po chwili doszedł do wniosku, że nie ma w jedzeniu żadnego szkła.

Ale co to w końcu było? Pachniało podobnie jak curry, ale wyglądało jak zimny gulasz z liści i czegoś, co przypominało owoce kiwi, lecz było mniejsze, twardsze i bardziej kosmate. Jego umysł skupił się na brzmieniu słów curry i kosmaty, a ich związek przyciągał jego uwagę i nie pozwalał się skupić na czymkolwiek innym. W końcu przewyciężył to i doznał straszliwego olśnienia, gdyż rozpoznał ów niezwykły owoc. Widział już go wcześniej, na Hawajach. Rósł na wysokim drzewie, którego naukową nazwę wciąż pamiętał: *Strychnos Nux Vomica*, najbogatsze źródło surowej strychniny.

Jadł strychninę.

Woda cuchnęła okropnie, przywodząc na myśl bajoro pełne martwych ryb i zgniłych wodorostów, ale chodnik roił się od wesołych ludzi w kolorowych kostiumach kąpielowych, i Doyle z zadowoleniem zauważył, że nie ma przy snack-barze kolejki. Dowłókł się do wąskiego okienka i zastukał ćwiartką dolara o drewnianą ladę, by zwrócić uwagę sprzedawcy. Mężczyzna odwrócił się i Doyle ujrzał zdumiony J.Cochrana Darrowa, odzianego w fartuch i białą, papierową czapkę. Pomyślał ze smutkiem, że facet w końcu splajtował i że musi teraz prowadzić tę cholerną budę.

– Wezmę... – zaczął Doyle.

– Serwujemy dziś tylko shake'a z aktywowanego węgla drzewnego – przerwał mu Darrow. Przekrzywił głowę. – Mówiłem ci, Doyle.

– Ach tak. To poproszę, w takim razie.

– Będiesz sam musiał go sobie przyrządzić. Muszę złapać pewną łódź – ma zatonać za dziesięć minut.

Darrow wysunął rękę na zewnątrz, chwycił Doyle'a za kołnierz i potężnym szarpnięciem wciągnął go do środka. Ramiona Doyle'a utkwili w okienku.

W budce nie było światła, wirowały w powietrzu tylko chmury popiołów. Doyle zakrztusił się. Po chwili wyswobodził się z pułapki i wylądował z powrotem na podłodze. Stwierdził, że wpadł głową

do małego kominka w pokoju. Mój Boże, pomyślał, mam halucynacje, i po tej, i po drugiej stronie. Czy strychnina wywołuje delirium? A może zdołałem strawić dwie trucizny? Jednak Darrow miał rację. Potrzebuję węgla drzewnego, potężnej dawki, i to szybko. Przypominam sobie, że czytałem o facecie, który zażył śmiertelną dawkę strychniny, dziesięciokrotnie przekraczającą dopuszczalną normę, ale zaraz potem spożył sproszkowany węgiel drzewny i nie odczuł żadnych skutków trucizny. Jak on się nazywał? Touery, właśnie tak. Ale skąd wziąć węgiel? Zadzwońię do recepcji i poproszę, żeby przysłali na górę około stu pięćdziesięciu kartonów papierosów z filtrem, zawierającym aktywowany węgiel drzewny. Poczekaj chwilę. Przecież w tej chwili właśnie masz przed oczami całe mnóstwo węgla. Wszystkie te spalone kłoc drewna w kominku. Może nie są aktywowane, ale mają miliony mikroskopijnych otworków, by tym lepiej cię wchłonąć, moja droga strychnino.

Po chwili znalazł miseczkę i małą statuetkę jakiegoś egipskiego boga o psiej głowie, których użył jako moździerza, by zetrzeć na proszek czarne kawały kruche, szerniałego drewna. Przygotowując to zauważył, że jego ręce i przedramiona pokryły się złocistym futrem, co przypisał, lekko podenerwowany, swym halucynacjom.

Jeszcze jedna rzecz w zakamarkach jego umysłu czekała cierpliwie na swe wyjaśnienie.

Cały czas kapała mu krew z ust, padając często na mały stos grubego, czarnego proszku, ale było jej coraz mniej, poza tym miał ważniejsze sprawy na głowie. Jak u diabła mam to skonsumować? – zastanawiał się, przesiewając między kosmatymi palcami czarną, drobną jak piasek substancję.

Zaczął połykać wszystkie kawałki węgla drzewnego wielkości pigulek. Następnie, wykorzystując wodę z miski stojącej w rogu, ulepił z czarnego proszku kilka tuzinów kulek i połknął.

Substancja, zmieszana z wodą, była miękka, więc po chwili przestał jeść czarne bryłki, a zaczął sklejać je ze sobą i formować figurkę małego człowieczka. Był zaskoczony własną wprawą; postanowił przy pierwszej okazji zdobyć trochę gliny i zacząć nowe życie jako rzeźbiarz; tylko przez kilka chwil wałkował kończyny między palcami, zanim przytwierdził je do tułowia, a mimo to zauważył, że uda i bicepsy, a także zgięcie kolan i łokci oddane są bezbłędne, kilka zaś nacięć wykonanych paznokciem kciuka na głowie figurki nadało jej rysy dorównujące doskonałością twarzy Adama namalowanej przez Michała Anioła na suficie kaplicy Sykstyńskiej. Pomyślał, że trzeba

będzie zachować tę małą rzeźbę. Kiedyś znajdzie się na poczesnym miejscu w Luwrze czy w innym muzeum: pierwsze Dzieło Doyle'a.

Jak mógł pomyśleć, że ta twarz przypomina oblicze Adama? Była to twarz starego, odrażającego człowieka. Poskręcane zaś i zniekształcone kończyny stanowiły karykaturę rąk i nóg, przypominających wysuszone robaki, jakie widuje się słonecznego dnia na chodniku. Przerażony, już miał zgnieść figurkę, gdy ta otworzyła oczy i obdarzyła go szerokim uśmiechem.

– Ach, Doyle! – zaskrzeczała głośnym, chrapliwym szeptem. – Mamy mnóstwo do omówienia!

Doyle krzyknął i zaczął cofać się przed tą wesołą istotą; sprawiło mu to trudność, ponieważ podłoga znowu zaczęła się podnosić i opaść. Posłyszał przeciągły, oguszający werbel dochodzący nie wiadomo skąd, i gdy na ścianach zaczęły pojawiać się ogromne krople kwasu, spływające w dół, uświadomił sobie zbyt późno, że cały ten dom jest jednym, żywym organizmem, który pragnie go strawić.

Ocknął się na podłodze, skrajnie wyczerpany i przygnębiony, spoglądając bez zainteresowania na krople zaschniętej krwi, które ujrzał przed oczami. Język bolał go jak rozłupany ząb, ale nie sądził, by było to coś naglącego. Wiedział, że przeżył otrucie i halucynacje, i że wyjdzie z tego cało.

Twarz go swędziała, więc uniosł dłoń, by się podrapać – i znieruchomiał. Choć halucynacje minęły, jego dłoń wciąż pokrywało złote futro.

Nagle pojawiło się wyjaśnienie, które tkwiło gdzieś w zakamarkach jego umysłu, wyjaśnienie tego wszystkiego, co się z nim działo, i wiedział, że jest ono zgodne z prawdą. Znowu poczuł się przygnębiony, gdyż oznaczało to konieczność wysiłku; musiał się podnieść i zacząć działać. By przekonać samego siebie do końca, pomacał się po twarzy. Tak jak przypuszczał, pokrywały ją kępki włosów. Tego mi tylko brakowało, pomyślał kwaśno.

Niewątpliwie tkwił w ciele, które dopiero co odrzucił Joe Psia Twarz; a sam Joe był Bóg jeden tylko wie gdzie, paradując w ciele Doyle'a.

A w czym ciele ja jestem? – zastanawiał się. Oczywiście, w ciele Steerfortha Bennera. Benner wspominał, że jadł z Joem lunch przed tygodniem, i Joe musiał go nakarmić jakąś mieszanką magicznych ziół, a potem, w sobotę, dokonał zamiany. A więc, rozumował dalej, to Joego Psia Twarz spotkałem w sobotę u Jonathena, w przechwyconym

ciele Bennera. Nic dziwnego, że nie wydawał się... sobą. I właśnie dlatego tak bardzo chciał, bym zjadł czy wypił cokolwiek, dzięki czemu poczęstowałby mnie dawką tego specyfiku, który pozwala zamienić się duszami; a gdy na nic nie wyrażałem ochoty, wysłał mnie na ulicę, bym poszukał niewątpliwie fikcyjnego mężczyzny, a on w tym czasie zamówił filiżankę herbaty, wrzucił do niej te wstrętne liście, a potem zmusił mnie do wypicia.

Pomimo apatii, Doyle wstrząsnął się, gdy dotarło do niego, że ta czerwona małpa, którą zastrzelono tego dnia, była samym Bennerem, biednym draniem, wtłoczonym naprędce w ostatnie ciało Joego Psiej Twarzy.

A więc teraz, myślał Doyle, ma moje ciało i może udać się do Darrowa i dobić z nim targu. Nie musi już się przejmować ani mną, ani Bennerem.

Doyle usiadł, wydając przeciągły jęk. Usta, nos i gardło pokrywała mu skorupa zaschniętej krwi o smaku rdzy, i uświadomił sobie z tępych rozbawieniem, że stary, dobry Joe małpiszon musiał zgryźć kawał własnego języka, nim opuścił swe ciało. Powinien bowiem się upewnić, że jego nowy właściciel nie będzie zdolny, w tym krótkim czasie, jaki mu jeszcze pozostał, zdradzić czegokolwiek ludziom.

Wstał, nieco oszołomiony z powodu wyższego wzrostu, i rozejrzał się wkoło. Nie był zdziwiony, gdy spostrzegł nożyczki, pędzel i brzytwę o prostym ostrzu, a także kawałek szarego mydła, leżące na półce przy łóżku. Joe prawdopodobnie kupował co tydzień nową brzytwę. Było tam też lustro, Doyle podniósł je i pełen niepokoju spojrzął na swoje odbicie.

Mój Boże, pomyślał, równie osłupiały co przerażony, wyglądam jak człowiek-wilk Chewbacca albo ten facet z francuskiej wersji *Pięknej i bestii*... nie, już wiem, jak tchórzliwy lew z *Czarnoksiężnika z Oz*.

Gęste, złote futro spływało falami po brodzie i zarastało policzki, niczym zbyt obfite bokobrody, i wiło się w górę, wzdłuż nosa, by połączyć się z bujnymi włosami, które zaczynały się nad łukiem brwiowym, a potem zachodziły dziką grzywą aż na czubek głowy i opadały zmierzwiłone na szerokie barki. Nawet szyja i skóra tuż pod szczęką były gęsto obrośnięte.

No cóż, pomyślał, biorąc do ręki nożyczki i naciągając lok nad czołem, nie ma co zwlekać. Ciach. Garść włosów odcięta. Mam nadzieję, że nie zapomniałem, jak należy się posługiwać brzytwą.

Godzinę później ostrzygł i ogolił sobie czoło, uważając, by pozostawić nietknięte brwi, a także nos i policzki. Przed przystąpieniem

do trudnego zadania, jakim było golenie dłoni, postanowił spojrzeć w lustro. Oparł je pod odpowiednim kątem o ścianę, cofnął się i rzucał okiem spod uniesionych brwi na swoje odbicie.

Poczuł nagle pustkę w piersi; przyspieszony rytm serca rozbrzmiewał w niej głuchym echem, niczym werbel wybijany na bębnie. Kiedy już minął pierwszy szok, zaczął to wszystko rozważać i niemal wybuchnął śmiechem, uświadomiwszy sobie bezlitosną logikę wydarzeń. Przecież poszedłem do Jamaica Coffee House dwunastego, we wtorek, nie mógł ukryć zdziwienia i, prawdę mówiąc napisałem albo przynajmniej skopiowałem z pamięci *Dwanaście godzin nocy*, siedząc tam. I naprawdę przebywałem jakiś czas w Hospitable Squires przy Pancras Lane. I właśnie z tej dłoni zastrzelono w sobotę, u Jonathena, jedną z Tańczących Małp. Nie ma mowy o porwaniu czy jakimś alternatywnym 1810 roku.

Doyle rozpoznał bowiem tę twarz w lustrze. Była to, naturalnie, twarz Bennera, lecz z dziką grzywą włosów i brodą starotestamentowego proroka, z nowymi, głębokimi bruzdami na policzkach i czole, oraz nieco nawiedzonym wyrazem oczu, była to również, bez cienia wątpliwości, twarz Williama Ashblessa.

Księga II

DWANAŚCIE GODZIN
NOCY